

Giganci zmierzchu świata

Carter Lin



calibre 0.9.43

LIN CARTER

GIGANCI ZMIERZCHU ŚWIATA

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAKCIŃSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU GIANT OF WORLD'S END

Książkę tę poświęcam

Johnowi Jakes'owi który jest moim dobrym przyjacielem wspaniałym facetem i wielkim pisarzem

ŚWIAT W EPOCE UPADKU KSIEŻYCA

SIEDEMSETMILIONOWY ROK NASZEJ ERY

Naukowcy europejscy: Neumayer, Suess i Dacque twierdzą, iż zgromadzili dowody na to, że u zarania czasu istniał na Ziemi olbrzymi superkontynent. Austriacki geolog Edward Suess nadał temu prehistorycznemu, od dawna już nie istniejącemu kontynentowi, na którym być może po raz pierwszy w historii Ziemi rozwinęło się życie, nazwę „Gondwana”. Dwaj wybitni badacze: austriacki geofizyk Alfred Wegener i jego amerykański „odpowiednik”, F.B.Taylor, prowadząc zupełnie niezależnie swoje dociekania, przedstawili w roku 1924 hipotezę dryfowania kontynentów. Zgodnie z tą teorią, w ciągu wielu tysiącleci ten nieprawdopodobnie wielki superkontynent stopniowo rozpadał się, a jego fragmenty dryfowały, by osiągnąć położenie, które obecnie zajmują znane nam kontynenty. Wegener uważa, iż w zamierzchłych czasach ery paleozoicznej kontynent Gondwany istniał wciąż w stanie nienaruszonym. Było to około trzystu milionów lat temu; mniej więcej w tym właśnie czasie początkowe, jednokomórkowe formy życia przekształciły się w trakcie ewolucji w pierwsze kręgowce. Jednak Gondwana zaczęła rozpadać się w ciągu następującej po paleozoiku ery mezozoicznej. Było to około stu trzydziestu pięciu milionów lat temu, gdy na Ziemi panowały olbrzymie dinozaury. Naukowcy przypuszczają, że prakontynent Gondwany został rozsadzony przez połączenie siły odśrodkowej oraz sił pływowych. Wniosek z tej teorii głosi, iż części Gondwany wielkości obecnych kontynentów osiągnęły niemal swoją obecną pozycję w czasie pleistocenu, około miliona lat przed naszą erą, gdy rodzaj ludzki rozwinął się właśnie z gałęzi ewolucyjnej ssaków naczelnych. Do tego punktu docierają naukowcy. Jednak adepci okultyzmu przeniknęli pełny cykl rozwoju Gondwany. Zgodnie z ich doktrynami, w niezmiernie odległej przyszłości, gdy nadejdzie koniec istnienia ludzkości na ogarniętej kosmicznym chłodem Ziemi, kontynenty spotkają się ponownie i olbrzymi superkontynent Gondwany zdominuje naszą planetę u zmięchu czasów, podobnie, jak było to u ich zarania. Doktrynę tę przedstawili tacy adepci okultyzmu, jak: Pierson Banning, Wind Anderson, zwolennicy filozofii kosmosu, a także John Ballou Newbrough. Wszystko to zostało zapisane w książce pod tytułem „Oahspe”.

Teoria ta natchnęła kalifornijskiego twórcę fantasy i poetę, Clarka Ashtona Smitha, do napisania opowieści o Ostatnim Kontynencie Zothique. Również wspaniała autor science fiction A. E. van Vogt umiejscowił akcję swojej jedynej książki fantasy, „Księgi Ptaha”, na superkontynencie przyszłości, zwanym Gondwana. Historia, którą opowiem, dzieje się na Gondwanie w czasie Eonu Spadającego Księżyca, mniej więcej siedemset milionów lat od chwili obecnej. Ziemia wciąż istnieje w tych czasach, ale nie jest to Ziemia, do której przywykliśmy. Powstały i przeminęły nowe, nie znane nam narody i przedziwne imperia. Wojny przyszłości, prowadzone przy użyciu niewyobrażalnych dla nas rodzajów uzbrojenia, wielokroć smagały Ziemię ognistymi biczami. Olbrzymie oceany zmieniły położenie wraz ze zbliżaniem się do siebie kontynentów. Zniknęły całe wyspy, zaś dawne, zaginione kontynenty z zamierzchłych czasów młodości Ziemi wyłoniły się z głębin zapomnienia. Superkontynent Gondwany pokrywa w tych czasach niemal pięćset dwadzieścia tysięcy kilometrów

kwadratowych powierzchni planety; istnieje jeden tylko, gigantyczny ocean. Powstały nowe formy życia. Starożytne podgatunki istot żywych, takie jak górskie gnomy czy wodniki, odrodziły się z genetycznego podłoża ewolucji. Stworzyła ona również całkowicie nowe gatunki: Karłów Śmierci, straszliwych Addanków, Półludzi z Thaad, a także ornithohippusy. Większość znanych nam gatunków, w tym także gatunek ludzki, zmieniło się nie do poznania.

Długi romans cywilizacji z naukami ścisłymi znalazł swój koniec w ruinach prześwieczonego państwa Vandalex. W zamian za to powstały nowe nauki stosujące, zamiast maszyn i probówek, kontrolowane fale myślowe ludzkiego intelektu, a także tajemniczą wibrację i moc Mówionego Słowa. Odrodziła się magia, by rządzić u zmierzchu świata, tak jak u zarania. Sama materia niszej planety uległa w tym czasie subtelnym przekształceniom. Pojawiły się nowe formy materii i przedziwne zjawiska geologiczne: Wędrujące Góry, ruchome i prawdopodobnie obdarzone zdolnością odczuwania kolumny Zielonego Oparu, pagórki z neosferycznego kryształu, które chwytają i przekształcają promieniowanie Kirliana, tajemnicze latające płomienie, a także obszar, w którym króluje tajemnica, określanym mianem Wibrującej Krainy.

A ponad tym wszystkim, panując nad całą epoką, unosi się gigantyczna tarcza Spadającego Księżyca, dniem i nocą wypełniając nieboskłon swym bezmiarem.

Opowieść moja mówi o tym, jak zupełnie nieprawdopodobna trójka bohaterów - kobieta, która kochała nadaremnie, czarownik, który kochał jedynie wiedzę oraz wojownik, który z powodu swych genów nie wiedział czym jest miłość - pokonała Przeznaczenie, wypełniające niebiosy ich przedziwnego świata, a każde z tej trójki równocześnie wygrało i przegrało swe życiowe zmagania.

Lin Carter

Hollis, Long Island, Nowy Jork

OTO SŁOWA JATHABA SCHANDERZOTHA, NIEZNANEGO PROROKA, W KTÓRYCH
PRZEWIDZIANE ZOSTAŁO NADEJŚCIE GANELONA SREBRNOWŁOSEGO:

I znów rozwiewa się opar, który spowijał me spojrzenie, Książę o Lwim Sercu! Widzę Gondwanę w nieopisanych stuleciach zamglonej przyszłości, u granic czasu, gdy Ziemia nie będzie już domem Ludzkości, zaś Noc Wszechpotężna ogarnie cały nasz świat i nic prócz gwiazd nie rozciągnie już nad nim swego panowania. Zaś pierwszy Znak Przeznaczenia ujrzycie w niebiosach, bowiem spójrzcie: oto Księżyc spada, spada w dół z przestworu, tak jakby Dłoń Wszechmocnego Galendila, dźwigająca dotąd sklepienie, zachwiała się pod ciężarem.. i ujrzą w ów czas wszystkie krainy Człowieka; co nie będzie jako inni ludzie; Człowieka zesłanego z mocy Galendila, by zmagął się ze Spadającym Księżycem, by szukał ratunku przed wiszącym nad wami mieczem Przeznaczenia... jak powiedziane jest: „poznacie go po barwie jego włosów, po mocy jego ciała i serca”... albowiem nie będzie on podobny zwykłym ludziom. Przybędzie tak, jak przybywali Wielcy Oswobodziciele z przeszłości, by walczyć, zdobywać i odnawiać świat, a jego ciemne brwi spoczywać będą, niczym pełne majestatu ptaki, na Znaku Feniksa, wieczystym emblemacie Odrodzenia...

Biada mi! Stary już jestem i mój wzrok zmaciła na powrót mgła. Nie będzie mi dane ujrzeć końca opowieści.

Zostało to zapisane w OTH KANGMIR,
Księdze Nieprzemijającej.

1 GANELON SREBRNOWŁOSY

Wyłonił się z mgły tajemnicy i przeminał w legendę. Nikt ze śmiertelnych nie wie, skąd przybył ani też dokąd się udał. Nie wiemy o nim nic, prócz tej opowieści o wielkich czynach i tajemnych pułapkach w odległych krainach Potężnej Gondwany. Wieść głosi, iż to właśnie on, Ganelon, sprawił ten najwspanialszy z cudów świata... że podźwignął Spadający Księżyc na swych szerokich ramionach... że rozszczepił go aż do przejętego chłodem serca swym mocarnym ostrzem.. Lecz kłamliwą jest ta wieść, bowiem nie on, lecz ktoś inny został zbawcą świata. Tylko ja posiadam wiedzę o tym, co naprawdę się zdarzyło, a także o wielu innych rzeczach. Bowiem byłem tam od początku do końca. Słuchajcie mnie, a opowiem wam wieść prawdziwą...

Zastawili na niego pułapkę, gdy przybywał o zachodzie słońca poprzez przełęcz w Górach Koboldów. Było ich siedemnastu, obleczonego od stóp do głów w kolczugi i zakuty w zbroje, złożone z bransolet z czarnego, nieprzenikliwego szkła. Ukryli swe twarze przed wzrokiem ludzi pod żółtymi, porcelanowymi maskami diabłów, takimi, jakich używają LudzieSmoki z Tarath Amberzool, by odstraszyć fanatycznych akolitów Księżyca. Porozumiewali się groźnymi warknięciami, skowytali w bojowej furii i łypali oczyma spod masek wykrzywionych w przerażającym grymasie, okolonych tańczącymi przy każdym ruchu, lśniącoymi pióropuszcami o barwie hebanu.

Przez cały dzień czekali, leżąc, na jego przybycie. Zasadzka była dokładnie zaplanowana. Musiał przejść przez przełęcz, by przybyć do dziedziny Karchoy; w przeciwnym wypadku byłby zmuszony wywalczyć sobie przejście przez tereny Małych Ludzi z Gór, których ciało jest twarde jak krzemień i których można zabić jedynie za pomocą ognia. Zaś ilość oczekujących na niego wojowników wyliczono po mistrzowsku. Albowiem ten, którego zamierzali zabić, mocny był w orężnym zmaganiu; doprawdy, nie zbywało mu na waleczności. Gdyby było ich sześciu lub siedmiu, mógłby wyrębać sobie wśród nich krwawą ścieżkę. Jednak tylko bóg byłby zdolny walczyć i zwyciężyć siedemnastu doskonale uzbrojonych wojowników. Zaś Mistrz powiedział im, że on nie jest bogiem. Przyczaili się więc, gotowi do skoku, skryci w cie-< niu skalnej ściany, wyznaczającej koniec drogi, która wiodła z Szarego Pustkowia ku posiadłości Karchoy. Czekali tu cały dzień, byli więc znużeni i niecierpliwi, żądni poczuć w nozdrzach zapach świeżej krwi. Pierwszy dojrzał go Phay, osiemnasty z nich, a zarazem kapitan całej drużyny. Leżał skryty na szczycie strzelistej góry, mógł zatem trzymać wartość i ostrzec pozostałych, gdy człowiek, którego zamierzali zabić, znajdzie się w pobliżu. Phay był również znużony - miał za sobą długi i gorący dzień. Nie zasnął jednak i gdy zbliżał się wieczór, na długiej, białej drodze prowadzącej z posiadłości Królowej Szkarłatnej Magii ku ziemi Zelobiona, ujrzał człowieka wyjeżdżającego z półmroku pustyni.

Za pomocą umieszczonego na nadgarstku zwierciadła Phay przekazał informację swoim ludziom, obozującym poniżej. A gdy to uczynił, uśmiechnął się tak, jak uśmiecha się wilk: bez radości unosząc spieczoną wargi i odsłaniając zęby. Prawdopodobnie to nie on sam zabije tego człowieka, ale będzie

widział, jak zabijają go inni.

Siedemnastu wojowników bezgłośnie wstało na nogi, rozprostowując obolałe i znużone kości, szykując uzbrojenie do walki. Ich żądza krwi rosła z każdą chwilą. Wielki Mag, władca Karchoy, uzbroił ich należycie: w żywe, samozaplatujące się sznury, latające sztylety z zatrutego szkła, elektryczne włócznie. Czekał na przybycie swej ofiary, śmiali się i wymieniali grubiańskie żarty, pokazując za pomocą szkaradnych gestów, co z nim zrobią, gdy będzie już na ich łasce i niełasce.

Nie spodziewali się oczywiście żadnych kłopotów. Żaden człowiek, który przebył tysięczny pustacie Szarych Pustkowi Yan Kor nie może mieć w sobie dużo sił witalnych. Walka będzie krótka, łatwa i szybko się skończy - myśleli, szczerząc zęby w uśmiechu. Tak rzeczywiście było. Ale nie w sposób, w jaki sobie to wyobrażali...

Półnagi olbrzym o ciemnobrązowym ciele, dosiadający śnieżnobiałego rumaka, dotarł do początku przeocy, gdzie Dwa Filary Skalnej Twarzy wyznaczały granicę włości Zelobiona. Wyglądał dokładnie tak, jak przewidział Mag. Jednak sam widok przeciwnika zmroził krew w ich żyłach.

Sądząc po jego głowie, ramionach i górnej części klatki piersiowej, był wyższy i potężniejszy od wszystkich śmiertelników, których zdarzyło im się widzieć. Jego obnażone ciało zdawało się powiększać z każdą chwilą, a pod skórą falowały potężne mięśnie. Szeroka jak u wspaniałego lwa klatka piersiowa była niczym symbol siły. Mięśnie i ścięgna jak stalowe liny prześlizgiwały się pod skórą jego szerokich ramion i mocarnych rąk. Począwszy od smukłej talii i wąskich bioder, jego tors rozszerzał się niczym stojąca na czubku piramida. Witalność aż iskrzyła się wokół niego, tworząc dotykalaną niemal aurę siły.

Jego uzbrojenie stanowił wielki bułat, przewieszony przez ramię i dodatkowo przymocowany metalowymi pierścieniami do skórzanych pasów, krzyżujących się na środku potężnej piersi wojownika. Jego strój składał się jedynie z tych właśnie pasów, krótkiego kiltu z purpurowego materiału oraz ciężkich buciorów pokrytych giętką stalą. Wyłonił się z półmroku niczym jakiś barbarzyński bóg i człowieczeństwo w każdym z nich zadrżało przed jego potęgą.

Ale to przede wszystkim jego twarz przykuła ich pełne fascynacji spojrzenia. Była bowiem niczym groźna, beznamiętna maska z ciemnego brązu, o kwadratowych, pozbawionych zarostu szczękach. Magnetyczne oczy pełne białej pasji błyszczały pod czarnymi brwiami, tworząc zaskakujący kontrast z nieprawdopodobną, błyszczącą czupryną o intensywnej barwie srebra, która opadała kaskadą na jego ramiona; od niej właśnie wojownik wziął swój przydomek. Mówi się zwykle o „srebrzystych” włosach starszych, posiwiatych ludzi, ale jest to jedynie poetycka metafora. Jednak to nie były zwykłe ludzkie włosy, lecz unoszący się w powietrzu sztandar z wirujących metalowych nici, które iskrzyły się i rozbłyskiwały ogniście niczym kryształ, gdy padały na nie purpurowe promienie zachodzącego słońca.

Ponad jego brwiami widniał, wymalowany lub wytatuowany, emblemat srebrzystego feniksa, unoszącego się z ognistego gniazda. Nawet daleko na południu, w Krainie Wielkiej Kamiennej Twarzy, znany był ten emblemat Bogów Czasu, spełniający rolę talizmanu. Byli przygotowani na jego przybycie i zaatakowali niczym błyskawice już w pierwszej chwili, gdy pojawił się pomiędzy Filarami. Jednak on zareagował jeszcze szybciej. Już w momencie, gdy dźgali swymi elektrycznymi włóczniami w miejsce na siodle wierzchowca, na którym przed chwilą jechał, zdążył zeskoczyć i znaleźć się wśród nich. Wyłonił się za ich plecami niczym ciemnobrązowa zjawka, a jego zaciśnięte pięści uderzały błyskawicznie, z wyraźnie słyszalnym, głuchym odgłosem. Jego ręce, obleczone w

rękawice i owinięte twardą skórą były w nich jak szybko pracujące młoty. Z każdym ich uderzeniem pękała czyjaś szczeka, w skrwawionych szczątkach ust chrzęściły wybijane zęby, porcelanowe maski rozpryskiwały się i spadały, zaś jęczące postacie o czerwonych od krwi obliczach schodziły z pola walki, potykając się i dotykając z niedowierzaniem resztek własnych twarzy. Warcząc i parszając niczym rozwścieczone koty uformowali koło o pustym wnętrzu, w którego środku znalazł się gigant o brązowej skórze, po czym równocześnie dźgnęli go elektrycznymi włóczniami, teraz już energetycznie aktywnymi. Długie, niebieskie iskry energii wystrzeliły, trzeszcząc, z buzujących od siły krystalicznych ostrzy. Każde dźgnięcie taką włócznią może przepalić ludzkie ciało, paraliżując je nieznośnym, agonialnym bólem przeciążonych zakończeń nerwowych. Nawet przelotne dotknięcie iskrą jest w stanie sparaliżować człowieka, powodując iż będzie młócił ziemię rękami i nogami w galwanicznych konwulsjach, a jego mózg spowije czerwona mgła straszliwego bólu.

Jednak już w chwili, gdy uderzali, on zdobył się na jeszcze szybszą odpowiedź.

Dalekim chwytem swej mocarnej ręki złapał i wyrwał broń z dłoni mężczyzny, który dzierżył włócznię z przemożną, zdałoby się, siłą. W następnym ułamku sekundy odwrócił broń i gdy żołnierz gapił się z niedowierzaniem na swą pustą teraz rękę, poprzez wąską szczelinę między obręczami szklanej zbroi zatopił połyskliwe ostrze w brzuchu jej właściciela. Pchnięcie - sparowanie - znów pchnięcie. Jeden z żołnierzy upadł z wrzaskiem na ziemię, gdy kleiste jelita wylały się z otwartej rany, wyciętej w mięśniach jego brzucha uderzeniem włóczni na odlew. Inny zawył niczym torturowany wilkołak, gdy skwierczące, gorące ostrze przedarło się przez mięśnie jego barku, paraliżując całe ramię od nadgarstka po szyję. Kolejny osunął się z czarnym, dymiącym otworem w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było oko.

Mdlący zapach spalonego ludzkiego mięsa atakował ich drgające nozdrza. Nie rozlegał się teraz żaden dźwięk oprócz zgrzytu i szurania skórzanych butów na suchym, krystalicznym piasku, a także pomruków i sapania wyczerpanych ludzi, gdy reszta oddziału desperacko zmagala się ze srebrzystym olbrzymem, który wyłonił się z nieznanych krain, by posiać wśród nich śmierć i zniszczenie.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że żołnierze nie mieli czasu, by wprowadzić do akcji swe żywe sznury, które mogłyby spętać Ganelona. Także ich szklane noże spały w wiszących u pasów futerałach. Po czterech sekundach od rozpoczęcia walki przy życiu pozostało jeszcze dziesięciu żołnierzy. Ich włócznie równocześnie uderzyły w niego niczym jedna, lśniąca, zgniatająca go ściana. Zmiotł je wszystkie na bok, używając zabranej jednemu z żołnierzy włóczni jako maczugi, a potem odskoczył w tył, poza zasięg ich ciosów. Po chwili znalazł się przy urwistej ścianie, na której w żywej, twardej skale wycięta została przed dwoma milionami lat olbrzymia Twarz. Działo się to za czasów panowania Władców Ptelijskich, gdy zeloci Czarnej Enigmy zmagali się z armią Czerwonego Obelisku w czasie stulecia Świętej Wojny.

Po chropowatej skalnej ścianie wspiął się szybko do występu kilkanaście metrów ponad powierzchnią piasku. Wpadł mu w oko znajdujący się tam głaz z czarnego, łupkowatego gnejsu. Miał obwód nie mniejszy niż beczka i był cięższy od dwóch martwych ludzi, ale olbrzym zamknął go w swych potężnych ramionach i wyrwał z podłoża skalnego z zadziwiającą łatwością.

Dziesięciu żołnierzy, którzy zgromadzili się, by zaatakować występ skalny, cofnęło się, gdy ich przeciwnik dźwignął głaz wysoko ponad swą głowę otoczoną srebrzystym obłokiem i cisnął prosto na nich. Głaz ze świstem przeciął powietrze i rozbił się w miejscu gdzie stali, łamiąc jednemu z nich kręgosłup, rozłupując czaszkę drugiego i miażdżąc nogi trzeciego z nich. Zanim zdołali otrząsnąć się z szoku i przegrupować siły, skoczył na nich z krawędzi skalnego uskoku, niczym atakujący tygrys z

antycznego mitu. Chwytał zaskoczonych ludzi, unosił nad ziemię i rzucał ich na siebie nawzajem tak, jakby byli słomianymi marionetkami. Jego ręce, uderzające pięściami lub chwytające ich, aż migotały w błyskawicznych ruchach, będąc teraz jedynie brązowymi, rozedrganymi cieniami. Każdy taki cień pozostawiał wśród nich krwistoczerwoną groźbę zniszczenia. Ramię jednego z żołnierzy zostało niemal wyrwane ze stawu. Uderzenie otwartą dłonią roztrzaskało skroń innego, niczym skorupkę jajka. Trzeci runął na ziemię, dusząc się od swej własnej, ciepłej krwi, gdy tnące uderzenie kantem dłoni olbrzyma zmiażdżyło mu krtań.

Jeden z żołnierzy, wyprowadziwszy niskie uderzenie w nogi Ganelona trzeszczącą od energii włócznią, stracił równowagę na sypkim piasku i upadł na kolana. W ułamku sekundy olbrzym znalazł się nad nim. Nieprawdopodobnie silne dłonie niczym stalowe szczęki imadła zamknęły się na jego kostkach w bezlitosnym uścisku; aż zaskrzeczał z przerażenia, gdy dłonie te rozkołysały go w powietrzu i zakręciły nim wokół niczym żywą maczugą. Roztrzaskał się na innych żołnierzach, powalając ich na ziemię. Jeden z żołnierzy, którego włócznia została strzaskana i odrzucona na bok, dobywał właśnie z ochronnego futerału swego latającego sztyletu, gdy uderzyło weń rozpędzone ciało kolegi, powalając go twarzą w piasek. Klnąc i złorzecząc podniósł się na kolana... A potem jego twarz pokryła woskowa bladość. Ostrze z zatrutego szkła wbiło mu się w udo i bezsilnie obserwował, jak purpurowy płyn rozprzestrzenia się wokół, wypływając poprzez żyły i arterie; po chwili cała noga, od biodra aż po palce, była już martwa. Powoli usiadł na piasku, oblizwał wargi i trwał tak, z oczyma utkwionymi w nicość, dopóki nie zabrała go śmierć. Walka skończyła się zaledwie kilka chwil po jej rozpoczęciu. Olbrzym pochylił się i wytarł do sucha swe dłonie mokre od krwi w krystalicznie czystym piasku. Potem wyprostował się i rozejrzał, obserwując rozpościerającą się wokół scenę nieprawdopodobnej rzezi. Wszędzie leżeli ludzie, pokaleczeni, poszarpani i jęczący lub pogruhotani, połamani i martwi. Krystalicznie czysty piasek, który parę chwil wcześniej szeptał pod delikatnym tchnieniem czystej, nocnej bryzy znad Zatoki Złotego Smoka, był teraz zbrukany, usiany obficie świeżymi plamami ciepłej jeszcze krwi. Siedemnastu ludzi zastawiło na niego pułapkę, gdy przejeżdżał między Dwoma Filarami do Krainy Wielkiej Kamiennej Twarzy. Siedemnastu okaleczonych lub martwych leżało teraz albo grzebało się niezdarnie w przesiąkniętej krwią ziemi.

Nieprawda - szesnastu. Bowiem jeden z żołnierzy pozostał nietknięty, przypadłszy do powierzchni skały. Olbrzym podszedł do niego i popatrzył z bliska na jego bladą ze strachu twarz, po której ściekały krople potu, spojrzawszy w oczy, z których wyczytał nagie, pozbawione jakiegokolwiek maski przerażenie.

- Hej, ty! - chrząknął do niego olbrzym głębokim basem. - Będiesz przemawiał do ludzi przy bramach. Zobaczą się z twoim Magiem czy chce tego, czy nie. Ruszaj!

Wezwał swego białego ornithohippusa, gwizdząc doń wysokim tonem i zwierzę przybyło do niego, a jego gładkie pióra świeciły w ciemności niczym srebrnobiała tarcza Księżyca. Pogłaskał twarde, rogowy, papuzio zagięty dziób zwierzęcia; potem odplątał wodze, którymi kierował ornitopterem i związał je, tworząc coś w rodzaju lassa z pętlą zaciskową wokół szyi wziętego do niewoli żołnierza. Dosiadł wierzchowca i ruszyli w dolinę - milczący żołnierz biegł przodem po drodze prowadzącej do bram miasta ciemnych zigguratów i żółtych, porcelanowych pagód, miasta Karchoy, gdzie rządził Zelobion Mag.

Zaś wysoko nad nimi, na górskiej grani, z której w przerażeniu i grozie obserwował zagładę oddziału, siedział skulony osiemnasty żołnierz, Phay, obejmując chłodnymi ramionami swe drżące ze

strachu kolana. Od czasu do czasu sięgał do swej szyi i żarliwie ścisnął lśniąca figurkę niebieskiego fetysza z porcelany, wiszącą na skórzanym rzemyku, mamrocząc chaotycznie historyczne modły do swych bogów. Służył swojemu panu, Magowi Karchoy już dwadzieścia lat, w trakcie których widział wiele bitew, rozlewu krwi, łupienia zdobytych miast, zasadzek i rzezi. Nigdy jednak nie widział czegoś takiego, jak owa tygrysia, nadludzka dzikość olbrzyma o ciemnobrązowej skórze, który przybył z Szarych Pustkowi.

Bez wątpienia Phay mógłby już nie bojąc się o swe bezpieczeństwo zejść na dół; jednak wciąż trwał, przywierając do szczytu urwiska skalnego, drżąc, na wpół oszalały z przerażenia i odrazy. Od czasu do czasu zaciskał wargi i splotwał, jakby miał nadzieję, że uda mu się zwymiotować wspomnienie tego, co ujrział. Skąpane w czerwieni słońce powoli pogrążało się w purpurowym łożu z rozżarzonych węgli, które rozciągało się na zachodnim nieboskłonie.

Spadający Księżyc wznosił się ponad horyzontem górskich szczytów i grani. Olbrzymi łuk jego tarczy rozciągał się niemal po obu stronach horyzontu, zaś z jego powolnym wznoszeniem się pogrążony w cieniu świat rozbłykiwał bladą purpurą nibyświtu... bo w tym świecie przyszłości noc już nie istniała. I tak Ganelon Srebrnowłosa przybył do miasta Zelobiona Maga. Ganelon Srebrnowłosa... człowiek stworzony przez Bogów Czasu.

2 ZELOBION MAG

W tym samym czasie Zelobion Mag, Władca Karchoy, adept Szkoły Magii Fonematycznej, znajdował się w przylegającym do swoich laboratoriów pomieszczeniu o ścianach wyłożonych ołowiem, prowadząc ważne badania.

Pomieszczenie to, wykute bezpośrednio w skalnym podłożu dziesięć metrów pod powierzchnią ziemi, na której leżało Karchoy, było jego komnatą słownikową. Pokryte ołowiem ściany były specjalnie ukształtowane w celu osiągnięcia doskonałej akustyki dla badania nowych fonetycznych kombinacji i syntez. Dziś Mag przygotowywał do wypróbowania Wypowiedź Molekularnego Rozpadu.

Mag, który był nie całkiem człowiekiem, wyglądał majestatycznie z racji swej szczupłości i wysokiego wzrostu. Jego gęsta, zielona broda o barwie wodorostów i symetryczne rzędy szczelin po obu stronach krtani pod łukiem żuchwowym wskazywały na to, iż ma quasiakwaticznych przodków. Rzeczywiście, był on owocem przypadkowego związku pomiędzy wodną rusałką zwaną Meluzyną a mistrzem z perypatetycznej Szkoły Żywiołów (po nim właśnie Zelobion odziedziczył panowanie nad kilkoma bardzo użytecznymi Sylfami i jedną raczej niechętną do współpracy Salamandrą).

Teraz, obleczony w ciężkie szaty z niezniszczalnego szkła kompozytowego, ukryty za maską z nieprzenikliwego metalu, Zelobion kierował swe magiczne siły przeciwko sześcianowi z litego kryształu, spoczywającemu na niewielkim piedestale z antyentropijnego ixium po drugiej stronie pomieszczenia słownikowego. Zelobion odśpiewywał właśnie złożoną, wielosylabową Wypowiedź skierowaną przeciwko krystalicznemu blokowi, zwracając wielką uwagę na to, by doskonałe nastroje, ton i czas trwania każdej nuty odpowiadały zmiennej rytmice wypowiedzianych sylab. Właśnie wtedy rozległ się ogłuszający trzask, który wstrząsnął całym pomieszczeniem. Sześcian z kryształu pokryła nagle sieć zygzakowatych, czarnych linii, tworząc dwadzieścia głębokich szczelin. Jednak tylko niewielka część bloku uległa zniszczeniu na skutek uderzenia Wypowiedzią. Roztrzaskana część wypełniła powietrze mgłą błyszczącego, krystalicznego pyłu. Zelobion westchnął ze znużeniem i zdjął maskę. Już po raz trzydziesty w bieżącym stuleciu podjął próbę opanowania tej szczególnie złożonej i trudnej sekwencji fonemów. Użyta właściwie, Wypowiedź ta powinna była obudzić napięcia, ukryte w oscylacyjnej strukturze kryształu - napięcia, działając na siebie, powinny z siłą wulkanu rozsadzić molekularne połączenia cząstek elementarnych, likwidując scalające je siły. Lity blok kryształu winien ulotnić się z ogłuszającym hukiem i w oślepiającym blasku, towarzyszącym jego rozpadowi w eksplozji rozżarzonej pary. Nic takiego nie zaszło, a zatem po raz kolejny eksperyment spalił na panewce.

W centralnej sali swego laboratorium Zelobion dowiedział się o swym kolejnym niepowodzeniu. Wykonana w czerwonym kamieniu rzeźba kariatydy, prawa z dwóch wspierających kamienne wejście do sali, przemówiła do niego swym bezbarwnym, chrapliwym, drażniącym i nieharmonijnym

głosem:

- Panie, Konstruktor zwany Srebrnowłosym dotarł właśnie do bram miasta i domaga się, by go wpuścić. (Należy wyjaśnić, że wewnątrz kamiennego ciała kariatydy zainstalowany został żywy krystaloid. Pomiędzy każdą z siedmiuset takich kariatyd, rozrzuconych po całym mieście Karchoy, a wszystkimi pozostałymi, istniało coś w rodzaju rezonansu opartego na współodczuciu; dotyczyło to również dwóch czerwonych tytanów, wspierających łukowo sklepioną bramę miasta, a zatem Zelobion mógł dysponować natychmiastową wiedzą praktycznie o wszystkim, co działo się w jego grodzie).

Zelobion Mag, władca Karchoy, przez kilka sekund kłął z podziwu godną biegłością językową i wyobraźnią, dotyczącą anatomicznych szczegółów, zanim ugiął się pod brzemieniem oczywistej konieczności i rozkazał, by intruzowi pozwolono wjechać do miasta. Odprawiając swe rutynowe obrządku pomyślał z goryczą, że jak dotąd, jest to wyjątkowo pechowy wieczór.

Olbrzymi hali pałacu został zbudowany po to, by wywierać wrażenie na przybyszach i zadziwiać ich swym ogromem. Wyrzeźbione w kamieniu giganty podpierały znajdującą się na wysokości około czterdziestu metrów ponad marmurową posadzką kopułę z białego szkła, przez którą wlewały się strumieniem promienie Spadającego Księżyca, rozjaśniając cały hali blaskiem przypominającym światło słoneczne w południe.

Zadziwiające dzieła sztuki, umieszczone w niszach wzdłuż centralnego pasażu oślepiły przybysza, migocząc, błyszcząc i pulsując. Replika słynnego Czerwonego Obelisku Thoha roiała się od złowieszczych, drażniących zmysły płomyków. Wysoka na trzy i pół metra, znakomicie wyrzeźbiona z wielkiego przedniego kła jeszcze bardziej gigantycznego wodnego potwora, statua herosa Azgelasgusa przedstawiała go podczas mocowania się z Białym Gryfonem, którego pokonanie stanowiło Ósmą Pracę bohatera. Kryształowa rzeźba o wysokości zaledwie czterdziestu pięciu centymetrów przedstawiała w sposób oszałamiająco dokładny, z mikroskopijnymi detalami upadek tysiąca demonów Herezji Gereshonitów. Najsłynniejszy obraz minionych dziewięciu milionów lat, „Triumf Madhrene” pędzla Foresco, błyszczał w alabastrowej oprawie, roztaczając oślepiającą gamę kolorów (w tym trzy odcienie: perłowy, pastelowy i alizarynowy, które potem już nie istniały w widmie widzialnego światła). Ganelon Srebrnowłosy, krocząc przez rozbrzmiewający echem hali, nie poświęcił nawet przelotnego spojrzenia któremukolwiek z tych cudów. Podszedł do stóp dziewięciostopniowego podnóżka tronu, na którym, cały w srebrze, spoczywał Mag, Władca Karchoy, ustrojony w migotliwe klejnoty.

- Ty jesteś Ganelon, zwany Srebrnowłosym - zauważył Zelobion ponuro. - Miałem nadzieję, że tu nie przybędziesz.

- Dlaczego nasłałeś na mnie swoich wojowników, gdy wkraczałem do krainy Wielkiej Kamiennej Twarzy? - spytał groźnie olbrzym. Zelobion osadził go niechętnym spojrzeniem, po czym westchnął.

- Zostałem ostrzeżony o twoim przyjsciu przez Sylfa, który przysiągł mi służyć - odparł bez żadnych przeprosin. - Za pośrednictwem entropospeksji wiem to i owo o śmiesznym celu, który sobie postawiłeś, i nie życzę sobie mieć cokolwiek wspólnego z tą niedorzeczną donkiszoterią. Miałem nadzieję, że uda mi się zniechęcić cię na samym wstępie. Rzeczywiście, zastawiłem pułapkę, która, jak wnioskuje, całkowicie zawiodła. Jednak jeśli naprawdę wykonanie tego zadania zostało ci nakazane przez Bogów Czasu, dowodem tego byłaby twoja odporność na ciosy. Mając zatem dowód, iż tak jest w istocie, sprawdziłem przynajmniej prawowitość twych roszczeń.

- Ach, tak... Szesnastu martwych ludzi spoczywa w cieniu Dwóch Filarów; mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany swoim dowodem! - ryknął Ganelon. - Bogowie Czasu nałożyli na mnie zadanie, do którego wykonania jestem zobowiązany - zaczął. - Księżyc...

- Wiem, wiem; możesz odpuścić sobie wyjaśnienia - stwierdził Zelobion z irytacją, niecierpliwym gestem dłoni przerywając jego przemowę. - Mój dobry człowieku, powszechnie wiadomo, że Księżyc spada od wielu milionów lat. Nie jestem przekonany, czy rzeczywiście żyjemy w Ostatnich Dniach. O ile wiem, upadek naszego satelity może doskonale trwać jeszcze wiele milionów lat. Nawet jeśli to, co bezpośrednio mówią proroctwa jest prawdą, ani moja wiedza, ani też twoja siła nie zdołają powstrzymać upadku tak nieuniknionego, ani też odsunąć Księżyc z jego ścieżki.

Ganelon zmarszczył brwi i przesunął się nieco, zaś marmurowa posadzka, której wytrzymałość obliczono na wagę zwykłego człowieka, zatrzeszczała pod jego ciężarem.

Zelobion przyjrzał się badawczo obnażonemu olbrzymowi. Jego ajnaik czakra, Trzecie Oko astralnego ciała Maga, którego odpowiednik na wyższym poziomie egzystencjalnym obserwował właśnie astralną formę odpowiednika Ganelona na tej samej wyższej płaszczyźnie, otworzyło się i zbadało aurę wojownika. Dzięki obserwacji odcieni, cyklu wibracyjnego i prążków aureoli, półcienia oraz rdzenia aury Ganelona Mag był w stanie odczytać pewne nieomyślne znaki dotyczące stojącego przed nim, milczącego olbrzyma. Okazało się, że są one rzadko spotykane, szczególne i niezwykle interesujące. Wbrew swej woli Zelobion poczuł pierwsze, nieśmiałe jeszcze zaburzenia aury, zwiastujące atak owej fascynującej i niszczycielskiej dziwności, która jest przekleństwem dla ścisłego umysłu naukowca, a zarazem jego błogosławieństwem.

- Rozumiem, że jesteś Konstruktem - stwierdził opryskliwie. - Kiedy wyłoniłeś się ze swojej rasy?

- Nie wyłoniłem się z żadnej rasy. Zostałem wyhodowany w genetycznym laboratorium w Krypcie Ardelix, która znajduje się u podnóża Gór Kryształowych - odparł Ganelon.

Zelobion uniósł brwi ze zdziwienia. Dwieście milionów lat wcześniej, gdy umierali Bogowie Czasu, w pewnych rejonach ziemi umieścili ukryte krypty, w których, zamknęli superbohaterów, dysponujących niezwykłą energią, oczekujących na swoją godzinę - będącą równocześnie godziną próby dla ludzkości. Zgodnie z mitologią ludu ZulRashemba krypty te zostały tak zaprogramowane, by otworzyć się dokładnie o ściśle określonej porze, w dobie kryzysów. Krypty te stworzyła tajemnicza półrasa, znana pod imieniem Bogów Czasu, której źródłem sławy była niesamowita umiejętność obserwacji przyszłych wydarzeń w ich najdrobniejszych szczegółach. Jednak Krypty Czasu okazały się w większej części czystą mitologią. Jeden jedyny raz tylko jedna z nich otworzyła się za ludzkiej pamięci; była to krypta, w której znajdował się Kalidondarius, Wielki Myśliciel z Aopharz. Jego wyłonienie się z krypty, skrytej w mulistych głębinach Morza Letryjskiego, miało miejsce dokładnie w tym czasie, w którym mógł on przywrócić do życia zapomnianą niemal naukę bionometrii solsejsmicznej, która okazała się czynnikiem najwyższej wagi dla przetrwania Trzydziestego Imperium Wielkiego Velademaru. W przeciwnym wypadku zostałoby ono całkowicie zmiążdżone pod buciorami Hordy Urghaskiej, gdy tysiąc lat później roznieciła ona Zieloną Dżihad. Zaś upadek Trzydziestego Imperium (wedle opinii socjometryków) przyniósłby w czasach późniejszych nieobliczalne szkody panowaniu człowieka na kontynencie Gondwany.

Jednakże oprócz tego odosobnionego przypadku żadne Krypty Czasu nie otworzyły się nigdy - jeśli inne krypty w ogóle istniały. Zaś pozostałe fakty dowodzące istnienia i działalności Bogów

Czasu ograniczały się jedynie do znakomicie zsynchronizowanego z wydarzeniami rodzenia się co jakiś czas pewnych szczególnych jednostek, obdarzonych niezwyklej talentami, starannie zaplanowanymi w ich kodzie genetycznym i „zasianymi” w plazmie ich zarodków całe tysiąclecia przed ich narodzinami, a potem hodowanymi aż do dojrzałości, by wyłonić się z rasy macierzystej dokładnie w czasie, gdy trzeba stawić czoło najistotniejszym i najtrudniejszym problemom danego stulecia; czas tego wyłaniania się obliczono z dokładnością, która wydawała się zaiste zadziwiająca. Takim właśnie nadczłowiekiem, który wyłonił się za sprawą Bogów Czasu, był na przykład mądry i utalentowany Dziewiąty Sędzia z Trantain, który rozwiązał Dylemat Saftylijski. Problem ten mógł w przeciwnym wypadku usidlić i pochłonać w szaleńczej frustracji połowę najwybitniejszych intelektów owego czasu. Innym był przesławny Pluralista z Mantragonu, którego natchnione badania ludzkiej psychologii doprowadziły do odkrycia nowego, dziewiątego zmysłu. Jego udoskonalenie przez ludzi zbiegło się w czasie z ekspansją nie znanych dotąd, a wyjątkowo złośliwych i śmiertelnych Demonów Mgły z Jatheg Quool, niewykrywalnych w żaden inny sposób, jak właśnie owym dziewiątym zmysłem, gdyby zatem nie jego odkrycie, Demony mogłyby opanować i całkowicie wyludnić Ziemię.

Do chwili obecnej pojawili się także inni wspaniali „nadludzie”, którymi Bogowie Czasu wzbogacili rodzaj ludzki. Były to takie postacie, jak na przykład wojowniczy król Kelvon XXII, władca Czterdziestu Dziewięciu Miast Kraju Jamy lub Phosphotex Calgalandar, mesjasz, założyciel religii Dwunastej Tajemnicy z Pesh, którego nauczanie tak głęboko poruszyło potężny naród Hazyjczyków, iż ni mniej ni więcej tylko siedemset trzydzieści jeden tysięcy genialnych poetów czerpało inspirację do dzieł swego życia z głębokich rozważań teologicznych zawartych w jego powszechnie czczonym piśmie „Wyzwolenie Myśli”. Te właśnie refleksje przemykały błyskawicznie przez dobrze wyposażony w znajomość faktów umysł Zelobiona; stało się to w czasie znacznie krótszym niż ten, który zużyłem ja, by nakreślić choćby pobieżny ich szkic. Jednak Mag myślał także, z charakterystycznym dla siebie sarkazmem, iż tajemniczy zmysł przewidywania owych dziwnych istot, mimo całej swej błyskotliwości i precyzji, nie uchronił ich przed ostateczną, najwyraźniej przeznaczoną im zagładą w czasie wielkich deszczów meteorytów w Stuleciu Magów Myśli. Tyle na temat Bogów Czasu... - zakończył Zelobion ten wątek refleksji.

Lecz jeśli Ganelon mówił prawdą, jeśli rzeczywiście nie był jedynie genetycznie zaprogramowanym „nadczłowiekiem” a prawdziwą istotą, stworzoną przez Bogów Czasu, zamkniętą przez wiele stuleci w antyentropijnej Krypcie Czasu, oznaczało to najpotężniejszą z wyobraźalnych zmian w dziejach starożytnej Gondwany.

W jaki sposób tutaj przybyłeś? - dopytywał się Zelobion, raczej w celu zyskania na czasie, by móc kontynuować swe własne rozważania na temat zaistniałej sytuacji, niż po to, by zgromadzić potrzebne informacje.

- Siedemdziesiąt lat temu wyszedłem z Krypty Ardelix - odparł Ganelon swym głębokim, spokojnym, starannie odmierzonym głosem. Był on co najmniej o oktawę niższy od najniższego tonu, który mogłyby wyemitować struny głosowe człowieka.

- Miałem ciało dorosłego mężczyzny, lecz nie wiedziałem nic; byłem nie zapisaną kartką, niczym gaworzące niemowlę - kontynuował Ganelon. - Nagi jak wodnik wyłaniający się z rzeki, błąkałem się wśród rozrzuconych wokół odłamków kryształowych skał, nie wiedząc ani tego, kim lub czym jestem, ani też jaka kraina rozciąga się wokół mnie. Tam właśnie, wśród poprzewracanych resztek kryształowych iglic i szczytów, odnaleźli mnie ludzie. Wędrowny sprzedawca amuletów wraz z żoną,

w drodze z ojczyzny wśród Dymiących Gór Zathmandaru do portu w Królestwie Dziewięciu Hegemonów, dotarli do mnie podczas jednego z tych Niebieskich Deszczy, które periodicznie nawiedzają tę udręczoną i pełną tajemnic krainę na granicy.

Dobry, stary sprzedawca amuletów i jego małżonka, kobieta o wielkiej uprzejmości i bardzo dobrym sercu, obdarzona matczynym ciepłem, mimo że była Nieczłowiekiem z Martwych Miast Caostro na Mniejszym Morzu Wewnętrznym Zelphothon, adoptowali mnie. Często podczas burzliwych nocy opowiadali mi, jak wyłoniłem się przed ich obliczami, a moja naga skóra spływała opadającym wraz z deszczem z niebios osadem barwy indygo; byłem niczym Widziadło Umysłu, jedno z tych, których można doświadczyć, przebywając wśród Twórców Iluzji w EolTrendax...

- Na miłość Dobrego Galendila, przejdźże wreszcie do sedna! - przerwał gniewnie Zelobion. Ganelon kiwnął głową potakująco i kontynuował opowieść:

- Adoptowali mnie, choć nie wiedzieli nic o moim zadziwiającym pochodzeniu; a w każdym razie nie więcej niż ja. Nauczyli mnie robić amulety i przez jakiś czas byłem asystentem swego ojczyma w niewielkim sklepie w Zermish, Mieście Talizmanów. Wkrótce jednak mój niezwykle wzrost i dziwne włosy przyciągnęły uwagę Zelmariny, Królowej Czerwonej Magii, która nabyła mnie od Hegemona miasta Zermish i zawiozła rydwanem zaprzężonym w latające smoki do swego pałacu ze skrzącego, purpurowego kryształu, znajdującego się w Górach Karłów Śmierci. Wkrótce okazało się, że pożałowała mnie bardziej jako kochanka, niż z jakiegokolwiek innego powodu i ona też pierwsza odkryła mą szczególną, nieludzką naturę, wyrażającą się częściowo poprzez brak określonych elementów emocjonalnych, uważanych za niezbędne u normalnego hominida. Właśnie w trakcie swego uwięzienia w czerwonym pałacu doświadczyłem Objawienia i dowiedziałem się o swej misji.

- A więc na czym ona polega? - spytał Zelobion.

- Księzyc spada na Ziemię i niszczy ją po upływie dziewięciu tysięcy lat. Tylko ja, z twoją pomocą, będę w stanie sprawić, by to się nie zdarzyło - stwierdził Ganelon cicho.

Po tych słowach przez zgromadzoną w hallu pałacu wielobarwną ciżbę przedmiotów i dzieł sztuki, których panem był Mag, przebiegło nieuchwytne drżenie. Zelobion chrząknął i polecił olbrzymowi opowiedzieć, jak udało mu się wydostać z ramion Purpurowej Czarodziejki, która z pewnością nie była skłonna łatwo wyrzec się tak cennego obiektu swego pożądanego.

- Wywalczyłem sobie przejście przez Góry Kryształowe - odparł Ganelon cierpliwie.

- Czyż Czerwona Pani nie nasłała na ciebie swych Karłów?

- Było tak istotnie, lecz przedarłem się przez ich kohorty. Karły Śmierci to istoty małe, pękate, o zielonej skórze twardej jak podeszwa. Poruszają się one na swych karłowatych nogach. Porozumiewają się za pomocą przenikliwych pisków, strzykają jadem z ostrzy swych wydrażonych włóczni i noszą szaty ze stali. Na rozkaz Królowej Zelmariny pocięli oni, niczym korniki, wielościenne Góry Kryształowe licznymi, pełnymi ostrych kątów korytarzami. Ja jednak wybrałem tajemne przejście pod ziemią i tak przewędrowałem Królestwo Jemalkhiri, po czym wyłoniłem się na powiprzchnię w pobliżu granic Krainy Czerwonej Magii, gdzie toczy się Milionletnia Wojna Królestwa Jemalkhiri z plemieniem Akoob Khan. Tam właśnie wstąpiłem na kilkuletnią służbę żołnierską wśród najemników z tego plemienia, dzięki czemu nauczyłem się szlachetnej sztuki wojennej. Przynosiłem sobie również to, co mówi tradycja na temat mojej misji, ślęcząc nad foliałami w bibliotece Czarnej Wiedzy, znajdującej się pod prastarymi Cylindrycznymi Miastami Zelotów z Barbardonu, opuszczonymi przez nich w czasach, gdy cała Gondwana znalazła się pod

panowaniem Dwoistego Misterium. Stamtąd właśnie wyruszyłem w dalszą podróż, by na grzbiecie mego ornithohippusa przekroczyć Szare Pustkowia Yan Kor i dotrzeć do Krainy Wielkiej Kamiennej Twarzy. I oto stoję przed twym obliczem, Zelobionie Magu, by przekazać ci żądania Bogów Czasu, przez których zostałem stworzony. Twoim przeznaczeniem jest towarzyszyć mi w tym przedsięwzięciu.

- To nonsens. Nie mam zamiaru opuszczać tej ziemi, której jestem jedynym władcą - powiedział chłodno Mag.

Ganelon zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy, zmierzwiwszy dłonią swą błyszczącą czuprynę.

- Wręcz przeciwnie. Jeśli użyjesz Wypowiedzi Nieomyślnej Gry Losu, dowiesz się, że będzie inaczej niż sądzisz - powiedział z niezachwianą pewnością. Wyraz twarzy Zelobiona świadczył o wyraźnym zakłopotaniu. Stworzona przez Sombellina Wypowiedź Nieomyślnej Gry Losu była sposobem przepowiadania z wielką precyzją własnych działań w najbliższej przyszłości. Mag poczuł się nieswojo, słysząc, iż brązowoskóry olbrzym zaproponował takie rozwiązanie. On sam z wielką niechęcią używał Wypowiedzi Sombellina, ponieważ dowiedziawszy się z niej, jakie rozwiązanie pewnego problemu wybierze, nie miał już innej możliwości, jak zastosować tę właśnie, przepowiedzianą opcję. Gdy Zelobion stosował tę Wypowiedź, by upewnić się, jaką należy podjąć decyzję, jego własna wolność ulegała zawsze jakby zawieszeniu. Mimo to wydawało się, że nie ma innego sposobu, by wybrnąć z tej sytuacji i Zelobion jedynie po cichu przeklął Ganelona Srebrnowłosego i Bogów Czasu, którzy sprytnie wyposażyli go w wiedzę na temat Wypowiedzi. Chcąc nie chcąc przywołał swe magiczne siły i sformułował Wypowiedź. Gdy artykułował jej potężne zgłoski, w powietrzu uformowała się chmura czarnej pary, zrodzona z jego oddechu. Serpentina dymu atramentowej barwy unosiła się teraz w przestrzeni, skręcając się w wielokształtnych splotach. Zelobion zadał pytanie, czy rzeczywiście będzie towarzyszył Konstruktorowi podczas jego misji. Wtedy ów dym gwałtownie poruszył się i rozdzielił na sto siedemdziesiąt małych fragmentów, które utworzyły w powietrzu osiem linijek tekstu.

Zelobion westchnął, bardzo zdenerwowany, lecz niezdolny przeciwstawić się sile przeznaczenia. Bowiem wyrok wisiał teraz w powietrzu ponad podłogą hallu pałacu, wyraźnie widoczny i czytelny dla każdego, delikatnie drżąc pod wpływem zmiennych podmuchów:

ZELOBION z KARCHOY
PORADZI SIE. SIEDMIU MÓZGÓW
CO DO MOŻNOŚCI PRZECIWDZIAŁANIA
SPADAJĄCEMU KSIĘŻYCOWI
I WYRUSZY z GANELONEM
ORAZ INNYM WSPÓLTOWARZYSZEM PODRÓŻY
NA DALEKĄ WYPRAWĘ
DO ODLEGŁEJ KRAINY

3. SIEDEM MÓZGÓW Z KARCHOY

Bezpodstawne byłoby twierdzenie, iż Zelobion nie zirytował się tym, co obwieściła mu Wypowiedź Nieomyślnej Gry Losu. Teraz, w późnych dziesięcioleciach swej daleko posuniętej dojrzałości, nie przejawiał żadnego zainteresowania pomysłem, by opuścić swoje małe, wygodne królestwo i życie w nim zamienić na niebezpieczeństwa i przygody na zapyłonych drogach oraz w odległych krainach Ziemi. Mimo to był teraz nieodwołalnie zobowiązany, by tak właśnie uczynić. Spieranie się z przeznaczeniem nie miało najmniejszego sensu. Teoretycznie mógł powiedzieć „nie” i po prostu odmówić Ganelonowi, by upewnić się, że ma wolność wyboru. Jednak, gdy siedział na swym tronie z czarnego i żółtego szkła, ogarnęło go poczucie daremności takich prób, gdyż w gruncie rzeczy nie mógł powiedzieć „nie”; nieomyślna wyrocznia przepowiedziała bowiem, że powie „tak”, zaś trudno pytającemu o przyszłość człowiekowi spierać się z głosem przepowiedni (a także z jej literą), jeśli jej wyrok wypływa z jego własnych ust. Próżno byłoby spierać się z Ganelonem Srebrnowłosym za pomocą logicznych argumentów. Logika zarzutów Zelobiona przeciw podejmowaniu związanego z misją ryzyka była miażdżąca: nie mogli przecież zrobić nic, by zatrzymać Spadający Księżyc. Żadna z wypowiedzi znanych Szkole Magii Fonematycznej - nawet gdyby odśpiewało ją unisono milion ludzi - nie była w stanie wstrząsnąć zimną kulą Księżyca i rozsadzić ją, by stała się nieszkodliwym dymem, tak jak powinno się to stać z kryształowym blokiem podczas eksperymentu Zelobiona. Skoro zaś sukces ich misji był logicznym niepodobieństwem, czy miało sens w ogóle ją podejmować?

Argumenty te wydawały się niepodważalne z punktu widzenia ich twórcy. Jednak sama tylko logika nie była zdolna wpłynąć na Ganelona. Pozostawał niewzruszony, twardy niczym diament. Przyparty do muru, posługiwał się innym argumentem, o równie nieskazitelnej logice: przecież Bogowie Czasu nie umieścili jego zarodka w Krypcie Ardelbc dla czezej zabawy, lecz z dobrze uzasadnionej, realnej przyczyny. Jeśli został przez nich stworzony po to, by uratować świat przed zagrożeniem ze strony Spadającego Księżyca, w oczywisty sposób musiały istnieć jakieś środki, za pomocą których zadanie to mogłoby zostać wykonane. Zaś znalezienie tych środków było sprawą jego i Zelobiona.

Mag początkowo irytował się, wściekał i martwił, ale bez żadnego rezultatu; ostatecznie zatem poddał się woli Konstrukta i zdecydował rozpocząć opracowywanie planu działań.

- Jeśli jakiegokolwiek sposoby dokonania tego rzeczywiście istnieją - stwierdził z pełną znużenia rezygnacją - moglibyśmy rozpocząć ich poszukiwanie. Chodźmy skonsultować się w tej sprawie z Siedmioma.

- Kim oni są? - spytał wyniosły brązowoskóry olbrzym.

- To Siedem Mózgów Karchoy. Dzielą oni między siebie całą wiedzę zgromadzoną przez ludzkość. Tędy. Ganelon Srebrnowłosy ruszył za Magiem Karchoy. Sekretnym przejściem wydostali

się z hallu i wkrótce zaczęli przemieszczać się krętą drogą po spiralnych schodach i przez pełne kurzu pomieszczenia, które najwyraźniej dawno już przez nikogo nie były używane. W miarę jak posuwali się do przodu, Zelobion wyjaśniał naturę tajemniczych Siedmiu.

- Są najpotężniejszymi intelektami ostatnich dziesięciu milionów lat - stwierdził. - To uczeni, których pasja wiedzy była tak wielka, że odkryli szczególną metodę osiągnięcia bezcielesnej nieśmiertelności, by uwolnić swe umysły z niewoli czasu i koncesji na rzecz podeszłego wieku oraz zbliżającej się śmierci; a uczynili to, by móc kontynuować swe dociekania już pod postacią wyzbytych ciała istot, będących tylko czystą myślą.

- Jak ten cud mógł się dokonać? - spytał Ganelon dudniącym głosem.

- Myśl, mój młody przyjacielu, jest serią elektrycznych impulsów. Pamięć stanowi pewien kod tych impulsów, za pomocą którego co ważniejsze refleksje i wrażenia zmysłowe przechowywane są w celu ich późniejszego przywołania. Zaś cały umysł człowieka nie jest niczym innym, jak systemem powiązanych ze sobą ścieżek, po których wędrują elektryczne pobudzenia pomiędzy poszczególnymi rozgałęzieniami.

- Rozumiem...

- Logicznie rzecz biorąc, nie istnieje żaden powód, dla którego myśl powinna ograniczyć się do tej organicznej „baterii” chemicznej, jaką jest ludzki mózg - kontynuował Mag. - Podobny schemat może istnieć doskonale w ramach powiązań pomiędzy cząsteczkami jakiegoś przewodzącego elektryczność metalu, takiego na przykład, jak żelazo. Dokładnie w ten właśnie sposób zrobiono Siedem Mózgów Karchoy.

Dotarli tymczasem do wysokiego pomieszczenia, w którym znajdowały się strzeliste kolumny; sufit wydawał się być łukowym sklepieniem utkanym z samego światła. Siedem kolumn tworzyło potężne kolisko w środku komnaty. Kolumny te zrobione były z gładko wyszlifowanego, przezroczystego kryształu. Światło, które padało na nie z sufitu, tworzyło w ich wnętrzu mnóstwo iskrzących się ognisć, połyskliwych płatków. Ganelon i Zelobion weszli pomiędzy nie i zaczęli im się przyglądać.

- Umysły Siedmiu Mędrców zostały „przeskanowane” za pomocą superczułego, elektronicznego urządzenia zapisującego. Dostrzeżony przez nie wzór został zduplikowany za pomocą struktury molekuł żelaza, wtopionych następnie w te kolumny z niezniszczalnego kryształu. Zduplikowane umysły nie różnią się ani odrobinę od swych biologicznych odpowiedników, które już dawno ugięły się pod ciężarem swego wieku i uległy twardym prawom śmiertelności. Jednak ich krystaliczne duplikaty wciąż toczą swój świadomy żywot, spędzając całe stulecia na bezustannych rozważaniach.

- Zdziwiałe! - skomentował Ganelon Srebrnowłosey.

- Ależ skąd! To zwykły drobiazg.

Siedem kolumn stało w swej spokojnej i odwiecznej kontemplacji, jakby śniąc w powodzi padającego na nie z góry słonecznego światła. Ganelon był pragmatycznym człowiekiem czynu, a jednak on także poczuł dziwną, ogarniającą go emocję, coś w rodzaju zabobonnego niemal lęku, wynikającego z bliskości tych ponadczasowych, bezcielesnych intelektów.

- Czy oni mogą nas obserwować? - spytał. Mag potrząsnął głową przecząco.

- Ich urządzenia czuciowe nie są aktywowane. Łatwiej jest myśleć w ciemności i ciszy, bez dokuczliwego rozproszenia uwagi. Tak więc oni są od nas całkowicie odizolowani, choć mogą do woli komunikować się między sobą i często tak czynią, dyskutując w swym gronie na tematy naukowe. Używają w tym celu czegoś w rodzaju telepatii molekularnej lub też rezonansu

psychicznego. Teraz muszę chwilę pomyśleć...

Zaczął przechadzać się wokół utworzonego przez kolumny okręgu, w zamyśleniu gładząc palcem wskazującym grzbiet swego nosa; najwyraźniej coś rozważał.

- Dla naszych potrzeb użyję mechanizmów czuciowych Kelemona Fizyka i Paolaliana Astronoma. Wątpię, żebyśmy potrzebowali pomocy ze strony przedstawicieli innych dyscyplin.

Zaczął manipulować przy podstawach tych kolumn, które zawierały odcieleśnione intelekty Kelemona i Paolaliana. W trakcie tych czynności błyszczące soczewki wewnątrz kolumn skierowały się na nich. Zostały uruchomione również urządzenia imitujące ludzką mowę.

- Jaka jest obecnie data? - spytał Paolalian metalicznym tonem.

- Dziesiąty Rok Trzysta Dwudziestej Pierwszej Dekady Trzynastej Epoki Sześć Tysięcy Dziewiątego Eonu.

Paolalian łagodnie westchnął.

- Tak wiele czasu minęło! Już osiem milionów lat od chwili, gdy po raz ostatni jakiś śmiertelnik zasięgał mojej porady. Gdyby w moim obecnym, bezcielesnym stanie możliwe było odczuwanie jakichś emocji, nie ulega wątpliwości, że energicznie protestowałbym przeciwko upadkowi zainteresowania nauką o ciałach niebieskich, który obserwuję w ciągu swego świadomego istnienia. Ale proszę, jakie jest wasze pytanie?

- Księżyc spada na Ziemię. Chcielibyśmy dowiedzieć się, dlaczego i co można by zrobić, by zatrzymać lub odwrócić ów proces - powiedział Zelobion. Mózg wydał pomruk zainteresowania.

- To interesujący problem. Czy jesteś tam, Kelemonie? - zwrócił się do drugiej aktywowanej kolumny.

- Jasne, że tak. Jednak problemy związane z Księżycem nie znajdują się w obszarze mojego zainteresowania i doprawdy dziwię się zuchwałości Zelobiona Maga, Władcy Karchoy, który ośmielił się przeszkodzić mi w rozważaniach tak trywialnym pytaniem - odparł drugi Mózg.

- Rzeczywiście, „trywialnym”? - zachnął się Zelobion. - Czy pytanie, jak bliskie jest nieuchronne i całkowite zniszczenie naszej planety nie jest wystarczająco ważne, by przerwać twoje rozważania?

- W najmniejszym stopniu - odparł Kelemon z wyraźną złośliwością w głosie. - Subplanetarna kolizja, która najprawdopodobniej zniszczy całe organiczne życie na powierzchni Ziemi, w najmniejszym stopniu nie zaszkodzi temu stanowi molekularnemu, w jakim obecnie się znajduję, ponieważ kolumny, w których spoczywam zarówno ja, jak i moi koledzy, są niezniszczalne. Zastanawiam się jednak, czy moja ocena sił geofizycznych, które wyzwolą się przy takiej kolizji, jest prawidłowa... być może, Szacowny Magu, powinieneś obudzić starego Selestora Geografa. Przerzuca się on bowiem ze swojej głównej specjalności na badania sił wulkanicznych, działających pod skorupą ziemską w ostatnich tysiącletniach i być może będzie w stanie skorygować moje obliczenia...

- To Księżyc, a nie Ziemia stanowi główny problem - zauważył Ganelon.

- Właśnie, właśnie, jak najbardziej - przytaknął Paolalian. - Cóż zatem mogę wam powiedzieć na ten temat, śmiertelnicy? Ziemski satelita ma około 3456 kilometrów średnicy (używając klasycznych miar) i waży... hmm... chwileczkę... ach, tak sześć tysięcy kwadrylionów ton.

Słyszając tę straszliwą cyfrę, Zelobion poczuł dreszcz, wędrujący po krzyżu. Myśl o tym, że sześć tysięcy kwadrylionów ton zbitej i twardej, bezwładnej masy właśnie znajduje się nad jego głową, spadając na nią, była groźna i okropna.

- Jest aż tak ciężki? - spytał słabym głosem.

- Właśnie tak - stwierdził Paolalian pogodnie. - Mówiąc bardziej zwięźle, waży sześć kwintylionów ton. Na użytek waszych ograniczonych, śmiertelnych intelektów dodam jeszcze, iż liczba ta wyraża się szóstką z dodatkiem dwudziestu jeden zer. Zelobion nie mógł zebrać myśli, by odpowiedzieć na te rewelacje, zmilczał więc i zaczął markotnie przeżuwać końce swoich zielonych wąsów. Jednak Ganelon Srebrnowłosa wydawał się odporny na podobne „matematyczne potwory” i dalej naciskał Paolaliana pytaniami.

- Co można zrobić, by powstrzymać upadek Księżyca? - zwrócił się do astronoma.

- O ile wiem, kompletnie nic - odparł Paolalian. - Księżyc znajduje się pod wpływem przeważającej siły ziemskiej grawitacji i jest przez nią systematycznie przyciągany. Już dziewięć miliardów lat - licząc do chwili obecnej - Księżyc pędzi wokół Ziemi na swej stałej orbicie. Nie spada, ponieważ grawitacja Ziemi równoważona jest siłą odśrodkową; mówiąc inaczej, porusza się on do przodu wystarczająco szybko, by uniknąć spadania w dół. Nigdy nie znajduje się w jednym miejscu wystarczająco długo, by Ziemia zdołała go... hmm... odpowiednio uchwycić.

- Nie bardzo ro... - zaczął Ganelon.

- Cóż, klasycznym przykładem tego zjawiska jest znana sytuacja z wiadrzem pełnym wody. Jeśli kołyszysz się nim powoli w przód i w tył na wysokość wyciągniętego ramienia, woda wychlapuje się z wiadra, jakby „wyciągana” z niego przez siłę grawitacji. Jednak jeśli rozpędzić je do tego stopnia, że znajdzie się ponad naszą głowę, a potem znów na dole i zacznie kręcić się w koło, siła odśrodkowa rozpocznie swoje oddziaływanie na wodę. Nie wyleje się ona nawet wtedy, gdy wiadro jest odwrócone do góry dnem, po prostu dlatego, że porusza się ono tak szybko, iż ciecz nie ma czasu, by opaść w dół. Rozumiesz, działa siła inercji. Na to, by woda stała się w pełni obiektem działania siły grawitacji, potrzebna jest ściśle określona ilość czasu. Ale wiadro obraca się tak szybko, że zanim woda zdąży wylać się z niego, ono jest już na dole.

- Mam nadzieję, że rozumiem - stwierdził Ganelon. - Zatem dlaczego Księżyc zaczął spadać teraz, po upływie wielu tysięcy lat?

- Ponieważ w ciągu wszystkich tych tysięcy lat działała na niego siła grawitacji. Po upływie miliardów lat grawitacja niemal przewyciężyła inercję i siłę odśrodkową, które się jej przeciwstawiały. Ziemia tak długo przyciągała poruszający się wokół niej Księżyc, iż w chwili obecnej jego prędkość zmniejszyła się do tego stopnia, że w końcu nasz satelita zaczął spadać.

- I nic nie można zrobić, żeby temu zaradzić?

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy - odparł Paolalian.

- Żadna siła nie jest w stanie powstrzymać Księżyca? - nalegał Ganelon z nadzieją w głosie.

- Za pozwoleniem mego szanownego kolegi - przerwał Kelemon Fizyk - siła należy już do mojej specjalności. Sugerowałbym użycie thetamagnetyzmu. Żadna inna siła, molekularna, kosmiczna, czy też wewnątrzcząsteczkowa, nie jest wystarczająca, by temu podołać.

Zelobion, słysząc to, nadstawił uszu.

- Słyszałem o magnetyzmie... - zadumał się.

- To zupełnie odmienne spektrum sił, których wielkości w żadnym wypadku nie spełniają naszych wymagań - stwierdził zjadliwie Fizyk.

- Spektrum? - zdziwił się Zelobion.

- Z pewnością nawet śmiertelni wiedzą, że przestrzeń Wszechświata jest wypełniona, że jest on nwymiarową siecią sił, tworzących trzy równoległe widma - stwierdził Kelemon z pewnym rozdrażnieniem. Z gardła Zelobiona wydobył się jakiś niezrozumiały pomruk.

- Spektrum pierwsze, elektromagnetyczne - kontynuował Kelemon - składa się z grupy sił, których długości fal są mierzalne i rozciągają się od długich fal transkosmicznych aż po poziom fal związanych z generowaniem energii, wliczając w to fale radiowe, promieniowanie gamma, promienie kosmiczne oraz widma światła widzialnego i niedostrzegalnego dla oka.

Mag, Władca Karchoy, wydał znów niezrozumiały pomruk, mający oznaczać zgodę, chociaż nigdy dotąd nie słyszał o podobnych zagadnieniach.

- Spektrum drugie, elektrograwitacyjne, zawiera wszystkie zjawiska od fal myślowych po fale odpowiedzialne za rozchodzenie się grawitacji w przestrzeni. Natomiast spektrum trzecie określamy mianem „grawitacyjnomagnetycznego”. W jego skład wchodzi pełny zakres widm magnetycznych, od magnetyzmu alfa po magnetyzm omega. Jedyne thetamagnetyzm, należący do tego właśnie spektrum, może okazać się wystarczający dla naszego celu.

- Ach, tak. Gdzie zatem możemy uzyskać, lub w jaki sposób wytworzyć ten rodzaj energii? - spytał Zelobion.

- Głupcze - odparł Kelemon pogardliwie - nie ma żadnej potrzeby tego czynić. Sama Ziemia jest potężnym generatorem pola thetamagnetycznego o niewyobrażalnym natężeniu. Dzieje się tak dlatego, że płyta kontynentalna przesuwana się nieznacznie, ślizgając się na swym podłożu z magmy i trąc o nikłowożelazne jądro planety. Działa to jak coś w rodzaju gigantycznego kondensatora, składającego się z dwóch koncentrycznych kul, w rezultacie tworząc pole siłowe o kolosalnej energii, które następnie przekształca się właśnie w thetamagnetyzm.

- Rozumiem - stwierdził Zelobion wymijająco. - a jak można... hm... koncentrować pole thetamagnetyczne?

- Urządzenie do kierowania tym polem zostało, jak sądzę, wynalezione i rozwinięte przez jedną z wcześniej istniejących cywilizacji. Niech chwilę pomyślę... nie, zapomniałem nazwy tej cywilizacji. Proponowałbym aktywować mojego kolegę, Matematyka Spherio.

- Oczywiście mój drogi kolega ma na myśli Fosetera Historyka - zasugerował łagodnie Paolalian.

- Za pozwoleniem szanownego kolegi - stwierdził sucho Kelemon - wcale nie mam na myśli tej osoby. Foseter jest ekspertem w dziedzinie historii socjokulturalnej, podczas gdy szacowny Spherio, zgodnie z moją sugestią, przy której obstaruję, specjalizuje się także w historii technologii na równi z czystą, stosowaną oraz psychostatyczną matematyką.

- Najwyraźniej drogi kolega nie kontaktował się w ciągu ostatnich tysiącleci ze znakomitym Foseterem, którego panowanie nad faktami z dziedziny nauk historycznych jest znacznie głębsze od tego, które reprezentuje powszechnie szanowany Spherio, i którego mistrzowska zaiste erudycja w interdyscyplinarnych badaniach kultury jest... - wtrącił Paolalian kwiecistym stylem.

Zelobion niecierpliwie włączył kolumnę, w której znajdował się mózg Spherio, podczas gdy dwa wcześniej aktywowane mózgi przełączyły się na poziom komunikacji telepatycznej, by kontynuować swoje miniseminarium. Spherio wydawał się bardzo zirytowany z powodu przymusowej przerwy w swoich rozważaniach.

- Niemal osiągnąłem mistrzostwo w rozwiązywaniu równań sześćdziesiątego siódmego stopnia! - zazgrzytał opryskliwie. - Czego znów chcecie, nieznośni śmiertelnicy?

- Chodzi nam o nazwę cywilizacji, która zbudowała urządzenie thetamagnetyczne - odparł Zelobion.

- Technologiczne Imperium Vandalex, ty idioto.

Zbudowali to urządzenie, lecz go nie przetestowali. Fezyjscy Technarchowie Vandalexu nie

doprowadzili swoich prac teoretycznych nad tym urządzeniem do stadium prób eksperymentalnych, ponieważ upadli wskutek zmagania z Wielkimi Obrońcami Tringu podczas wojen dynastycznych między Porsenną i Radelonem. Działo się to w czasie Eonu Latających Miast. Czy teraz już mogę powrócić do swojej pracy?

- Jeszcze jedno pytanie: gdzie znajdowało się, przed swym upadkiem, Technologiczne Imperium Vandalex?

- Skąd mam wiedzieć, ptasi mózdku?! w sprawie położenia Vandalexu rozmawiaj z Selestorem Geografem. A teraz, skoro mniej więcej skończyliście zawracać mi głowę, chciałbym powrócić do mojej pracy nad równaniami sześćdziesiątego siódmego stop... - rozdrażniony głos Spherio przekształcił się na moment w skrzek, a potem całkowicie zniknął, gdy Zelobion nagle wyłączył mechanizmy czuciowe mędrca. Szczęśliwie okazało się, że Selestor Geograf jest w stanie podać wskazówki, w jaki sposób można dostać się do miejsca, gdzie istniało upadłe przed wiekami Technologiczne Imperium. Obaj śmiertelnicy odetchnęli z ulgą, gdy Zelobion wyłączył już wszystkich aktywowanych uczonych. Dyskutowanie z intelektami na tak wysokim poziomie, w dodatku występującymi w postaci bezcielesnych mózgów okazało się bardzo wyczerpujące. Mag skonstatował też z pewnym zdziwieniem, że nawet czyste, bezcielesne intelekty zachowują dyspozycję do łatwego wpadania w zły humor. Obaj z Ganelonem opuścili pośpiesznie komnatę, pozostawiając jasne, kryształowe filary, by mogły w spokoju spędzać kolejne tysiąclecia na swych odwiecznych rojeniach.

4. PANDELOR I MÓWIĄCY STATEK

Tak oto stało się, iż Zelobion wraz z Ganelonem Srebrnowłosym wyruszyli z Krainy Wielkiej Kamiennej Twarzy i poczynili pierwsze kroki w swej gigantycznej podróży przez cały niemal znany im świat; w podróży tak długiej i strasznej, pełnej niebezpieczeństw i cudów, iż żaden człowiek, od początku czasów aż do tej właśnie chwili, nie podjął takiego przedsięwzięcia. Wyruszyli o świcie. Zelobion Mag przekazał swą władzę w ręce wybranego przez siebie Wicekróla, spakował swe stroje oraz księgi magiczne, za pomocą których zamierzał skrócić sobie długie godziny nużącej podróży. Ganelon zaś jedynie naostrzył i wyczyścił swą broń; obaj gotowi byli do wymarszu. Konstruktor dosiadł swego ornitoptera, na którego grzbiecie pokonał Wielkie Pustkowie, zaś leciwy Mag - kołyszącego się kaczkowato sagamira, czyli oswojonego i przygotowanego pod wierzch jaszczura o opalizujących wieloma barwami łuskach i kiwającym się w takt niezdarnych kroków purpurowym grzebieniu. Wkrótce czarne zigguraty i żółte porcelanowe pagody miasta Karchoy zbladły za ich plecami w porannej mgle. Wyruszyli drogą wzdłuż rzeki, pośród falujących zielenią wzgórz, kierując się w stronę odległej, lśniącej niebieskawym poblaskiem Zatoki Złotego Smoka oraz ku widocznym z dala iglicom portowego miasta Pandelor.

Ganelon był zadowolony, iż Selestor Geograf poradził im, by podróżowali przez morze, a zatem nie będzie musiał znów peregrynować przez pustynię. Ktokolwiek bowiem raz przedarł się przez Szare Pustkowia Yan Kor, rozciągające się na południe i zachód na długości z górą tysiąca sześciuset kilometrów, nie stara się raczej, by powtórzyć to doświadczenie. Poza tym Ganelon nigdy jeszcze nie widział morza ani też nie żeglował po nim, choć oczywiście wiedział, czym jest ocean. W czasach, gdy zbliżał się Zmierzch Ludzkości, podobnie jak wcześniej, wody oceanu pokrywały trzy czwarte powierzchni ziemskiego globu. Jednak w dalekiej przyszłości, w czasach Gondwany, wszystkie morza zlały się w jedno, zwane Morzem Mitrybijskim, znanym w następnych stuleciach także pod mianem Ostatniego Oceanu.

Tak więc Ganelon z otuchą w sercu pozdrawiał wstający dzień. Wyruszył w końcu, by spełnić swą Misję, znalazł sobie kompana, który mógł uczynić podróż łatwiejszą, dzieląc z nim przyjemności i niebezpieczeństwa wędrówki, miał też ujrzeć ocean. Ponieważ czuł się szczęśliwy, śpiewał i śmiał się, spijając wilgotną od rosy świeżość nowo narodzonego dnia. Zelobion natomiast wcale nie czuł się szczęśliwy. Trudno bowiem byłoby oczekiwać radosnego nastroju u nie całkiem już młodego mężczyzny, będącego na dodatek królem, który musiał zrezygnować z luksusów swego pałacu i z całego przepychu, towarzyszącego sprawowaniu władzy, po to tylko, by błąkać się o świcie po pełnej kurzu drodze, dosiadając wielkiej i tłustej jaszczurki. Jaszczurka ta w dodatku najwyraźniej cuchnęła i wydzielala obficie kwaśny, gadzi fetor. Zelobion żuł posępnie koniec jednego ze swych zielonych wąsów, spoglądając zrzędliwym wzrokiem na wspaniałe widowisko poranka. O tej porze powinien wylegiwać się w najlepsze, umoszczony wygodnie pośród ciepłych poduszek w swojej

sypialnej komnacie. Po upływie godziny lub dwóch dyskretny lokaj powinien położyć na stojącym przy jego legowisku, inkrustowanym perłami taborecie tacę ze śniadaniem, tak, by otwierając leniwie jedno oko i przeciągając się ospale, mógł dostrzec na niej ciepłe bułeczki z marmoladą z leśnych owoców, mrożony sok papawerynowy w chłodzonym lodem kanistrze, kruche, nadziewane boczkiem, parujące paszteciki oraz odświeżający umysł napój z kofeinowego syropu wzmacnianego żółtą śmietanką... brzuch Maga niemal wył z głodu, gdy te smakowite szczegóły przewijały się przez jego pamięć.

Gdy kołyszający się sagamir ominął zwałony pień, za plecami Zelobiona zaskrzypiał gruby plik pergaminu, upchany w czarnej, skórzanej torbie przymocowanej do siodła. Dwa dni spędzone z sędziwym Serajem, Królewskim Archiwistą, zaowocowały ilością dzieł sztuki kartograficznej wystarczającą, by zapchać gardziel gigantycznego morskiego potwora. Jednak główny problem polegał po prostu na nieprawdopodobnej wprost wielkości Gondwany. Odległość pomiędzy jakimś jej miejscem a jakimkolwiek innym mogła bardzo łatwo stać się przeszkodą nie do pokonania; można było z powodzeniem zestarzeć się i umrzeć, próbując przez całe życie dostać się z BarShand, położonego na najdalej na zachód wysuniętym punkcie wybrzeża, do odległej i tajemniczej Rioth Chandalla, znajdującej się na dalekim wschodzie. Zelobion krzywił się za każdym razem, gdy przypominał sobie spokojne słowa Selestora Geografa:

- Odległość pomiędzy Karchoy a Vandalexem wynosi dwadzieścia osiem tysięcy sześćset dwadzieścia kilometrów.

W tym momencie pojawiała się jedna, bardzo istotna wątpliwość. Wobec tak ogromnej odległości, którą musieli pokonać, bezbarwne pustkowia Yan Kor, rozciągające się na tysiąc sześćset kilometrów, kurczyły się do rozmiarów tak niewielkich, że wydawały się możliwe do pokonania dwoma skokami. Na myśl o tym ogarniał Maga nastrój głębokiej depresji, niczym wielka, ciemna, lodowata chmura. Myślał o tym, że podróż zabierze im wiele miesięcy, a może nawet lat. Chwała Galendilowi przynajmniej za to, że znaczną część drogi będą mogli pokonać żeglując po oceanie! Jednak nawet ta myśl nie rozjaśniała ponurego nastroju Zelobiona. Wyglądało bowiem na to, że samo dostanie się do Pandelor zabierze im większą część dnia... Było południe, gdy dotarli do jedenastu bram portu. Zadziwiający wzrost Ganelona oraz jego zdumiewająca srebrzysta czupryna przyciągały wzrok napotkanych tu ludzi. Zapłacili kopytkowe kostką dziewiczego srebra i wkroczyli do miasta.

Pandelor było ciekawym, rozpustnym, egzotycznym miasteczkiem pełnym wąskich, krętych uliczek, wyłożonych „kocimi łbami”. Kamienne domy o kwadratowych fundamentach pokrywał bursztynowy, pomarańczowy i niebieskozielony stiuk. Znajdowały się tu także przysadziste, pięciościenne wieże, których otwory okienne w kształcie trójkątów wyglądały spod niskich okapów, rzucając jakby szelmowskie spojrzenia spod szerokich rond zawadiackich kapeluszy, w jakie zwykle przystrajają się bandyci. Miasto obfitowało w sklepy, było ruchliwe i jakby zaaferowane. Mosiężne naczynia i kolorowe szklane paciorki błyszczały w porannym słońcu przed frontowymi ścianami sklepów; kosze ze świeżymi, ciętymi kwiatami, czerwoną cebulą lub soczystymi, zielonymi owocami wabiły przechodniów swym wyglądem. Ludzie byli tu zażywni, gestykulowali gwałtownie, byli raczej niscy i mocno zbudowani, o śniadych twarzach i brodach farbowanych na kolor niebieski lub purpurowy. Wokół ich głów upięte były bogato barwione szarfy, zaś z płatków ich uszu zwisały, kołyszając się w takt ruchów, złote idole Pięciu Przyjaznych Bóstw Pandeloru. Dwaj podróżnicy skierowali się ku brzegowi morza, gdzie przy nabrzeżach z jaśniejącego w słońcu drewna i długich molach z potężnych, omszałych kamieni przycumowane były statki należące do wielu ludów i krain.

Ganelon i Zelobion oglądali to wszystko z wielkim zainteresowaniem.

Były tu pękate statki handlowe o szkarłatnych żaglach, pochodzące z Wielkiej Huranii i Larzu; smukłe kutry przybrzeżne z Irmoth i Delmondy na rzece Xoris, na których długich kadłubach wymalowane były potężne Oczy, po to, by statki te mogły odnajdywać swą drogę poprzez wody mglistych mórz; bogato zdobione statki korsarzy - galeony i korwety z pozostających pod władaniem piratów portów Quolatha i Palzac Phad; powolne, niezdarne, szerokopokładowe statki do transportu ziarna z Shenx u podnóży Gór Karthazyjskich, położonych na wschód od Pandelor; statki z odległych królestw Wschodu z rozpiętymi na bambusowych tyczkach, trójkątnymi żaglami przypominającymi skrzydła nietoperzy; a także wszystkie możliwe rodzaje dziwnych, obcych, rzadkich, egzotycznych okrętów, pochodzących, jak się wydawało, co najmniej z połowy królestw i Wolnych Miast Gondwany. Zapach gorącej smoły, parafiny oraz charakterystyczny swąd okrętowych lin wypełniał tu powietrze, przygłuszając nawet świeży, słony, morski powiew, który poprzez Zatokę Złotego Smoka docierał tu z dużą siłą od strony otwartego morza.

Ganelon zwrócił uwagę Maga na dziwaczną galerę z surowego drewna, wyposażoną w żagle z purpurowego jedwabiu, której załoga składała się wyłącznie z nagich kapłanów o ogolonych głowach; chude szyje tych ludzi obwieszane były licznymi amuletami i figurkami fetyszy. Na głównym pokładzie galery siedział, pogrążony jakby we śnie i przymocowany do przedniego masztu linami ze złota, mosiężny posąg przysadzistego idola o tłustym brzuchu i wysokości mniej więcej dwukrotnie przekraczającej wzrost człowieka. Csa stada mew krążyły wokół niego z piskiem, zwabione najwyraźniej kuszącymi zapachami, ponieważ posąg został właśnie nasmarowany świętymi substancjami: glik, czyli masłem, oraz zilch - poświęconym tłuszczem. Oburzeni kapłani, uzbrojeni w wachlarze na długich tyczkach pilnowali czujnie, by któryś z tych skrzydlatych psotników nie uszczknął smakowitego kęsa z poświęconej brei, która ściekała po błyszczącym korpusie idola.

Był nim Olm Shubbojoth, Bóg Jandagaru, Świętego Królestwa, leżącego za Wzgórzami Ashpodalijskimi, u stóp Góry Zelm. Raz na każde dziesięciolecie mosiężne bóstwo odbywało swą Świętą Wędrówkę wzdłuż wybrzeża, po drodze obdarzając przywilejem nietykalności, chroniąc od burz, trzęsień ziemi, erupcji wulkanów i deszczy meteorytów wszystkie siedemdziesiąt siedem miast Południa, za co nadzy i wygoleni słudzy idola pobierali sówitą opłatę. Zelobion zachichotał, a jego gorzki dotychczas nastrój stał się nieco słodszy. Żadne z miast nie ośmielało się sprzeciwić płaceniu tej należności; mówiąc ściśle, żadne nie ośmieliło się od czasu, gdy nieszczęśni obywatele miasteczka Golm Azuzu wzgardzili opieką bóstwa, po czym niemal natychmiast zostali pogrzebani pod pięciometrową warstwą wrzącej lawy, gdy Dymiąca Góra wyraziła swoje oburzenie z powodu tak rażącej bezbożności. Za świętą galerą znajdował się inny, dziwniejszy jeszcze statek. Była to gigantyczna tratwa zbudowana z jesionowych bali, powiązanych ze sobą rzemieniami, przypominającymi kotwiczne łańcuchy. Na jej pokładzie tuzin kudłatych, wymalowanych na niebiesko dzikusów z Nimbolandu w Krainach Buszmenów handryczyło się i targowało z dwukrotnie liczniejszą grupą tłustych, podekscytowanych kupców z Pandeloru. Dzicy z Nimbolandu przywieźli ze sobą nieprawdopodobny skarb w postaci bezcennych kobietryb, złowionych u ujścia Hundar Koi, rzeki diablów. Te kuszące syreny o skórze barwy kości słoniowej, brązowych oczach i jędrnych piersiach, których sutki miały intensywną, purpurową barwę, osiągały bajeczne wprost ceny na rynku jako podarunki do haremów dla steranych wiekiem, pomniejszych książąt miast wybrzeża. Dlatego kupowano je bez wahania, pomimo łuskowanych srebrzyście ogonów i wydzielanego przez nie rybiego odoru.

Jednak sąsiednie nabrzeże okazało się dla obu podróżników jeszcze bardziej interesujące. Sędziwy Mag schwycił potężne ramię Ganelona i drżąc z podniecenia wskazał mu przycumowany tam okręt.

- O co chodzi? - spytał zaskoczony olbrzym.

- To jest właśnie to, na co liczyłem: znaleźliśmy Mówiący Statek! - odparł Zelobion. - Co za szczęście! Miłosierny Galendil opiekuje się widać naszym przedsięwzięciem. Chodźmy zobaczyć, czy będzie płynął w odpowiednim dla nas kierunku.

Gdy podeszli bliżej, okazało się, że statek, który był przedmiotem tak żywego zainteresowania Zelobiona, jest rzeczywiście niezwykły. Był to długi, gładki i lśniący okręt, zbudowany w całości z metalu, pozbawiony masztów, żagli oraz, o ile Ganelon zdołał dostrzec, jakiegokolwiek ludzkiej załogi. Do tej pory nigdy nie widział metalowego statku ani nie słyszał o podobnej konstrukcji i zachodził teraz w głowę, w jaki sposób może ona w ogóle utrzymać się na wodzie. Ponieważ jednak najwyraźniej statek był do tego zdolny, Ganelon zastanawiał się, w jaki sposób może on poruszać się bez żagli; na przedziwnym statku nie dostrzegł również dulek na wiosła ani ław dla wiosłarzy. Metal, który stanowił jedyny budulec statku, był w wielu miejscach pokiereszowany i wyżarty przez rdzę. Tworzyła ona wyraźne strupy i łuski na znacznej części kadłuba. Ganelon spostrzegł, że dziwny metalowy okręt był niegdyś pokryty błyszczącą, srebrzystą, nierdzewną substancją - prawdopodobnie chromem - która jednak, w ciągu stuleci, podczas których działało na nią słone morskie powietrze oraz wilgoć zużyła się całkowicie, wystawiając na działanie korozji warstwę znajdującego się pod spodem metalu. Gdy weszli na pokład, ich oczom ukazały się jeszcze bardziej osobliwe właściwości statku. Na jego śródokręciu znajdowała się lśniąca, aerodynamiczna wieżyczka pilota, niczym mostek kapitański w zwykłych żaglowcach. Nie było tam jednak żadnej kabiny, do której mógłby wejść człowiek; jej ściany wyglądały na całkiem gładkie, pozbawione jakichkolwiek przerw czy załamań. Na szczycie tej wieżyczki lśnił system ruchomych soczewek na teleskopowych wysięgnikach. Jedna z soczewek obróciła się, by obserwować przybyszów.

- Witajcie na pokładzie, ludzie! - chropowaty, metaliczny głos zwrócił się do nich z nieznanego źródła. - Wolny statek handlowy „Mannan MacLear” jest do waszych usług. Na moim pokładzie jest do waszej dyspozycji trzydzieści kabin pasażerskich i dwie ładownie, przeznaczone do wynajęcia. Oprócz tego oferuję pełną, automatyczną obsługę kucharską, światło i energię elektryczną bez żadnych dodatkowych opłat...

Gdy metaliczny głos kontynuował wymienianie poszczególnych cech i urządzeń statku, Zelobion, widząc oczywiste zdziwienie Ganelona, wyjaśnił mu zwięźle, pomrukując szeptem, sens tego wszystkiego: - To jeden z Mówiących Statków, będących spuścizną po Imperium Vandalexu, pozostałą po jego upadku. Te automatyczne statkiroboty o napędzie atomowym muszą kierować się własnym rozumem - ehem, ehem - wtrącił, chrząkając - to niezamierzony kalambur - od czasu, gdy Vandalex przestał istnieć. Mają ograniczoną inteligencję, która jednak umożliwia im pracę w ramach wolnych porozumień handlowych z nie należącymi do Vandalexu, portowymi miastami.

- Zdziwiałające - zauważył ciemnoskóry olbrzym. - W jaki sposób dotarłeś do tych informacji? Żelobion skwitował to dyskretnym śmiechem.

- Gdy Główny Archiwista został zatrudniony do wyszukiwania map dróg prowadzących do Vandalexu - wyjaśnił - ja zajmowałem się przeglądaniem Biblioteki Pałacowej w celu wydobycia z niej wszelkich informacji o tej zaginionej, technologicznej cywilizacji. Miałem cichą nadzieję, że natkniemy się na jeden z tych statków, jednak będzie to naprawdę niewiarygodnie szczęśliwy zbieg

okoliczności, jeśli uda nam się odbyć na nim podróż. A to dlatego, że może on równie dobrze kierować się na wschód, zamiast na zachód, czyli w kierunku, w którym my podążamy.

- Bardzo dziwne - zadumał się olbrzym. - Inteligentny statek, który myśli, mówi, a w dodatku sam się napędza!

- No pewnie - przyznał Żelobion. - Spójrz jednak, jakie mieliśmy szczęście... Nasze szczęście - to nie tylko fakt, że potężne śruby statku, poruszane przez sprzężone silniki nuklearne o ogromnej sile będą w stanie ponieść nas przez bezgraniczne przestrzenie Morza Mitrytrybijskiego z prędkością wielokrotnie przekraczającą najwyższe szybkości osiągnięte przez starożytności, drewniane, napędzane wiatrem okręty, które widzimy przycumowane wokół nas... podczas podróży będziemy mogli także wciągnąć „MacLeara” do rozmowy, zdobywając w ten sposób nieco cennych, zawartych w pamięci statku i pochodzących „od wewnątrz” informacji o Vandalexyczykach; w ten sposób za jednym strzałem upolujemy dwie kawki, jak powiada stare przysłowie.

- Gdzie znajduje się mózg robota? - spytał Ganelon Srebrnowłosa.

- Prawdopodobnie w tej opancerzonej wieżyczce pilota - odparł sędziwy Mag, wzruszając ramionami. - Widzę, że najważniejsze urządzenia czuciowe statku zostały umieszczone na jej szczycie; oprócz tego inteligentny mechanizm będzie zawsze w sposób naturalny preferował takie swoje umiejscowienie, by być maksymalnie oddalonym od silników nuklearnych, co pozwala uniknąć promieniotwórczego skażenia. Pozwól mi jednak teraz dowiedzieć się, czy ten statek będzie możliwy do wynajęcia w celu podróży na zachód...

Podnosząc głos tak, by stał się on słyszalny dla mikrofonów statku, stary Mag zadał pytanie, czy „MacLear” może zostać wyczarterowany na podróż na zachód, wzdłuż wybrzeża. Szorstki, metaliczny głos z centrum dowodzenia statku odparł, że jeszcze niedawno była taka możliwość, jednakże wszystkie miejsca w kabinach zostały już wydzierżawione grupie religijnych pielgrzymów, udających się do słynnej świątyni z relikwiami. Mag rozpoczął spór z mózgiem statku, dotyczący wysokości opłaty za rejs, a w końcu „MacLear” uznał, iż miejsca dla dwóch osób w jego kabinach są wciąż możliwe do wynajęcia. Mówiące Statki, pozostawione samym sobie, gdy upadła ich cywilizacja, wypracowały coś w rodzaju systemu wymiany barterowej, wymieniając swoje usługi transportowe za sztaby metalu, stanowiącego paliwo do ich reaktorów. Żelobion i automatyczny statek zaczęli targować się o opłatę za podróż.

Ganelon opuścił starego Maga i wybrał się na przechadzkę w celu zbadania statku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że statek jest w przerażającym stanie. Pozbawiony opieki ze strony złożonej z ludzi załogi, wydawał się zniszczony niemal do granic całkowitej ruiny. W zakątkach pokładu zgromadziły się wszelkiego rodzaju śmiecie i odpadki, gniazda morskich ptaków, martwe wodorosty, kałuże mętnej, zielonej wody. W powietrzu unosił się okropny zaduch rozkładu. Mimo to kabiny, szczelnie zamknięte w czasie, gdy nie były używane, wyglądały na względnie czyste, zaś automatyczna kuchnia statku dostarczała wciąż gorących posiłków zgodnie ze wskazaniami automatu selekcyjnego; „MacLear” pobierał w każdym porcie zapas świeżego jedzenia i wody dla pasażerów. Gdy Ganelon wychodził z pomieszczeń pod pokładem, napotkał Żelobiona, którego oczy aż pojaśniały z zadowolenia. Wszystko było już ustalone: za pięć sztabek czystej miedzi statek może przetransportować ich wzdłuż wybrzeża aż do Urimadonu, portu znajdującego się najbliżej położonych w głębi lądu ruin Vandalexu. Statek będzie mógł wypłynąć jutro, gdy grupa pielgrzymów wejdzie na jego pokład. Wrócili do Pandelor, by wymienić swoje obiegowe srebrne monety na sztabki miedzi, a także by skorzystać z uroków nocy w mieście. Żelobion był bardzo zadowolony z

biegu spraw: podróż morska do Urimadonu może skrócić czas ich wędrówki jedynie do tygodni, zamiast ponurych lat, które musieliby znieść, podróżując zwykłym galeonem.

Miasto Pandelor dostarczało przybyszom całej gamy rozrywek, poczynając od piwiarni i sklepów z winem, poprzez lokale, gdzie można było nacieszyć oczy widokiem tańczących dziewcząt, aż po instytucje, gdzie za pieniądze oferowano gościom wszystkie przyjemności ciała. Sędziwy Mag czuł się teraz o całe stulecia młodszy dzięki satysfakcji ze skutków spędzonego na wolnym powietrzu dnia i związanej z nimi, ekscytującej obietnicy nowych, ciekawych doświadczeń i wrażeń. Był skłonny wypróbować nieco cielesnych przyjemności, oferowanych przez gościnnych mieszkańców Pandeloru gwoli odświeżenia znużonych podróżników i był bardzo zaskoczony, gdy brązowoskóry olbrzym nie wyraził chęci towarzyszenia mu w tej eksapadzie. Początkowo nie mógł zrozumieć tego dziwnego wstrętu Ganelona. Ten potężny wojownik był przecież młody i aż tryskał zdrowiem; powinien zatem pożądać tego rodzaju „aktywnego wypoczynku” znacznie silniej, niż wiekowy Mag. Było to bardzo zaskakujące...

Potem jednak Zelobion przypomniał sobie przede wszystkim to, iż Ganelon nie jest zwykłą ludzką istotą, lecz wytworzonym przez Bogów Czasu Konstruktem. Boskie istoty, które wyhodowały go dla swoich własnych, tajemnych celów najwyraźniej nie uznały za stosowne wyposażyć go w te właściwości gruczołów, które decydują o powstawaniu popędu płciowego. Ganelon był w pełni człowiekiem jeśli chodzi o inne apetyty, nie przejawiał jednak pociągu do kobiet. Zelobion w najmniejszym stopniu nie przeczuwał, jak znaczący i katastrofalny okaże się - z punktu widzenia głównego celu ich misji - ten niedostatek w osobowości jego współtowarzysza podróży.

5. CZCIELE WYJĄCEGO DRZEWA

Następnego dnia z samego rana weszli na pokład statku „Mannan MacLear”. Zelobion już żałował rozmiaru swych nocnych ekscesów, gdyż ból głowy, suchość w ustach i wyraźnie nadwrażliwy żołądek powodowały, iż zastanawiał się, czy będzie w stanie wytrzymać kilka pierwszych dni czekającej go morskiej podróży.

Ganelon był oczywiście w znakomitej formie. Poprzedni wieczór upłynął mu na szykowaniu broni, a także na sprzedaży ornithopippusa i sagamira kupcom spośród Nomadów, ponieważ wyglądało na to, że w dalszej części podróży oba te stworzenia nie będą im potrzebne.

Pielgrzymi wkraczali już na statek nieprzerwanym strumieniem. Było ich dwudziestu i wyglądało na to, że stanowią dość dziwną grupę. Mieli oni blade, tłuste twarze o ziemistej cerze oraz płonące gorączką, ciemne oczy. Przybyli na statek ustrojeni w ciemnobrązowe worki pokutne, które wyglądały na mało przewiewne, szorstkie i nad wyraz niewygodne. Ich sandały wydawały odgłosy kłapięcia, gdy z rytmicznym stukotem przemieszczali się ze statku na nabrzeże, a potem z powrotem, przenosząc upakowane w bele zapasy, które musiały im wystarczyć na wielodniową morską podróż. Nie zwracali oni najmniejszej uwagi ani na Zelobiona, ani też na Ganelona Srebrnowłosego. Przywódca pielgrzymów należał jednak do zupełnie innego typu ludzi. Był wysoki, wymizerowany, a kontur jego twarzy przypominałby trupa czaszkę, gdyby nie płonące gorączką oczy, wpatrujące się w nich spod kaptura badawczo i z potępieniem. W chwili gdy wszyscy jego ludzie znaleźli się już na pokładzie i pogrążyli się w modłach, dostojnym krokiem podszedł do obu podróżników, by przedstawić się im jako Jego Świątobliwość Hopring z Asaulli, Przeor Trzeciej Diecezji, mający zaszczyt opiekować się Wyrocznią Wyjącego Drzewa, przewodnik grupy jego Czcicieli, którzy podjęli się pielgrzymki do tejże Wyroczni.

- Sądząc po waszych szatach i braku należytej rewerencji wobec Mojej Osoby, nie jesteście wyznawcami Jedynej Prawdziwej Wiary Świętego Drzewa - zauważył wysokim, piskliwym głosem, podczas gdy jego błyszczące, czarne oczy musnęły ich przelotnie badawczym spojrzeniem.

- Czy mogę dowiedzieć się, jakie są wasze przekonania religijne, jeśli macie jakiegokolwiek..? - zapytał. Zelobion zjeżył się wewnątrz, słysząc pełen lekceważącej bezpośredniości ton Świątobliwego Hopringa. Odpowiedział jednak spokojnie, iż zwykł otaczać czią Wielkiego Galendila, podczas gdy jego towarzysz podczas podróży oddał się pod opiekę Bogów Czasu z Mitu ZulRashemba. Hopring uśmiechnął się, a jego blade wargi, odsłaniające pożółkłe zęby, zwęziły się, stając się jedynie wąziutkimi kreskami.

- Ach, Pomniejsza Herezja Galendilijska... Oczywiście! Powinienem domyślić się tego widząc, że nie posiadasz żadnych amuletów - stwierdził protekcyjnie. - Ten dziwny błąd teologiczny wziął się z jednej tylko pomyłki w interpretacji Dziewiątego Pisma Senegambiusa. Będziemy mieli czas, by przedyskutować wasze prymitywne wierzenia, ponieważ, jak widzę, jesteśmy współpasażerami na

tym statku. Jeśli zaś chodzi o wiarę twojego towarzysza podróży, nigdy jeszcze nie zetknąłem się z nią w moich wcześniejszych wędrówkach... Zdaje się, że nie jest nawet wymieniona w „Kompendium Herezji” Banjiho’a.

Ganelon zareagował na protekcyjnalne tony w ponurym monologu Hopringa głuchym pomrukiem z głębi piersi, który nie wróżył nic dobrego. Prawdopodobnie odpowiedziałby szorstko na tę przemowę, gdyby Mag nie pohamował go, kładąc swą dłoń na jego krzepkim przedramieniu.

- Obawiam się, że mój współtowarzysz ma raczej prostoduszny stosunek do teologicznych argumentów - stwierdził Zelobion z figlarnym błyskiem w głosie. - Obawiam się też, że uważa on twoją właśnie wiarę w Święte Drzewo za jedną z Pomniejszych Herezji, a jeśli zostanie wciągnięty do dyskusji na temat różnic dzielących wasze wiary, może próbować nawrócić cię na swój dogmatyczny wariant za pomocą siły własnych rąk.

Świątobliwy Hopring cofnął się, blednąc. Oblizwał wargi wąskim, ciemnoczerwonym językiem, równocześnie przebiegając wzrokiem po mocarnych, brązowych ramionach Ganelona Srebrnowłosego.

- Oczywiście, tak jak wszystkie cywilizowane istoty, nawet w dzisiejszych, dekadencjach czasach deprawacji i ateizmu, uważa on kogoś, kto obdarzony został wysoką duchowną godnością, za godnego czci i szacunku! - stwierdził niepewnie Przeor.

Zelobion potrząsnął głową przecząco, mierzwiąc swą brodę o barwie wodorostów. W jego rozszerzonych teraz żrenicach tańczyły figlarne ogniki.

- Obawiam się, że niezupełnie tak! Mitologia ZulRashemba jest wiarą, która wymaga od swoich wyznawców nawracania heretyków za pomocą zwykłej fizycznej siły, uważając to za ich święty przywilej i obowiązek.

- Ach... Tak... rzeczywiście - odparł nerwowo Świątobliwy Hopring. - Cóż... być może lepiej będzie zatem, jeśli powrócę do opieki nad mym stadem zostawiając ciebie i twego... ehm... przyjaciela waszym własnym rozrywkom... Błogosławieństwo Wyjącego Drzewa niech będzie z wami, panowie!

Powiedziawszy to, chudzielec podał tyły, w pośpiechu potykając się o swoje własne, klapiące gorączkowo sandały. Zelobion zachichotał ze szczerym rozbawieniem. Ganelon zwrócił zdziwione spojrzenie na swego malutkiego towarzysza podróży.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zadudnił basowym głosem. Zelobion wytarł z kącików oczu łzy szczerego śmiechu i uspokajająco poklepał Ganelona po jego wielkim ramieniu.

- Nic szczególnego, mój młody przyjacielu! - odparł. - Upewniłem się po prostu, że nie będziemy podczas podróży niepokojeni przez paczkę wścibskich fanatyków religijnych. Chodźmy teraz poszukać naszej kabiny i rozpakować toboły...

Bez dalszych ceregieli „Mannanan MacLear” wyruszył w drogę. Pokryty rdzą statek gładko wyśliznął się z rejonu swego kotwicowiska, zapuszczając się na wody Zatoki Złotego Smoka. Wkrótce też dotarł do otwartego morza. W ciągu godziny osobliwe wieże miasta Pandelor o niskich dachach znalazły się daleko za rufą statku i zniknęły w czerwonej mgiełce. Przez jakiś czas wokół Mówiącego Statku kręciły się jeszcze białe rybitwy z nadzieją na zdobycz, lecz gdy w kilwaterze statku nie dostrzegły żadnych smakowitych odpadków, niepokieszone zawróciły w kierunku portu. Zielone, porośnięte lasami brzegi przesuwwały się w dużej odległości po stronie prawej burty, po lewej zaś bezgraniczne otchłanie kipiących wód rozciągały się aż po linię krzywizny Ziemi. Poranne słońce wspinało się powoli po błękitnym nieboskłonie. Podróż zaczęła się w końcu.

Ponieważ ani Ganelonowi Srebrnowłosemu, ani też staremu Magowi z Karchoy nie przytrafiła się nigdy podróż morska, wątpliwe wydaje się, czy w pełni uświadamiali sobie, jak bardzo Mówiący Statek różnił się od wolniejszych, wyposażonych w żagle okrętów. Nad ich głowami nie było rozłożonych żagli, oblepionych szkaradnie przeklinającymi marynarzami, którzy wspinają się na wanty. Nie mieli doświadczyć nudnego oczekiwania na wiatr, ani też chlupotu powoli sunących przez wodę wiosł podczas odnajdywania wejścia do portu lub przepływania przez cieśniny. Nie słyszeli niczego oprócz stłumionego dudnienia ukrytych silników, nie czuli nic prócz delikatnej wibracji powodowanej przez potężne śruby, gdy ich ostre stalowe płyty nieznużenie cięły wodę, pchając wydłużony kadłub statku poprzez fale. Płynęli w odległości około sześciu kilometrów od brzegu, by uniknąć raf, mielizn i wodnych wirów, wystarczająco daleko od lądu, by duża prędkość, z którą poruszał się statek, była zupełnie niedostrzegalna. Naturalne nierówności terenu na brzegu majestatycznie przepływały obok nich w mgiełce odległości, która była jednak tak duża, iż nie pozwalała pasażerom na uświadomienie sobie prędkości okrętu. Kadłub statku niczym ostrze noża ciął fale, odrzucając na obie strony połyskujące welony krystalicznie przejrzystej wody, odbijające słoneczne promienie niczym dwa wodospady diamentów. Jediną oznaką, która pozwalała pasażerom ocenić prawidłowo prędkość statku, był ślad, jaki pozostawiał on za rufą. Kipiący „ogon” wzburzonej, białej piany stanowił dowód, iż prędkość ta jest zadziwiająca. Już teraz przekroczyli trzykrotnie maksymalną prędkość możliwą do osiągnięcia przez konwencjonalne, poruszane wiatrem okręty. Nieznużone silniki atomowe były w stanie w razie potrzeby poruszać „Mannana MacLeara” z tą prędkością przez całe miesiące, ponieważ statek nie był uzależniony od zmiennych wiatrów i morskich prądów, niezbędnych, by poruszyć z miejsca żaglowce. Świeże, pachnące intensywnie morskie powietrze uwolniło mózg Zelobiona od otumanienia, zaś bardzo delikatny, kołyszący ruch automatycznego statku, tak niepodobny do wymuszonego przez ociążałe, potężne fale ciągłego kołysania tam i z powrotem, charakterystycznego dla statków o drewnianych kadłubach, nie wpływał w najmniejszym stopniu na nadwrażliwy żołądek Maga, odczuwający jeszcze skutki wybryków zeszłej nocy.

Obok nich, w odległości, przemknęły zielone brzegi Ganzadahlu; przez krótką chwilę pasażerowie mogli obserwować usiane kępami krzewów, szare pustkowia Kangalandu; wkrótce prześliznęła się obok nich zielona delta rzeki Ispokh, zaś w polu ich widzenia znalazły się strzeliste iglice miasta KhalatiZur o kopulastych szczytach. I całą tę drogę pokonali pomiędzy wschodem słońca a momentem, gdy znalazło się ono w zenicie! Droga ta, pokonywana lądem na grzbiecie ornithohippusa, zajęłaby im co najmniej tydzień. Wielkie dzięki Opatrzności Dobrego Galendila, że Mówiący Statek przybił do brzegu w porcie Pandelor i że można go było wynająć na podróż w kierunku zachodnim! Sama myśl o wyboistych drogach, wysuszającym gardło kurzu i bąblach, spowodowanych przez nieustanne przebywanie w siodle, o cierpieniach, których doświadczałby w tej chwili, gdyby nie statek, wywoływała wdzięczność Zelobiona.

Mniej więcej co godzina trzeszczący, metaliczny głos statku docierał do nich z głośników, podając aktualny czas i stan pogody, sporadycznie także odległość pokonaną dotychczas przez okręt, kierunek wiatru, ostrzeżenia przed sztormami i aktualną prędkość w węzłach morskich. Od czasu do czasu gadatliwy „MacLear” okraszał swoje komunikaty prawdziwymi „perełkami” wiedzy dotyczącej interesujących obiektów, widocznych na brzegu. Wiedza ta najwyraźniej zaczerpnięta była z przewodników turystycznych i nie została wprowadzona do programu statku przez kupców z Vandalexu.

- „...wprost przed nami, na północnopółnocnym zachodzie, pasażerowie mogą podziwiać słynne Żółte Monolity z ChunjanJad, zbudowane przez Dziewięciu Mentorów z Foley. Każdy z tych Monolitów ma wysokość siedemdziesięciu metrów i zbudowany jest z pustynnego piasku oraz czystej siarki, stopionych ze sobą za pomocą Magicznego Ognia tak, iż są obecnie przezroczystymi kryształami” - trajkotał statek blaszanym głosem. „- w ciągu mniej więcej dwudziestu minut w naszym polu widzenia znajdzie się Miasto Szkatulek, którym rządziły niegdyś rozumne Krystaloidy. Od kilku stuleci to słynne Miasto Miliona Klejnotów znajduje się pod dominacją pustynnych afritów*, powołanych do istnienia na tej równinie za pomocą czarów przez Zaginionych Magików z Kashtuul. Jak z pewnością przypominają sobie państwo z „Sagi Białego Kanthraxu”, Magicy stracili kontrolę nad afritami, wyczarowanymi przez nich samych na tej równinie, po czym te niematerialne istoty wzięły w posiadanie cywilizację, która powołała je do życia... Tam, daleko na północnym zachodzie, mniej więcej dwanaście stopni od świetlika dziobowego, ujrzyście państwo powszechnie znaną Zaporę Królowej Alembis, wzniesioną w ciągu ponad czterdziestu lat, u schyłku panowania Dynastii Srebrzystego Orła, krwawym wysiłkiem siedemnastu tysięcy niewolników. Celem budowy tej zapory, największej w tej części południowego wybrzeża, było zatamowanie Rzeki Galbaaz, by uformować wielkie wewnętrzne jezioro, na którym mogłyby odbywać się coroczne Regaty Kwietnych Łodzi w ramach obchodów Szmaragdowego Jubileuszu Królowej Alembis. Niestety, Królowa wyzionęła ducha z powodu przejedzenia się węgorzami dziesięć lat przed ukończeniem budowy zapory, jednak ówczesni poddani Królowej byli tak do niej przywiązani, że prace odbywały się nadal w takim samym tempie; Regaty odbyły się zgodnie z planem, przy obecności usadowionej na tronie, namaszczonej wonnościami i ustroAfrici - złe duchy w folklorze Muzułmanów (przyp. tłum.) jonej w koronki mumii Królowej... Zbliża się południe; w kabinach serwowany jest dla państwa lunch... Dzisiejsze menu składa się ze smażonej wątróbki Węża Morskiego, podanej w galarecie ungap, z korzonkami pieczonymi w maśle glik oraz znakomitym wywarem z esencji kwiatowych w roztworze z lekkiego, różowego wina...

Podczas gdy Zelobion słuchał jednym uchem bezmyślnej paplaniny elokwentnego statku, w błogim spokoju gapiąc się na zalany słońcem pokład relaksowy, nieznużony Konstruktor grasował po całym okręcie, od dziobu do rufy, niezdolny do odpoczynku i do korzystania z przyjemności podróży. Szczególnie interesowali go Czyciele Wyjącego Drzewa. Spędzili oni cały dzień w przedniej ładowni, zajęci wspólną modlitwą, i nie pojawili się na pokładzie do czasu, gdy purpurowe skrzydła wieczoru spowiły błędny nieboskłon. Ganelon przyglądał im się dokładnie z ukrytego punktu obserwacyjnego. Cały dzień, spędzony w gorącej i dusznej ładowni spowodował, że byli smętni i osłabieni; większość z wyraźną satysfakcją dosłownie przewiesiła się przez barierkę statku, by zrelaksować się choć trochę. Jednak posępny duchowy pasterz grupy pielgrzymów grasował wśród nich nieprzerwanie, mamrocząc napomnienia, zaś jego nadzorcy rozdawali co jakiś czas lekkie ciosy tym spośród pielgrzymów, którzy nie byli pochyleni nad cienkimi książeczkami, najwyraźniej o dewocjonalnym charakterze. Jeden z czycieli przyciągnął zaciekawiony wzrok Ganelona. Podczas gdy większość pielgrzymów było ludźmi niskimi, zażywnymi, o cerze bladej i tłustej, ten jeden był bardzo wysoki. Wyższy niż Świątobliwy Hopring, w gruncie rzeczy tak wysoki, jak sam Ganelon. Początkowo właśnie ten niezwykle wzrost obudził zainteresowanie Konstrukta. Jednak kontynuując obserwację tego człowieka, Ganelon dostrzegł także, iż wydaje się on być pod wpływem fizycznej przemocy. Dwie siostryprzełożone o surowych twarzach, uzbrojone w krótkie i grube bicz, towarzyszyły wszędzie wysokiej postaci.

Trudno było dostrzec, jak ubrany jest wysoki pielgrzym, ponieważ obszerne szaty pokutne oraz kaptur zasłaniały wszystko, jednak Ganelon miał wrażenie, że dojrzał migoczący połysk stalowego łańcucha pod długimi, szerokimi rękawami, skrywającymi dłonie tej dziwnej osoby. Kontynuował zatem obserwację, czując jak narasta w nim nieokreślony niepokój i po jakimś czasie ponownie dojrzał, jak spod rękawów mignęły nadgarstki pielgrzyma.

Jego początkowe wrażenie okazało się prawdziwe. Z jakiejś nieznaney przyczyny ręce wysokiego pielgrzyma były w stalowych kajdankach!

Dopiero gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca spowiły niebo blaskiem o barwie szlachetnego granatu, zaś Czciciele zostali zagnani pod pokład ostrymi słowami Świątobliwego Hopringa i szturchańcami jego potężnych pomocników, Ganelonowi przydarzyła się okazja, by spojrzeć na całą postać i twarz wysokiego człowieka. Jakiś zabłąkany podmuch morskiego wiatru szarpnął ciężkim kapturem i ściągnął go z głowy pielgrzyma. W tym momencie oczy Ganelona napotkały jego spojrzenie. Ku swemu zaskoczeniu Ganelon stwierdził, że wpatruje się właśnie w pełne śmiałości, zielone źrenice niezwykle pięknej, młodej dziewczyny! Na moment otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia. Jej pełne usta o intensywnej, czerwonej barwie poruszyły się, zaś wargi uchyliły się na chwilę, tak, jakby chciała coś powiedzieć. Miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach błyskawicznie wypowiedzianą prośbę - coś, jak nagły błysk nadziei, jakieś nie wypowiedziane słowami pragnienie, gdy jej pełen niemego błagania wzrok uniósł się ku jego oczom.

Chwila ta minęła tak szybko, jak przyszła. Jedna z otyłych sióstrprzełożonych, z pełnym dezaprobaty krzykiem, narzuciła obszerny kaptur na głowę dziewczyny, kryjąc w cieniu jego przepastnego wnętrza rysy jej twarzy. Podczas gdy Ganelon kontynuował obserwację z ukrycia, dwie krzepkie strażniczki zaprowadziły swą zakutą w kajdany podopieczną poprzez zejście pod pokład do ładowni, zaś każda z nich trzymała jej ramię silnym uchwytem. Dziewczyna oraz jej pogromczynie zniknęły z pola widzenia. Świątobliwy Hopring opuszczał pokład ostatni. Odwrócił się jeszcze, by rzucić długie, badawcze spojrzenie na pokład i położone wyżej części statku, tak jakby chciał upewnić się, czy ktoś nie obserwował całej sceny. Gdy jego świdrujący wzrok przesunął się po nim, Ganelon cofnął się w cień; był pewien, że fanatyczny Przeor nie dostrzegł go. Chwilę później Świątobliwy Hopring zszedł pod pokład by przewodniczyć wieczornej ceremonii, zostawiając Ganelona na zardzewiałym, stalowym pokładzie, już tylko w towarzystwie słonego, morskiego wiatru, ciemnego, wzburzonego morza i pierwszych, bladych jeszcze gwiazd. Wkrótce gigantyczne półkole Spadającego Księżyca uniosło się nad brzegiem świata, by skąpać całą ziemię w swym widmowym, szarym blasku.

Tej nocy, gdy Zelobion otrzymał swój wieczorny posiłek od niemego kelnera z automatycznej kuchni, Ganelon był szczególnie mało komunikatywny. Młody olbrzym o brązowej skórze mechanicznie przeżuwał jedzenie, po czym udał się do swojej wyłożonej pianką koi, wymamrotawszy Magowi „dobranoc”. Nie zasnął jednak. Podczas gdy z koi Zelobiona dochodziły w sennym rytmie przytłumione, lecz donośne dźwięki chrapania, zaś stalowy dziób „MacLeara” ciął nieubłaganie powierzchnię pogrążonego w ciemności nocy morza, pokonując jedna po drugiej mile ich podróży, Ganelon spoglądał zatroskanym wzrokiem na kopulasty sufit ponad swoją głową.

Nie był w stanie usunąć ze swojego umysłu obrazu wysokiej, silnej dziewczyny o posturze Amazonki, o pełnych piersiach, szerokich ramionach i długich, zgrabnych nogach. Dziewczyny o gęstych, pięknych, brązowych włosach, o śmiałych, pełnych buntu oczach szmaragdowej barwy, oraz o obfitych, szkarłatnych wargach wymawiających jakby cichą prośbę. Tę właśnie dziewczynę, zakutą

w łańcuchy, grupa religijnych fanatyków transportowała ku jakiemuś nieznanemu miejscu przeznaczenia, z jakiejś tajemniczej przyczyny... jej oczy zaś wydawały się przemawiać do niego poprzez przestrzeń cienia, błagając go o pomoc. Niejasny niepokój narastał w Ganelonie, gdy obraz jej silnego ciała i żebrzących o pomoc oczu krążył po jego umyśle.

Bez chwili odpoczynku przewracał się z boku na bok po swojej koi, zaś długo oczekiwany sen nie przychodził aż do chwili, gdy ciemne dotychczas niebo zaczęły barwić promienie świtu.

6. „MACLEAR” ZMIENIA BANDERĘ

W ciągu nocy „MacLear” pokonał znaczny odcinek trasy. Obaj podróżnicy obudzili się dość późno, gdy słońce stało już wysoko na porannym nieboskłonie; skonstatowali wtedy, że znajdują się ponad tysiąc kilometrów bliżej celu. Zelobion nie posiadał się z radości, słysząc te wieści. Siedząc nad parującym śniadaniem, zajmował się studiowaniem wykresów i map, obliczając ilość dni, które zabierze im dotarcie do Urimadonu jeśli uda im się utrzymać tak wspaniałe tempo. Ganelon pogrążony był w ponurej ciszy, odpowiadając na pełne ekscytacji obliczenia Zelobiona jedynie nieokreślonymi pomrukami.

Przez cały poranek przeszukiwał pokłady, nie udało mu się jednak ponownie zobaczyć choćby przez krótki moment tajemniczego jeńca Świątobliwego Hopringa. Mógł zadać ponuremu gorliwcowi prosto z mostu kilka pytań na temat wysokiej dziewczyny w łańcuchach, ale ponownie, już drugi dzień z rzędu, Przeor Wyroczni Wyjącego Drzewa pozostał pod pokładem aż do całkowitego zapadnięcia zmierzchu. Wyglądało na to, że Hopring chce ograniczyć stosunki z dwoma heretykami, którzy byli jego współpasażerami, tak bardzo, jak to tylko możliwe. Być może obawiał się czegoś w rodzaju subtelnego duchowego skażenia z ich strony. W każdym razie on i jego grupa tłustych Czcieli trzymała się zawsze z dala od Zelobiona i Ganelona Srebrnowłosego.

Jeśli chodzi o sędziwego Maga z Karchoy, spędzał większość dnia siedząc w cieniu wieżyczki pilota, w której znajdował się automatyczny mózg „MacLeara” i prowadząc ożywioną konwersację z gadatliwym statkiem. „MacLear” dość ochoczo dyskutował o zagubionej cywilizacji, która zbudowała go przed wiekami, jednak pamiętał bardzo niewiele o naukowych osiągnięciach swych „antenatów”. Jego baterie pamięciowe nie zawierały również nic pouczającego na temat natury thetamagnetyzmu.

Mimo to przebiegły Mag uzyskał dużą obfitość drobnych informacji na temat kulturowego tła cywilizacji Vandalexu, dotyczących obyczajów Fezyjczyków oraz zagłady, która zniszczyła ich Technologiczne Imperium podczas wojny, którą toczyli przeciwko Wysokim Obrońcom Tringu podczas dynastycznych zmagania między Porsenną a Radelonem pod koniec Eonu Latających Miast.

Tego wieczoru podczas kolacji Zelobion rozwodził się z entuzjazmem nad cudami techniki, na które mogą natknąć się wśród promieniujących gruzów cywilizacji Fezjan. Ganelon milczał; wysokiej dziewczynie w łańcuchach nie pozwolono dzisiaj na dzielenie z innymi wieczornej chwili swobody na pokładzie, zaś brązowoskóry olbrzym, pamiętając obietnicę, którą wymusił na nim Zelobion, nie udał się na dół, by pośród Czcieli odnaleźć Świątobliwego Hopringa i nawiązać z nim rozmowę za pomocą pytań dotyczących płowowłosej Amazonki. Dlatego spędził kolejną noc na ponurych rozważaniach.

Minęło siedem dni. Mówiący Statek poczynił wyraźnie zauważalny postęp w podróży. Za rufą było już wiele tysięcy mil otwartego morza. Mimo to jednak brzegi Gondwany o kolorze zieleni i

umbry wciąż widoczne były od północnej strony. Przepływając obok ujścia Hundar Koi, rzeki diabłów, ujrzeli odległe ognie obozowisk kudłatowłosych dzikusów z Nimbolandu. Poprzez zabarwioną na niebiesko mgłę dostrzegli też błyszczące iglice wież i srebrzyste minarety miast Euros i Harthex. Pokonali już ponad osiem i pół tysiąca kilometrów trasy - tak wspaniałą prędkość osiągnął potężny statek, wyposażony w nieznużone silniki o atomowym napędzie.

W trakcie podróży zrobili kilka interesujących zmian kursu. Minęli Wyspy Liambra, które wyrastały wprost z błękitnego morza na południe od ich trasy, zaś szczęśliwi, śmiejący się tubylcy o skórze bursztynowej barwy wypłynęli ku nim w swych ukwieconych barkasach, by dla nich zaśpiewać. Niestety, prędkość, którą osiągnął w tym czasie „MacLear” była tak duża, że pasażerowie spostrzegli jedynie w przelotnym błysku obraz nagich Wyspiarzy, gdy przepływali mimo nich.

O świcie następnego dnia byli świadkami przerażającej bitwy. Olbrzymi neoplesiosaur miał nieszczęście wynurzyć się na powierzchnię w samym środku wędrownej ławicy rybkanibali. Przez kilka minut obserwowali fantastyczną bitwę, podczas której gigantyczny gad młócił wodę i ryczał przeraźliwie pośród bałwanów spienionej wody, zabarwionej purpurą, gdyż tysiące ostrych jak brzytwa, malutkich zębów tych niewielkich mięsożernych ryb cięły jego skórę i ciało. Ponieważ rybkanibale są zbyt małe, by dostrzec je gołym okiem, wyglądało to tak, jakby olbrzymi smok uwikłany był w walkę z jakimś zupełnie niewidzialnym przeciwnikiem... był to przedziwny i rzadko spotykany widok. Pod koniec trzeciego tygodnia podróży, gdy atomowy statek pokonał pełną, niewiarygodną odległość ośmiu tysięcy sześciuset kilometrów, podróż przerwała nieoczekiwana przeszkoda.

Któregoś poranka obudzili się i odkryli, że statek unosi się na rozkołysanych falach. Jego ruch do przodu został całkowicie wstrzymany. Dudniące zwykle silniki przerwały swą nieustanną wibrację. Statek w ogóle się nie poruszał, jeśli nie liczyć lekkiego kołysania, spowodowanego przez uderzające w kadłub fale. Ganelon znalazł się na pokładzie w ciągu kilku chwil, wyprzedziwszy Zelobiona, który, irytując się i złorzecząc, także wspiał się po łączących kabiny z pokładem schodach. Na górze powitała ich zaskoczona, pełna konsternacji twarz Świątobliwego Hopringa.

- O... okręt zat... rzymał się - wyjąkał kapłan. - L... lichy wie, co się stało... Nie jesteśmy w pobliżu lądu - nie mogę nawet zobaczyć brzegu przez te cholerne poranne mgły. Cz... czy w... padliśmy na mieliznę? - wybulgotał nerwowo.

- Nie wiem tego. Czy zadałeś już to pytanie Statkowi? - odparł Ganelon.

- On m... mi nie od... powie...

Zelobion energicznym krokiem wszedł na śródokręcie i stanął przed wieżyczką pilota, w której znajdował się inteligentny mózg statku.

- „MacLear”! - krzyknął. - Co ma znaczyć ten skandal?! Dlaczego zatrzymaliśmy się w środku naszej trasy, na pełnym oceanie? Czy wszystko jest w porządku? Czy twoje silniki są na chodzie? Zanim opuściliśmy Pandelor, upewniłeś nas, że w porcie poddałeś się pełnemu przeglądowi technicznemu...

- Bzzzzt! Piiiip! Ehem, ehem... Uwaga wszyscy pasażerowie! - skowyczący głos „MacLeara”, przypominający wycie syreny mgłowej wydostał się z głośników z blaszanym rezonansem. - Alarm! Alarm! Wszyscy pasażerowie na pokład!

Trzeszczący, metaliczny wrzask z głośników rozbrzmiewał w ciszy poranka. Hopring zbladł i głośno przełknął ślinę.

- Och, na Uświęcone Nasienie Świętego Drzewa!

T...toniemy! - powiedział drżącym głosem.

- Wszyscy pasażerowie na pokład! Powtarzam: wszyscy pasażerowie na pokład!

Ganelon stał w środku całego tego zamieszania, a jego przenikliwe, czarne źrenice przeczesywały tłum gadających w podnieceni, wystraszonych Czcieli, gdy, kłębiąc się, wychodzili oni z przedniej ładowni statku. Oczywiście jego nadzieje potwierdziły się: po chwili na pokładzie znalazła się także wysoka dziewczyna o płowych włosach... jednak okazało się, niestety, że jest ona całkowicie zablokowana przez dwie gramolące się niezdarnie przełożone o surowych twarzach, z krótkimi i grubymi biczami przez cały czas gotowymi do użycia. Stopniała nadzieja w jego sercu. Liczył na to, że uda mu się wykorzystać zamieszanie i zamienić choćby parę słów z płowowłosa. „MacLear” przerwał swoje brzęczenie, by oznajmić: - Mój Reaktor Atomowy Numer Dwa nie ma już miedzianych prętów paliwowych. W tej sytuacji nie mogę odważyć się na kontynuację podróży, gdyż jeśli stracę stabilizującą siłę ciągu Reaktora Drugiego, ruch boczny może wyrwać moje śruby z obudowy. Wszyscy pasażerowie muszą zatem przeszukać teraz swój dobytek i zebrać dosłownie każdy atom miedzi, który mają w bagażu i na sobie, niezależnie od tego, czy w postaci narzędzi, czy broni. Trzeba to zrobić szybko i przynieść zgromadzoną w ten sposób miedź do stacji paliwowej F-9 w przedniej ładowni... Martwa cisza zapadła ponad bełkoczącym dotychczas bezładnie tłumem. Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Każde z nich zapłaciło przecież żadaną prowizję za podróż w miedzianych sztabkach - oczywiście, że była ona wystarczająca, by napędzać atomowy statek tak długo, by...

Świtające nagle w jego mózgu podejrzenie rozjaśniło zielonobrode oblicze sędziwego Maga.

- „MacLear”, ty stary łajdaku! - ryknął, czerwieniejąc z furii. - Kłamiesz aż po swoje wały korbowe! Nie jesteś wcale uczciwym statkiem handlowym, tylko jakimś pioruńskim piratem!

Statek odpowiedział milczeniem. Zelobion odwrócił się do Ganelona, Hopringa i wystraszonego stadka Czcieli.

- Nie rozumiecie, co się dzieje?! Ta przeżarta przez rdzę stara łajba przywozi nas tutaj, na pełny ocean, tysiące kilometrów od miejsca przeznaczenia, a potem symuluje brak atomowego paliwa! „MacLear” proponuje nam, byśmy zapłacili okup w postaci dodatkowej opłaty w miedzi, ponad i tak już wygórowaną cenę, którą zapłaciliśmy za naszą podróż!

- Piracki statek! - wymamrotał Hopring ze szklistym wzrokiem. - S... słyszałem kiedyś o takim nickszym, korsarskim statku, ale nigdy nie myślałem, że... Ale co możemy zrobić? Zapłaćmy lepiej tę bandycką cenę... nie możemy przecież sami prowadzić tego statku...

- Czy rzeczywiście nie możemy?! - ryknął Ganelon, unosząc groźnie swój bułat. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, przyznając mu jakby przywództwo. Obejrzał dokładnie wieżyczkę pilota zimnym, oceniającym spojrzeniem, a potem szybko przedarł się przez tłum Czcieli o rozszerzonych strachem oczach.

- Możemy zawładnąć urządzeniami do ręcznego pilotowania statku i zmusić „MacLeara”, by skierował się do brzegu - krzyknął. - Potrzebuję teraz pomocy najsilniejszych spośród was - ty, tutaj, chodź ze mną!

Zanim Hopring zdołał wymówić choćby słowo, Ganelon podszedł energicznie do wysokiej dziewczyny o płowych włosach, odsunął na bok dwie pilnujące ją wiedźmy o ponurych obliczach, ujął silne ramię dziewczyny swoją dłonią i poprowadził ją stanowczo ku wieżyczce pilota.

Hopring, bełkocząc coś z furją, kilkoma susami ruszył do przodu w towarzystwie dwu potężnych Czcieli - lecz Ganelon zatrzymał ich błyskiem płynnego, czarnego ognia swych wyrazistych oczu,

równocześnie znaczącym gestem unosząc swój bułat. Jego stalowy poblask odbijał się teraz w źrenicach ich wybałuszonych oczu.

- Cofnijcie się, ludzie! - krzyknął ostrzegawczo. - Nie biorę odpowiedzialności za to, co zrobi „MacLear”...

Wystraszywszy chwilowo Czcicieli, odwrócił się i szepnął szybko do wysokiej dziewczyny:

- Naciśnij ramieniem na drzwi w tym miejscu i spróbuj je poruszyć. Tak naprawdę, nie potrzebuję twojej pomocy, chciałem jednak zamienić z tobą kilka słów od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy tamtego wieczoru na pokładzie. Kim jesteś i dlaczego towarzyszysz tym religijnym maniakom?

Głębokim, niskim głosem zaszeptała w odpowiedzi:

- Na imię mam Arzeela! Jestem więźniem jednego z tych ludzi, zwanego Świątobliwym Hopringiem, który kupił mnie na targach niewolników w Sagdondakharze. W ogóle nie należę do ich grupy, ani też nie wyznaję wiary w ich skowyczące Drzewo. Jestem jedną z KobietWojowników z Khond, wziętą do niewoli przez zwycięzców po wojnie, którą prowadziłyśmy z hordą Yuklat Zoi. Zaklinam cię, potężny człowieku, uratuj mnie! Oni chcą zabrać mnie do swojej Wyroczni, by złożyć ze mnie jakąś obrzydliwą ofiarę swojemu Drzewu... to ohyda tak niewypowiedziana, że nie śmiem nawet mówić, na czym ona polega!

Jej oczy o migotliwym, zielonkawym poblasku zaglądały głęboko w jego źrenice. Jej jędrne, zmysłowe ciało było bardzo silne i unosiło w wielu miejscach gruby materiał pokutnej szaty łagodnym łukiem; bardzo wyraźnie odznaczały się wygięcia bioder i lędźwi, a także dużych, pełnych piersi. Ganelon przytaknął ze stanowczością.

- Podejrzywałem, że chodzi o coś takiego, gdy tylko ujrzałem twoje kajdany - mruknął. - Pomóż mi teraz, a ja spróbuję cię uwolnić.

Unieśli odrobinę i popchnęli wodoszczelne metalowe drzwi, podczas gdy „MacLear” skrzeczał i wył z głośników ponad ich głowami, wypowiadając mnóstwo okropnie brzmiących ostrzeżeń.

Ganelon posłużył się częścią swej pełnej, zadziwiającej siły. Jego mięśnie wily się i skręcały pod skórą szerokich barków i potężnych ramion niczym brązowe, grube liny. Metal złamał się i rozszczepił z rozdzierającym uszy trzaskiem.

Szarpieniem otworzył drzwi, a potem popchnął je. Jego oczom ukazały się rzędy pokrytych kurzem urządzeń kontrolnych. Odnalazł wśród nich rząd, określony mianem: AWARYJNE STEROWANIE RĘCZNE i uruchomił go. Potem jego wzrok padł na czerwoną dźwignię, umieszczoną w szklanej gablocie. Podpis pod nią brzmiał: AWARYJNA KONTROLA AUTOMATYCZNEGO MÓZGU. Rozbił szklaną osłonę za pomocą główki swojego bułata, podczas gdy wysoka dziewczyna stała obok, z zapartym tchem obserwując jego poczynania. Potem Ganelon wystawił głowę z otworu wyważonych przez siebie drzwi i krzyknął do statku:

- „MacLear”, ty stary korsarzu! Natychmiast udaj się w stronę brzegu, albo wyłączę twój mózg i poprowadzę cię przy pomocy urządzeń ręcznego sterowania! Ruszaj się!

Nastąpiła długa, jakby bolesna cisza. Soczewki na teleskopowych wysięgnikach błysnęły na nich z góry. Ich przenikliwy inteligentny poblask zbladł jakby. Błyszczały teraz tępo i matowo. A potem...

- Tak jest, sir! - stwierdził ulegle statek. Chwilę później usłyszeli, jak jego pozbawione ponoć energii silniki zaczynają dudnić pod ich stopami. Zelobion i Czciciele dali wyraz swym uczuciom za pomocą nierównego, choć bardzo szczerego, okrzyku radości. Sędziwy Mag rzucił długie, pełne wyrzutu spojrzenie teleskopowym soczewkom statku.

- „MacLear”! - wykrzyknął. - Nie wstyd ci teraz?!

Gdyby „MacLear” miał twarz, z pewnością spłonąłby rumieńcem. Ponieważ jednak tak nie było, oczyścił głośniki kilkoma chrząknięciami, po czym wymamrotał: - Rozumiecie, statek też musi jakoś żyć... Potem zaś milczał jak zaklęty, nie zamieniwszy nawet jednego słowa ze swoimi niedoszłymi ofiarami, które nieoczekiwanie zamieniły się w pogromców, dopóki nie dotarli do brzegu.

Stali w małych grupach na wilgotnym, szarym piasku, obserwując jak Mówiący Statek gwałtownie odpływa na pełne morze w poszukiwaniu następnych pasażerów, których mógłby oszukać. Ganelon nie miał serca, by „rozbroić” starego pirata, odłączając jego automatyczny mózg. Konstruktor nie był również w stanie przebywać przez cały czas w wieżyczce pilota, pilnując ręcznych urządzeń kontrolnych, podczas gdy „MacLear” przewoziłby ich do końcowego celu podróży. Jedyną rzeczą, którą można było zrobić - to, tak jak uczynił Ganelon, sprawić, by Mówiący Statek skierował się natychmiast ku brzegowi i po dotarciu tam pozwolił swoim pasażerom wysiąść.

Decyzja ta nie podobała się Świątobliwemu Hopringowi, ponieważ pomiędzy mulistym brzegiem a Wyrocznią Wyjącego Drzewa rozpościerały się nadal jeszcze całe tysiące kilometrów. Usiłował wyperswadować Ganelonowi, by ten wyłączył sztuczny mózg i pilotował statek, kontynuując w ten sposób podróż od miejsca, w którym się zatrzymali. Konstruktor odmówił jednak. Zwrócił uwagę na to, że atomowe silniki, jeśli nie są kierowane dłonią prawdziwego eksperta, mogą eksplodować, zamieniając statek, jego załogę, cały ładunek, a przy okazji jeszcze wiele tysięcy metrów sześciennych otaczającego ich morza w ognistą kulę gorącego gazu. Przyznawał przy tym całkiem szczerze, że zgromadzone przez niego doświadczenie nie obejmowało zgłębiania technologii silników nuklearnych. Zatem, począwszy od miejsca na brzegu, w którym się znaleźli, będą musieli pokonywać swą drogę na piechotę.

Zelobion zajął się swoją paczką map, próbując przede wszystkim określić miejsce, w którym się znaleźli. W końcu pochrząkując, pokaszując i rzucając co jakiś czas spojrzenia na Słońce, by określić jego pozycję, oznajmił, że znajdują się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Niezwykłym Miastem Quigg a Ziemią Niewidzialnych Węży. Najlepszą drogą, którą mogli teraz obrać - najbezpieczniejszą, jeśli nawet niezupełnie najkrótszą - było skierowanie się ku' celowi lądem poprzez krainę Omboma, dopóki nie dotrą do Targowego Miasta Pioma, należącego do handlowej cywilizacji, w której potencjalnie wszystko było na sprzedaż. Będą tam mogli wystarać się o przewodników i transport - jeśli nie w zwykłej, kupieckiej karawanie, to nabywając własne wierzchowce.

Hopring przyjął dość kwaśno te „rewelacje ”; był jednak zmuszony zgodzić się z zaproponowanym wariantem działań. Wystąpił także z dość zaskakującą dla Zelobiona propozycją, by, ku obopólnej korzyści i dla wspólnego bezpieczeństwa, z uwagi na to, że siła zależy od liczebności grupy, podróżowali razem od brzegu aż do miasta Pioma, zaś każdy w równym stopniu brał udział w grupowych przedsięwzięciach. Sędziwy Mag widział w tym pewną logikę; choć nie darzył sympatią ani świętoszkowatego Przeora, ani też jego bandy tak zwanych „Czcicieli” o ciastowatych twarzach, nie widział sposobu by im odmówić, zaś brak odmowy oznaczał zgodę.

W surowych warunkach, na pokrytym mułem brzegu, przygotowali śniadanie, które nie mogłoby usatysfakcjonować żadnego podniebienia. Przed opuszczeniem pokładu pielgrzymi zatrzymali się jeszcze przez chwilę na statku, by zamówić i odebrać nieco posiłków przygotowanych w pośpiechu przez automatyczną kuchnię. Dzięki temu przed wyruszeniem w dalszą podróż, siedząc nad dymiącym ogniskiem z wyrzuconych przez morze kawałków drzewa i suchych wodorostów, przełknęli jeszcze

niedogotowanego gulaszu.

Potem przez cały dzień szli na północny zachód przedzierając się przez coraz wyższe wydmy z szorstkiego, raniącego stopy piasku, pokryte wyschłymi trzciniami, które posępnie zawodziły i gwizdały w porywach zimnego wichru od strony Lodowych Gór Caopha.

Tej nocy zgromadzili się wokół tłących się słabo ognisk, zrobionych z wyschłych traw i trzcin. Na szczęście Zelobion znał nieco Ognistej Magii, w przeciwnym wypadku byłiby bowiem zmuszeni do wielogodzinnych prób skrzesania ognia za pomocą pocierania o siebie dwóch noży. Ponieważ mieli ogień, spali niespokojnie wokół rozwiewanych przez wicher ognisk, owinięci w swoje szaty, nękani bezustannie przez ostre, powodujące swędzenie ziarenka piasku, które dostawały się pod ich ubrania, a także przez pustynne pchły przeskakujące swobodnie z ciała jednego podróżnika na ciało innego. Wcześniej jeszcze Hopring poprowadził długą i męczącą ceremonię wieczorną, do wysłuchania której Zelobion i Ganelon zostali siłą rzeczy zmuszeni, gdyż odbywała się ona w odległości niecałych dziesięciu metrów od nich. Na zakończenie wychudzony stary Przeor, uśmiechając się do nich z fałszywą serdecznością, życzył im wylewnie dobrej nocy, a także oddał ich pod opiekę Gałęzi Wyjącego Drzewa.

Ganelon pierwszy stanął na warcie. Nie zdążył dokończyć pierwszego obchodu wokół obozowiska, gdy pośpiesznie nabazgrana i nieporządnie zwinięta kartka trafiła go w pierś, odbijając się od niej. Jej autorką była wojowniczką Arzeela. Wiedział to, ponieważ obserwował ją, jak pozornie pogrążona we śnie, zawinięta w derkę, leżała pomiędzy dwiema strzegącymi ją „przełożonymi”, które przykucnęły niczym krawcowe nad robótką, drzemiąc płytko po obu stronach swego więźnia, z głowami opuszczonymi na piersi. Ganelon zauważył moment, gdy ręka dziewczyny uniosła się na chwilę, by rzucić kartkę w jego stronę. Zaniósł liścik do ogniska i przeczytał go w kapryśnych błyskach pomarańczowych płomieni:

NIE UFAJCIE HOPRINGOWI.

ZDRADZI WAS, JAK TYLKO NADARZY MU SIĘ OKAZJA.

OBSERWUJCIE GO PRZEZ CAŁY CZAS. A.

Uniósł swą migoczącą w blasku, srebrzystą głowę i przyjrzał się miejscu, gdzie leżała dziewczyna. Była w tej chwili jedynie ciemnym, niewyraźnym kształtem, ukrytym pod derką. Potem nakarmił płomień skrawkiem pergaminu i obserwował, jak się pali. Jego ciemnobrązowa twarz wyrażała zmartwienie i głębokie zamyślenie, gdy tak wpatrywał się w migoczący ogień. Wokół wzmagał się wicher.

7. WYPOWIEDŹ SKRYTEGO OBJAWIENIA

W ciągu pierwszych trzech dni lądowej podróży wędrowcy pokonali zaledwie około siedemdziesięciu kilometrów, zaś udało im się to jedynie dlatego, że Ganelon Srebrnowłosa bezlitośnie ich poganiał. Skomleli i pojękiwali, narzekając na pragnienie, udary słoneczne, pęcherze na nogach, ból mięśni, głód, wyczerpanie i znaczną ilość innych przypadłości, które przypuszczalnie już od milionów lat nękały ludzkie ciało. Olbrzym nie zwracał najmniejszej uwagi na ten chór skarg. Szli na piechotę przez dziki, obcy kraj i musieli dotrzeć do najbliższego ośrodka cywilizacji - Handlowego Miasta Pioma - z tak małym opóźnieniem, jak to tylko możliwe. Kraina Omboma, którą właśnie przemierzali, wlokąc się z trudem i stękając z wysiłku, była najprawdopodobniej zamieszkała przez bandy plemienia Faoth Glund, którego na ogół nie posądzano o gościnność wobec nieproszonych podróżników.

Oczywiście jednak zdarzyło się, że trzeciego dnia wędrowki Świętobliwy Hopring, złoszcząc się i sapiąc, dotarł do czoła kolumny, gdzie kroczył Ganelon. Hopring chciał zwrócić uwagę olbrzymia na złowieszczy widok.

Ganelon zmrużył oczy w słonecznym blasku, spoglądając w kierunku, który wskazywał mu drżący i kościsty paluch Przeora. Twarz olbrzymia stała się zimną i niewzruszoną, ciemnobrązową maską. Na skraju niewysokich, piaszczystych pagórków stał bowiem szereg jeźdźców, dosiadających kudłatych koników niebieskiej maści; jeźdźcy najwyraźniej obserwowali rozciągnięty teraz u ich stóp szlak wędrujących pielgrzymów.

- Powinniśmy iść dalej, tak, jakbyśmy ich w ogóle nie zauważyli - zdecydował stanowczo Ganelon.

- A... ale co b... będzie, jeśli zaatakują? Słyszałem, że ci smagli dzicy nie przestrzegają obyczajów ludzi cywilizowanych i nie będą okazywać szacunku dla naszej świętości. O... oni mogą n... nawet wyrzucić fizyczną przemoc na naszych świętobliwych osobach! - wysyczał niespokojnie chudy fanatyk.

Również sędziwy Zelobion, klnąc i złorzecząc, przybył na czoło kolumny.

- Wnioskuje, że widzieliście jeźdźców? - spytał.

- Tak - potwierdził beznamiętnie Ganelon. - Najlepiej będzie kontynuować marsz. Oni niewątpliwie zastanawiają się, kim lub czym jesteśmy i prawdopodobnie będą śledzić nas z bezpiecznego dystansu, dopóki nie zdecydują się, co zrobić. Najprawdopodobniej nigdy jeszcze nie widzieli grupy tłuszciochów ubranych w pokutne szaty, wlokących się na piechotę i będą zaintrygowani, czy jesteśmy magami, pustynnymi demonami, upiorami, czy też szaleńcami. W każdym razie chciałbym, żebyśmy znaleźli się już poza obszarem tych gór, na otwartej równinie, zanim oni zdecydują się, co z nami zrobić. Pośpieszmy się zatem! Kontynuowali wędrowkę aż do chwili, gdy żar piekącego popołudniowego słońca zelżał nieco. Jeźdźcy zniknęli ze szczytów pagórków, gdy

Ganelon spojrział tam powtórnie. Wiedział jednak, że nie odeszli na dobre i okazało się, że miał rację. Przez cały dzień miał świadomość obecności jeźdźców po obu stronach kolumny, prawie poza zasięgiem ich wzroku. Kudłate niebieskie koniki dotrzymywały im kroku przez długie, męczące, niespokojne godziny dalszej wędrówki.

Czwartego dnia późnym popołudniem pielgrzymi mieli za sobą kolejnych siedemdziesiąt kilometrów wędrówki. Już od jakiegoś czasu podróżowali przez równinę porośniętą żółtymi trawami sięgającymi mniej więcej do wysokości kolan. Kruche i wysuszone ostrza tych traw szeleściły od ruchu ich zmęczonych nóg, gdy tak szli wciąż do przodu.

Potem zobaczyli plemię Faoth Glund.

Była to banda półnagich ludzi, którzy dosiadali swoich kudłatych koników, stojąc w milczeniu i bezruchu na drodze pielgrzymów, w oddali, pośród równiny. Wyglądało to zupełnie tak, jakby czekali aż grupa Ganelona zbliży się do nich. Olbrzym wydawał krótkimi warknięciami związane rozkazy, polecając swoim ludziom, by zachowali ciszę i byli ostrożni. Ruszyli do przodu, posuwając się powoli w stronę plemienia. Ganelon znajdował się na czele kolumny, zaś po obu stronach olbrzyma szli Zelobion Mag i Świętobliwy Hopring. Gdy podeszli bliżej, Ganelon zaczął obserwować członków plemienia Faoth Glund rozważnym, oceniającym wzrokiem.

Przed wędrowcami znajdowało się około stu dziwnych ludzi o ciemnej skórze, którzy wyglądali na wojowników. Mieli ciemne, tajemnicze twarze o ostrych rysach i nie strzyżonych nigdy białych włosach, które teraz rozwiewał wiatr. Byli to dzicy, cisi ludzie, smukli i silni, o ciałach jakby wyrzeźbionych z ciemnego drewna, prymitywnie przyodziani w ciemną skórę i brązowe żelazo, uzbrojeni w iskrzące się miecze o ostrzach niczym zęby piły, wykonane z dziwnego niebieskiego szkła.

Poleciwszy innym, by pozostali na miejscu, Ganelon sam ruszył naprzód. Przyglądał się dokładnie plemieniu Faoth Glund, gdy tak szedł bez odrobiny lęku przez wysokie trawy, które chłostały go po łydkach. Byli to dziwni, milczący ludzie o zimnych, żółtych źrenicach, spoglądających na przybyszów z wilczą zawziętością. Mieli ze sobą tarcze z pokrytych łuskami i najeżonych kolcami skór peragadonów, dźwigali też proporce na wysokich drzewcach. Zwisały z nich poszarpane i spłowiałe sztandary, na których przedstawione były budzące grozę twarze diabłów, dziwne potwory oraz totemiczne bestie. Wódz plemienia Faoth Glund odłączył się od pozostałych i podjechał powoli, by spotkać się z Ganelonem w pół drogi pomiędzy obydwiema stojącymi w milczeniu grupami. Wódz był stary, tak stary, że aż trudno to opisać. Niczym prastare drzewo, sponiewierane i osmalone przez wieki, gdy wystawione było na działanie słońca, wichrów i burz, wydawał się silny a zarazem suchy i sękaty. Tłuszcz i mięso jego ciała, które zapewne kiedyś posiadał w dużej obfitości, odpadło od niego; był teraz chudy, wymizerowany i jakby wycieńczony, ciało miał łykowate, zaś pod wygarbowaną skórą wydawał się mieć jedynie żyłaste ścięgna i kości. Przygniatał go ciężar przeżytych lat, jednak niczym drzewo, które przetrwało wieki, ostał się wichrom, nie ugiąwszy się ani nie złamawszy pod ich naporem. Jego długa, rozczochrana, biała broda kładła się aż na kościstej klatce piersiowej. Brwi okrywała zwieńczona rogami czapka, wykonana ze zwierzęcego futra. Na rzemień, zwisający z jego szyi, nanizane były ludzkie zęby i lwie kły. Oczy tego człowieka były zimne, niemal lodowate - błyszczało w nich jakieś prastare zło.

- Kiedyż to przybyliście, o Cudzoziemcy, do tej krainy i dokąd zmierzacie? - spytał. Głos miał chrapliwy niczym krzyk jastrzębia krążącego po letnim niebie.

- Wyszliśmy z morskich głębin i zmierzamy do miasta Pioma - odparł Ganelon silnym głosem.

Zimne i twarde spojrzenie wodza zagłębiało się w nim, jakby urągając mu złośliwie. Wicher świstał pośród jęczących żalobnie traw, zaś popołudniowe niebo pokryte było szarymi chmurami. Brązowoskóry olbrzym czuł, jak po czole i klatce piersiowej ściekają mu powoli duże krople potu. Stał mocno na nogach, opierając się na swym bułacie.

- Pioma! o tak... zatem macie przed sobą jeszcze parę dni drogi - zachichotał stary wódz, zupełnie jakby odpowiedź Ganelona szczerze go ubawiła. Ganelon nie zareagował, zachowując srogi, beznamiętny wyraz twarzy. Starzec obejrzał go od stóp do głów.

- Do jakiego rodzaju ludzi należycie, jeśli w ogóle jesteście ludźmi? - spytał - Nigdy, aż do tej chwili, moje oczy nie oglądały nikogo, kto narodziłby się z kobiety i miał twój wzrost, ani też podobny twemu kolor włosów...

- Nie narodziłem się z kobiety - powiedział Ganelon równym, głębokim głosem. - Bogowie Czasu stworzyli mnie takiego, jakim jestem i ustanowili przede mną moje Przeznaczenie.

Kudłaty, niebieski konik zląkł się czegoś, co znajdowało się w wysokiej trawie i stary wódz przez jakiś czas zajęty był uspokajaniem zwierzęcia. Gdy podniósł na Ganelona spojrzenie swych steranych wiekiem, żółtych źrenic, widać w nich było jakiś dziwny niepokój.

- Bogowie, powiadasz...? No, no... Tu, na dzikich pustkowiach krainy Omboma mało wiemy o bogach... o diabłach i demonach wiadomo nam znacznie więcej... o cieniach umarłych, potworach, które pokutują w Prastarej Ciemności... takich, jak te, do których modlimy się z lęku przed ich zemstą. Słyszałem, że inne ludy modlą się do bogów z powodu miłości. Ale my, Faoth Glund, wiemy, że strach silniejszy jest niż miłość... Powiedz zatem, wysoki człowieku o srebrzystych włosach, jakie jest twoje Przeznaczenie? Jego chrapliwy głos krążył powoli wokół Ganelona, niczym jastrząb po bezchmurnym niebie - a potem spadł na swą zdobycz. Jednak twarz Ganelona pozostała spokojna, chłodna i jakby odległa.

- Walczę ze Spadającym Księżycem, który jest moim wrogiem - powiedział surowo.

Zapanowała długa, pełna napięcia cisza. Było w niej także spowodowane przez lęk drżenie. Potem starzec odezwał się:

- Żaden człowiek nie może zwyciężyć Księżyca.

Wisi on nad nami niczym wielki kamień na cieniutkiej nici. Tylko demony - lub, być może, bogowie - są zdolni walczyć z Księżycem!

- To może być prawdą - odparł Ganelon Srebrnowłosey głosem równym, bez żadnej modulacji - jednak takie właśnie jest moje Przeznaczenie. Moim życzeniem jest przejechać tędy do miasta Pioma. Ani ja, ani ci, którzy mi towarzyszą, nie chcemy sporu z ludźmi Faoth Glund. Chcemy jedynie przejść przez tę ziemię, zmierzając ku odległej krainie, gdzie stanę do walki i zwyciężę Księżyc.

Przez dłuższy czas stary wódz sadowił się wygodnie na swym wierzchowcu, spoglądając chytrze na Ganelona spod osłony swojej rogatej czapki. Potem, z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu, nagle odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać, śmiać się dziko; była to długa, przyprawiająca o dreszcz salwa szalonego śmiechu, pełnego urągania, okrucieństwa i jakiejś przerażającej uciechy.

- Przechodź zatem i odejdz w niepamięć, dziwny Cudzoziemcze! Weź ze sobą szaleńcze zadanie, którego się podjąłeś, weź swe przedziwne pochodzenie i przerażające Przeznaczenie, któremu podlegasz... przejdź i odejdz w nicość! Ludzie Faoth Glund nie chcą żadnego sporu z tobą! Idź, walcz i zwyciężaj Księżyc, który wisi na niebiosach!

Nieprzyjazne, urągające salwy szaleńczego śmiechu ścigały Ganelona, gdy kroczył z powrotem,

by dołączyć do pielgrzymów. Twarz Świątobliwego Hopringa była biała i wilgotna od potu. Wyraźnie malował się na niej lęk. Nawet Zelobion był blady i oszołomiony, zaś potężne zgłoski jakiejś przerażającej Wypowiedzi wisały na jego okolonych zielonkawym zarostem wargach.

- Maszerujcie! Hopring, powiedz swoim ludziom, by nie oglądali się na lewo ani na prawo i nie zwracali uwagi na tych dzikich, dopóki nie przejdziemy obok nich. Ruszajcie natychmiast!

Przez całe długie popołudnie aż do zachodu słońca wędrowali ze znużeniem przez wzdychające żałobnie, żółte trawy. Nie widzieli ani nie słyszeli nikogo spośród ludzi Faoth Glund. Wyglądało to tak, jakby cisza, wysuszone trawy i puste niebo tej surowej, nawiedzanej przez duchy krainy wchłonęły ciemnoskórych, silnych tubylców. Dosłownie wyparowali jak kamfora. Szóstego dnia wieczorem zatrzymali się, by rozbić obóz. Przewędrowali na piechotę ponad sto siedemdziesiąt kilometrów przez step i znajdowali się prawie na granicy krainy Omboma. Targowe Miasto Pioma znajdowało się w odległości zaledwie kilku dni marszu.

Teraz mogli poruszać się szybciej, mniej skarżąc się na warunki podróży. Ich zmęczone, bolące mięśnie stały się mocne i odporne. Bąble, które przysparzały im wiele cierpienia wyschły, zaś skóra w miejscach, gdzie się znajdowały, wyraźnie stwardniała. Każdy krok zbliżał ich do rajskich miejsc spokoju i bezpieczeństwa. Zelobion podpalił dużą ilość wysuszonych traw i pielgrzymi piekli teraz nad ogniem bażanty, upolowane w ciągu dnia za pomocą rzuconych w nie kamieni. Świątobliwy Hopring podszedł do miejsca, w którym stał Ganelon. Na jego cienkich wargach zagościł przymilny uśmiech. W dłoni dzierżył kubek zrobiony z ceramiki.

- Wkrótce rozłączymy się i pójdziemy swymi osobnymi drogami - stwierdził Przeor, z wysiłkiem czyniąc swój surowy, zgrzytliwy głos miękkiem i przyjaznym. - Nasz obyczaj każe podzielić się zawsze kubkiem wina zmieszanego z wodą z ludźmi, z którymi się rozstajemy, zanim wypowiedziane zostaną słowa pożegnania.

Zaofiarował kubek obu podróżnikom; Ganelon przyjął go z ociąganiem. Kątem oka wychwycił ostrzegawcze spojrzenie Zelobiona i potwierdził swe zrozumienie delikatnym skinieniem głowy. Treść kartki, którą otrzymał od Arzeeli, ostrzegającej go, iż Hopring nie jest godny zaufania, zgadzała się z przecuciem Zelobiona, a także z jego własnymi podejrzeniami. Powąchał wino. Jego delikatny bukiet wydawał się zupełnie niewinny, mimo to Ganelon wciąż się wahał. Nie widział przyczyny, dla której Hopring mógłby chcieć go otruć. Wolał jednak nie ryzykować. Dlatego wylał wino na ziemię i przepłukał kubek czystą wodą, po czym napełnił go ponownie.

Wychwyciwszy pełne dezaprobaty spojrzenie Hopringa, uśmiechnął się ponuro.

- Złożyłem ślub, by nie dotykać nawet wina, musisz zatem mi wybaczyć - warknął. - Wypiję jednak ten kubek wody za szczęśliwe zakończenie waszej podróży.

Opróżnił kubek i oddał go Hopringowi, który stał teraz, jakby na coś oczekując. Zelobion podbiegł i schwycił Ganelona za ramię, gdy ten zachwiał się i zaczął nagle słaniać się na nogach. Dzikie krzyki przerażenia wydobyły się z piersi Arzeeli, stojącej pomiędzy pielgrzymami, krążącymi wokół miejsca wypadku. Olbrzym próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Gardło wyschło mu momentalnie, zaś wargi zdrętwiały. Jego mocarna dłoń szperała teraz w okolicach ramienia w poszukiwaniu rękojeści bułatu. Poprzez coraz gęstsza, czerwoną mgłę mignęła mu jeszcze pobladła, zszokowana twarz starego Maga. Nogi ugięły się pod nim, zupełnie jakby były kolumnami z mokrej gliny; spadał twarzą w wirującą otchłań czerni, mieniącą się co jakiś czas ognistymi błyskami purpury. Potem nie widział już nic...

- Kubek! Trucizna była w kubku - nie w winie! - wyjęczał Zelobion, pochylając się nad upadłym

olbrzymem. Hopring uśmiechnął się obmierzle i wyprostował się na całą swą wysokość. Jego kościste ciało, skryte pod ciężkim, grubym materiałem pokutnej szaty stało się nagle jakby męskie i władcze.

- Tak giną ci, którzy przeciwstawiają się Świętemu Drzewu - zasyczał jadowicie. - Jeśli chodzi o ciebie, stary człowieku, możesz iść dalej swoją drogą. Nie boję się ciebie i gardzę twoją herezją. Ale ten o brązowej skórze - szturchnął Ganelona w bok obutą w sandał nogą - położył swą brudną łapę na świętej dziewicy, którą zaślubiliśmy Wyjącemu Drzewu.

Odwrócił się przez ramię i skinął głową w stronę wysokiej dziewczyny o płowych włosach, śmiałych, zielonych oczach i wydatnych wargach o barwie szkarłatu.

- Stało się to na statku - kontynuował - gdy wyprowadził ją spośród nas i rozkazał jej, by pomogła mu wyważyć drzwi. Wtedy jej dotknął! Po tym bezbożnym akcie nie może dłużej żyć.

Zelobion stał w ciszy, opuściwszy ręce.

- Dlaczego ta dziewczyna jest dla was tak święta? - spytał łagodnie, pomimo, iż wewnątrz dosłownie gotował się z gniewu.

- Kupiliśmy ją na targowisku niewolników w Sagdondakharze. Przez całą tę długą podróż chroniliśmy jej świętą osobę przed dotknięciem jakiegokolwiek nie poświęconej istoty. Gdy dowieziemy ją bezpiecznie do Wyroczni Wyjącego Drzewa kilka mil na północ od Urimadonu, w miejscu, gdzie znajdowało się niegdyś Czarne Imperium Trancore, które pograżyło się w szaleństwo dwadzieścia milionów lat temu, Wielcy Druidzi Wyroczni zaszczepią w jej dziewiczym łonie Święte Nasienie Wyjącego Drzewa! - na bladych wargach Przeora pojawiła się piana, gdy wygłaszał swą patetyczną tyradę, zaś oczy błyszczały świętą pasją. - Tak, o cudzoziemcze, Wyjące Drzewo wyłoniło z siebie, po tysiącletnich oczekiwania, swe Święte Nasienie! Nasienie to będzie dojrzewać i rosnać wewnątrz jej żywego ciała, żywiąc się jej nieskazitelną tkanką, dopóki jej nie spożyje! Żadnej istoty na Gondwanie nie oczekuje bardziej święte przeznaczenie, niż to, które stanie się jej udziałem!

Zelobion nie kłopotał się formułowaniem odpowiedzi. Krzyknął tylko uniesionym głosem:

- Chodź tu, dziewczyno! Chodź szybko, jeżeli chcesz być wolna!

Rozległ się dźwięk zderzających się ze sobą kajdanów i równocześnie odgłos uderzenia w czyjeś ciało. Jedna ze srogich strażniczek usiadła gwałtownie na pośladkach, krwawiąc z rozbitego nosa. Druga upadła ciężko i nie poruszyła się więcej. Wysoka dziewczyna przebiegła przez tłum pielgrzymów, którzy cofali się przed nią bojaźliwie, by uniknąć fizycznego kontaktu z Amazonką. Po chwili stała u boku Zelobiona, twarzą w stronę chudego Przeora Wyroczni. Jej oczy błyszczały z podniecenia, piersi zaś unosiły się i opadały gwałtownie w przyśpieszonym oddechu.

- Świętoszkowata, stara ropucha! - krzyknęła. - Zabiłeś wielkiego człowieka, który chciał mi pomóc! Och, wiedziałam, że coś takiego może się zdarzyć - słyszałam, jak kilka dni temu rozmawialiście ze sobą na szlaku!

- Chodź tu, dziewczyno - warknął Świętobliwy Hopring. - Nie stój tak blisko tego zielonobrodego, bo mógłby cię dotknąć i jeszcze bardziej pozbawić sakry...

- Niech glisty z piekła pożrą twój paplający jęzor, ty morderco o twarzy jak czaszka! - ryknęła Arzeela. Hopring poczerwieniał i zrobił krok do przodu, unosząc groźnie swą laskę. Pielgrzymi o tłustych twarzach tłoczyli się za nim, a w ich rozgorączkowanych oczach widać było złowieszcze błyski.

Zelobion dotrzymał im pola.

- Stójcie! - krzyknął. - Nie ważcie się nawet dotknąć tej dziewczyny ani mnie. Wiedźcie, że

Jestem adeptem magii w randze Aksamitnego Pasa i służę Okolonemu Płomieniem Cieniowi Zekundalotha. Nie możecie podnieść na mnie ręki, nie wystawiając się równocześnie na wielkie ryzyko. Jestem bowiem Magiem Fonematycznym, zaś mój Krąg jest Niewzruszonym Kręgiem Ythribonda, jego Wewnętrzną Fortecą. Strzeżcie się zatem, by mnie nie rozgniewać! Świątobliwy Hopring oblizał wargi ciemnoczerwonym językiem. Jego oczy błyszczały gorączkowym ogniem.

- Ty stary głupcze, twoje czary nie mogą dotknąć nawet półcienia mojej aury! Usuń się, albo cię powalę, zaś moja trzoda wdepce cię w ziemię... Zelobion wyprostował się. Nagle wydał się 'wyższy, niż jeszcze przed chwilą. Wyłonił się ponad nimi niczym cień wysoki jak wieża. Legła na nim i wypełniła go potęga. W jego dłoni była teraz siła, a na jego ustach - Słowa Mocy. Jego oczy płonęły, niczym dwa ciskające błyskawice słońca. Aureola trzeszczącej energii iskrzyła się wokół jego brwi. Postąpił naprzód swą nogą, a ziemia pod nim zadrżała. Niebo pociemniało. Wymówił Słowa Wypowiedzi Skrytego Objawienia. Cała przestrzeń zaczęła więc się i skręcać na dźwięk tych przerażających głosek, do których wypowiedania nie była nigdy przystosowana ludzka krtań. W powietrzu unosiły się teraz gorejące cętki zielonych i srebrzystych płomieni. Struny, z których składa się nwymiarowa przestrzeń wszechświata, poczęły się zwijać. Obudziły się lodowate wichry. Gwiazdy zadrżały, a potem ukryły się za pędzonymi wichrem chmurami. Hopring zamarł... i zmniejszył się. Jakieś zamglenie obiegało kształt jego postaci. Jej kontury straciły pewność i określoność. Laska, którą trzymał w uniesionej dłoni, uderzyła z trzaskiem o ziemię i rozpadła się na dziewięć kawałków, pomimo że grunt był w tym miejscu miękki i pokryty trawą. Jego zwolennicy cofnęli się, a ich twarze zbieleły z przerażenia. Pragnęli pośpiesznie ochronić się przed czarem, a ich palce gorączkowo błędziły po brwiach, piersiach i wargach, kreśląc potężne znaki zapobiegawcze.

Hopring wciąż się zmniejszał. Jego ciało stało się kolumną mgły o gęstości chmury, której cząsteczki poczęły skupiać się, tworząc jakiś kształt. Miał teraz wysokość około metra, potem pół, a w końcu zaledwie kilku centymetrów...

Niebo rozjaśniło się. Ogromny, świetlisty łuk Spadającego Księżyca łączył ze sobą dwa przeciwstawne punkty horyzontu. W jego wyraźnym, szarawym poblasku wszyscy zgromadzeni mogli ujrzeć, czym ostatecznie stał się Hopring.

Małą, tłustą, miękką, białą ropuchą.

Ropucha ta odskoczyła niezgrabnie od miejsca, w którym stał Zelobion, poruszając się w dziwnych podskokach na łapach, których palce połączone były błoną pławną, w stronę stada rażonych przerażeniem Czycieli. Widząc to, wrzasnęli nieludzkim krzykiem, wyrażającym czysty strach, i pierzchli we wszystkich kierunkach, niczym stos śmieci, uderzony nagłym podmuchem wiatru.

Ropucha podążyła za nimi w podskokach. Zniknęli w ciemności nocy i wątpić należy, czy którykolwiek z nich zatrzymał się zanim nie zyskał co najmniej kilku porządných kilometrów odległości od nawiedzonego czarami miejsca.

Zelobion odzyskał swój zwykły wygląd i zachichotał, będąc najwyraźniej w bardzo dobrym humorze. Wysoka dziewczyna zwróciła na niego swe oczy okrągłe ze zdziwienia. Mag uśmiechnął się.

- Wypowiedź Skrytego Objawienia czyni tylko to, że pozwala przybrać zewnętrznemu kształtowi danej osoby taki wygląd, jaki w istocie posiada jej wewnętrzne „ja” - wyjaśnił. - Hopring w swym sercu był właśnie tłustą, bladą ropuchą. Teraz będzie nią także zewnętrznie, a potrwa to siedem lat. Możemy mieć nadzieję, że kiedy po upływie siedmiu lat od tej daty odzyska swą oryginalną postać,

to doświadczenie nauczy go czegoś. Być może nieco pokory. Może honoru. A w każdym razie na pewno rozwinięto w nim apetyt na czarne, soczyste muchy! - Przerwał, by zbadać leżącego Ganelona Srebrnowłosego, który spoczywał bez ruchu, z otwartymi, nieprzytomnymi oczyma, tak jakby był martwy. Po chwili Zelobion wstał, stęknąwszy z wysiłku.

- Wciąż oddycha, chociaż bardzo płytko - stwierdził. - Jego serce bije. Czy usłyszałaś, dziewczyno, nazwę trucizny, gdy podsłuchiłaś ich, jak to knują?

Skinęła głową.

- Myślę, że to coś, co nazywa się pentacontem.

Zelobion wyraźnie odetchnął.

- Cóż, podziękujmy za to, że miłosierny Galendil jest strażnikiem nas wszystkich! Znam odtrutkę na ten napój, który pogrąża człowieka w głębokim śnie, trwającym aż do jego śmierci. Chodź, nie możemy przecież zostawić go tu na ziemi, bo się zaziębi. Zawieźmy go w te derki, które nasi niedawni współtowarzysze podróży pozostawili w pośpiechu, i przyciągnijmy go bliżej ognia. Jutro będziemy musieli spróbować go udźwignąć. Jeśli uda nam się dostarczyć go do Piomy, prawdopodobnie będę mógł zdobyć odpowiednie lekarstwa.

8. STARY OBYCZAJ PIOMAZJAŃSKI

Ganelon Srebrnowłosa wędrował przez płonąca pustynię, pod niebem z wrzącego mosiądzu. Szkarłatne piaski tej pustyni były rozgrzane jak patelnia, zaś każdy krok przez nie parzył jego stopy rozpalonym żelazem. Przy każdym głębokim oddechu, który Ganelon chwycił łapczywie, wciągał do płuc płomienne opary jakby z wnętrza jakiegoś paleniska. W głowie pulsował mu potworny ból. Jego nagie ciało drgało pod płonącymi biczami słonecznych promieni. Wtedy pograżył się w głębinę morza piekących, słonych wód. Całe ciało Ganelona przesiąknęła teraz lodowata solanka. Jego mięśnie ścierpły, a kończyny straciły czucie. Nie mogąc oddychać, rozwarł zacisnięte dotychczas wargi i pozwolił, by wypełnił go mdlący przyływ słonych wód. Solanka wypalała mu płuca, dławiając je i zatykając, całkowicie uniemożliwiając oddychanie.

Zachwiał się i upadł twarzą prosto na pokrytą skorupą soli skałę, pod piekącym blaskiem rozżarzonego słońca w zenicie. Jego trzewia wypełniał odrażający smak morskiej solanki. Kaszląc i krztusząc się, wymiotował hektolitry tłustej, słonej wody i ciemnej żółci. Jego zmysły traciły kontrolę nad ciałem. Nagle zaatakował go głód. Pragnienie zacisnęło pazury na jego poranionym, bolącym gardle. Płonął żywcem na gorących, słonych skałach...

Potem spał. Pograżał się, tonął w miękkich jak puch, gładkich tkaninach... Coraz głębiej, ku ciemnym rejonom najgłębszego snu, gdzie ludzkie ciało otwiera ukryte, wewnętrzne źródła siły witalnej i pije z nich ozdrowieńczą energię...

Jakiś głos wyszeptał w jego śnie:

- Środek oczyszczający zadziałał! Usunął prawie całą truciznę, oprócz kilku kropli, które nie mogą zrobić mu krzywdy.

Potem odezwał się inny, silniejszy głos; był to głos kobiety:

- Czy wielki człowiek będzie żył?

- Jasne. Jest silny. Najsilniejszy ze wszystkich ludzi na całej Gondwanie. A kiedy powróci do zdrowia, będzie uodporniony na to paskudztwo. Jeśli jakiś wróg da mu je ponownie, spowoduje to u niego jedynie głęboką drzemkę... sza! Przestań płakać, dziewczucho! Mówię ci, że z nim wszystko w porządku! Chodźmy stąd teraz, pozwólmy mu spać...

Potem głosy zamilkły, a on spał jak kamień. Później... znacznie później w jego mrocznych wizjach pojawił się przebłysk. Poprzez wirujące mgły zdołał ujrzeć czyjąś pochyloną nad nim twarz. Była to twarz dziewczyny o mocnych szczękach i szerokich kościach policzkowych, której śmiałe, zielone oczy wpatrywały się w niego żałościwie, lejąc łzy. Dziewczyny o gęstych, płowych włosach i wydatnych wargach o barwie szkarłatu. Nie był w stanie uprzytomnić sobie, dlaczego znalazła się w jego śnie, ponieważ nie mógł nawet przypomnieć sobie jej imienia. Wydawało mu się jednak, że widział ją gdzieś już wcześniej... była wtedy ubrana w dziwaczną, ciężką szatę z drażniącą skórę tkaniny, przypominającą worek pokutny. Teraz jednak jej strój był zupełnie inny. Pełne, wysoko

sklepione piersi wciśnięte były w napierśniki ze starannie obrobionego mosiądzu; paski z połączanej skóry krzyżowały się na jej szerokim, silnym torsie, podtrzymując metalowe napierśniki ponad jej biustem. Krótka spódniczka ze skórzanych pasków nabijanych ciężkimi, żelaznymi ćwiekami osłaniała jej łono, długie, smukłe nogi obwiązane były niemal po kolana skórzanymi rzemieniami, zaś stopy miała obute w sandały z miękkiej irchy. Krótki sztylet zwisał u jej bogato zdobionego pasa. Obręcze ze srebra obejmowały jej nadgarstek i ramię. Była ubrana jak jedna z KobietWojowniczek z Khond. Gdzie i kiedy widział ją już wcześniej? Nieuchwytnie wspomnienia wydobywały się z głębin jego pamięci, by mieć przejrzystą powierzchnię jego spokojnego niczym jezioro, śniącego umysłu... zbladły jednak i zanikły, gdy ponownie pogrążył się w ozdrowieńczym, głębokim śnie.

Gdy się obudził, był już jasny dzień. Przez długi czas leżał, nie poruszywszy nawet palcem, oglądając miękką, zroszoną potem pościel wokół siebie, a także niski, wsparty na krokwiach sufit oraz łagodny zakręt pokrytej tynkiem ściany. Zakręt ten przerwany był w jednym miejscu okrągłym otworem okiennym, przez który widoczne były połyskujące jasno kopuły z zielonej miedzi, korony dziwnych drzew o złotych liściach, a także fragment pokrytego różową sztukaterią muru.

Leżał nieruchomy, sennie mrugając powiekami, czując się głęboko wypoczęty i bez troski. Zdarzyło się pewnego razu, że mały ptaszek o jasnozielonych piórkach wskoczył na framugę kolistego okna i spojrzał na niego swym sprytnym oczkiem o barwie nagietka, raz czy dwa kłapnął błyszczącym, czarnym dziobkiem, po czym odfrunął z powrotem na zewnątrz, w otwartą przestrzeń nieba.

Ganelon czuł, że to jawa. Ale gdzie się znajdował? Co to było za miejsce - i gdzie był Zelobion? Usiadł na brzegu łóżka, czując, jak szaleńczym wirowaniem w samym środku żołądka chwytają go nagłe mdłości. Jakoś odzyskał równowagę, dysząc ciężko i ściskając rąbek pościeli w dłoniach, które były teraz dziwnie blade i słabe. Mógł dojrzeć, jak pod cienką warstwą skóry kurczą się i rozluźniają ścięgna, zaś liczne blizny na dłoni miały zaskakująco ciemną barwę na tle niezwykle bledości jego ręki. Jak długo mógł tu leżeć? Musiał z pewnością być chory... Podniósł się z wysiłkiem.

Nagle do pokoju weszła wysoka dziewczyna, ubrana w krótki strój wojowniczeki z jego snu - wybijane żelaznymi ćwiekami skórzane paski jej spódniczki przecinały ze świstem powietrze wokół jej zaokrąglonych bioder - niosąc miskę z wodą i suchą gąbkę. Spojrzała na niego i wzdrygnęła się, nieumyślnie wylewając wodę na podłogę posypaną czystym i suchym sitowiem, wydzielającym obficie ziołowy zapach.

- Och...! Dobrze się czujesz? Usiądź - musisz odpoczywać! - krzyknęła. Ganelon uśmiechnął się chłodno, zaciskając zęby.

- Ty jesteś Arzeela, dziewczyna, z którą rozmawiałem na statku... Skąd się tutaj wzięłaś? Myślałem, że Przeor trzyma cię pod ścisłą strażą. Gdzie jesteśmy? Czy jest tu jakieś jedzenie? Dosłownie umieram z głodu. Umieściła miskę z wodą na niskim taborecie i delikatnie popchnęła go z powrotem na łóżko.

- Ja przyniosę jedzenie, a ty się połóż. Zelobion powiedział, że musisz odpoczywać. Później przyjdzie czas, by odpowiadać na pytania.

Z głębokim westchnieniem położył się z powrotem na łóżku, podczas gdy Arzeela wrzeszczała na kogoś na dole, by przygotował jedzenie. Ganelon czuł się oszołomiony, ale nie ulegało wątpliwości, że jest cały. Jego ciało, stworzone przez Bogów Czasu, miało zdumiewające siły żywotne, niewyczerpane źródła energii i wytrzymałości znacznie przekraczające te, którymi dysponował

zwykły śmiertelnik. Jednak czoło Ganelona pokrywały zmarszczki. Było tyle pytań wymagających odpowiedzi...

Później, gdy pożarł już dwa soczyste, grube steki i opróżnił do dna dzban cierpkiego, czerwonego wina, wojownicza powiedziała mu o ich przybyciu do Piomy po tym, jak sędziwy Mag rzucił na Świątobliwego Hopringa zakłęcie Wypowiedzi Skrytego Objawienia. Potem splekli suche trawy w prymitywne sznury, by zrobić z nich coś w rodzaju prostych noszy, na których mogli ciągnąć ciało nieprzytomnego Ganelona. Zawinęli go całego w grube tkaniny i przetransportowali go, częściowo ciągnąc, częściowo dźwigając, do Kupieckiego Miasta Pioma, gdzie już z łatwością udało im się wynająć pomieszczenia w miejscowej karczmie. Arzeela pielęgnowała go podczas pełnej majaczeń gorączki, gdy tymczasem Zelobion nawiedził co najmniej połowę zielarskich sklepów w mieście, by zdobyć lekarstwa potrzebne do uratowania Ganelona od śmiertelnych efektów trucizny pentacontem, czyli Śpiącej Śmierci.

- To szczęście, że Zelobion zachował sobie pokaźną sumę obiegowych monet z kufrów, które miał w Karchoy - mruknął Ganelon, gdy dziewczyna skończyła swoją opowieść. Odchylił się do tyłu, wysączając ostatnie krople wina, czując, jak do jego członków i mięśni powraca dawna siła. Bogowie Czasu zaprojektowali metabolizm jego organizmu w ten sposób, by mógł błyskawicznie wydobyć nieprawdopodobną wprost ilość kalorii z każdej otrzymanej dawki protein.

Reakcja dziewczyny na jego dość przypadkową uwagę okazała się bardzo dziwna. Pochyliła głowę, zaś jej oczy zaszklily się grubą warstwą powstrzymywanych łez.

- W każdym razie, gdzie jest teraz Zelobion? - spytał.

Nie odpowiedziała, jedynie w milczeniu lekko potrząsnęła głową. Ganelon poczuł, że wypełnia go jakiś straszliwy niepokój.

- Odpowiedz mi, dziewczyno! - krzyknął ponaglająco.

Arzeela uniosła swą załzawioną twarz na spotkanie jego dzikiego, pytającego spojrzenia. Z jej dużych zielonych oczu lały się łzy, zaś swe nieskazitelnie białe zęby wbiła w obfitą dolną wargę o pięknym zarysie.

- Ja... p... powinnam zatrzymać to dla siebie, dopóki nie odzyskasz sił, ale n... nie mogę! Jestem taka nieszczęśliwa...

- O co chodzi, dziewczyno? Opowiedz mi wszystko - polecił surowo.

Potrząsnęła głową ze złością, ścierając łzy ze swych jasnych oczu gwałtownym ruchem małej pięści.

- Kupcy z Piomy nie uznają cudzoziemskiej waluty - powiedziała niskim głosem - to stary obyczaj piomazjański.

- A więc? Co pełni u nich rolę pieniędzy?

Otworzyła mieszek przypięty przy tali i pokazała mu kilka grubych, kwadratowych kawałków substancji przypominającej porcelanę. Ceramiczne żetony miały po obu stronach inskrypcje w postaci jakichś starych hieroglifów.

- Zatem Zelobion wymienił swoją walutę na ich pieniądze? Nie mogę zrozumieć, w czym problem?!

- Nie! Chodzi po prostu o to, że oni nie uznają naszych pieniędzy. Na tej ziemi są one bez wartości. Piomazjanie - to miły, gościnny lud - powiedziała z goryczą w głosie. - Są niscy i przysadziści, mają śniadą skórę, haczykowate nosy i gęste, wyperfumowane, czarne brody ufryzowane w niewielkie loczki. Sprzedadzą ci dosłownie wszystko, włączając w to własne żony,

córki i synów - ale musisz zapłacić stosowną cenę. Za wszystko. Nie mogliśmy tu wyzebrać nawet kubka wody z publicznej fontanny!

- A więc jak zdobyliście te żetony? Co sprzedaliście? - dopytywał się. W głębi serca znał już straszliwą prawdę. Umysł jednak wzdragał się wciąż przed jej uznaniem.

- Zelobion sprzedał się w niewolę - powiedziała niskim głosem.

Błyskawicznie zwinął jedną ze swych wielkich dłoni w pięść i uderzył nią w stół, powodując, że podskoczyły na nim naczynia.

- Na Wielkich Bogów Czasu! - warknął. - Podczas gdy ja leżałem tu, kompletnie bezradny...

- N... nie usłyszałaś jeszcze najgorszego...

Jego oczy błyszczały od furii.

- Mów! - ryknął.

- Pio... Piomazjanie nie potrzebują magii. Tak naprawdę, to żywią do niej niesamowitą odrazę. Są kupcami do szpiku kości, pozbawionymi zarówno religii, jak i miłosierdzia. Jedyną rzeczą, do której mógł im się przydać chudy i stary obcokrajowiec jest... śmierć na arenie podczas organizowanych tu, dorocznych Igrzysk. Jedyny sport, który te chciwe świnie lubią oglądać podczas swoich uroczystości polega na obserwowaniu, jak dzikie bestie mordują bezbronnych ludzi.

Ganelon poczuł się tak, jakby jakaś potężna ręka zacisnęła się na jego sercu, a potem zaczęła je miażdżyć. Jego twarz pociemniała w przyływie bitewnej furii. Usta otworzyły się i dziki ryk bestii wypełnił komnatę. Zerwał się na nogi tak gwałtownie, że stojące przy łóżku krzesło podskoczyło i roztrzaskało się o podłogę. Wysoka dziewczyna była już przy nim, a jej silna ręka spoczywała na jego ramieniu, błagając go, by pozostał spokojny, bo w przeciwnym wypadku może sprowokować nawrót choroby...

- Niech Bogowie Piekieł porwą moją chorobę! Kiedy będą te Igrzyska?

- One toczą się już teraz! - krzyknęła. W tym samym momencie Ganelon był po drugiej stronie pokoju, chwytając gwałtownym ruchem odzienie na wysoko wysklepionej piersi i drąc w strzępy prześcieradło, którym przed chwilą okrył swe członki. Gdy zapinał na piersi paski swego stroju wojownika, umocowywał potężny bułat i zawiązywał krótki kilt ze szkarłatnej materii wokół bioder, krótkimi warknięciami zadawał dziewczynie pytania. Gdzie jest arena Igrzysk? Milczącym gestem wskazała mu pejzaż miasta za okrągłym oknem, który oglądał już zaraz po swym przebudzeniu.

- To ten okrągły amfiteatr, tak? Co to za budowla, która znajduje się za nim - jedna z miejskich bram?

- Tak. Nazywają ją Bramą Karawan. Otwiera się ona na wielkie przestrzenie Północnych Równin... Był gotów. W jego ciele narastała niemoc, wysysając krew z jego oblicza, powodując, iż kolana były miękkie i ugięły się pod nim. Nadludzkim wysiłkiem woli zmiażdżył i zdusił w sobie słabość, rozniecając płomień dzikiej pasji i dobywając siłę z własnej furii.

- Posłuchaj mnie teraz, dziewczyno! Weź swoje żetony i kup dla nas trzy wierzchowce. Czekał na mnie przy tym wyjściu z areny, które znajduje się najbliżej bramy miasta - tej, na której powiewają kwadratowe flagi. Śpiesz się! Jeśli bogowie pozwolą, może dotrę tam na czas, by uratować sędziwego Maga - no, biegnij!

Z hukiem opuścił karczmę i pognął przez puste teraz ulice. Było wczesne popołudnie. Z trybuny areny dobiegał przytłumiony przez odległość ryk, przypominający dźwięk dalekich fal, uderzających w skalisty brzeg. Ganelon biegł, a jego błyszcząca, srebrzysta grzywa frunęła jakby przez gorące, pełne pyłu powietrze. Furia narastała w nim przesłaniając oczy czerwoną mgłą, wypalając

zmęczenie i słabość jego długiej rekonwalescencji. Właśnie teraz potrzebował tych cudownych zbiorników energii wewnętrznej, zaszczipionych mu przez Bogów Czasu. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby teraz zemdlął i upadł...! Biegł, wciągając świeże powietrze w pozbawione tchu płuca, zaś jego obute w stal stopy łomotały o kamienne chodniki. To był właśnie stary obyczaj piomazjański - zmuszać cudzoziemskich podróżników, by unikając przymierania głodem, sprzedawali się w niewolę, a potem żywić nimi podczas igrzysk śliniace się, dzikie bestie gwoli uciechy i rozrywki tłustych miejscowych kupców?!

Furia Ganelona zamieniła się w białą gorączkę. Był już w pobliżu areny. Wyrosły przed nim chłodne, białe, marmurowe ściany, przesłaniając słońce. Jeśli Zelobion był martwy... jeśli sędziwy Mag doświadczył nędznej, hańbiącej śmierci, by kupić lekarstwa, które mogłyby wyleczyć jego bezradne, śmierdzące ścierwo... Ganelon ślubował nauczyć Piomazjan nowego obyczaju: ZEMSTY!!!

* W oryginale nieprzetłumaczalna gra słów: slavery slaving - śliniace się (przyp. tłum.) niewola;

9. GAMLON ZWYCIĘŻA TYSIĄCNOGA

Sympatyczny lud piomazjański uwielbiał artystyczną inscenizację swych dorocznych Igrzysk, które nie odbywały się ku czci żadnego boga, lecz pod wezwaniem Siedmiu Fundatorów Miasta.

Przed kolejnym, popołudniowym punktem programu igrzysk powierzchnia areny została oczyszczona; zakrwawione ciała ofiar, zmiżdżonych pod kopytami stada rozwścieczonych byków zostały odciągnięte do specjalnych dołów. Na zalanej krwią, zanieczyszczonej ziemi rozsypano świeży piasek. Potem odkryto gigantyczną jamę, odsłaniając potężny zbiornik wypełniony niebieską, morską wodą. Obzerając się słodyczami i delektując się ich aromatem, popijając perfumowane wino pod dającymi cień baldachimami, które osłaniały ich od najgorszego, popołudniowego żaru, tłuści kupieccy kacykowie Handlowego Miasta plotkowali i zachodzili w głowę, jaki też będzie następny punkt widowiska.

Na arenę wtoczono pełnowymiarowy statek z jasnego drewna, następnie uniesiono go dźwigniami z rolek prowadzących i opuszczono na wielki basen, na którego powierzchni okręt unosił się, lekko rozkołysany. Cały ten połączany galeon ozdobiły girlandy świeżo ściętych kwiatów, zaś jego żagle zrobione były ze złotogłowiu. Wokół masztów i całego takielunku owinięte były kwietne sznury. Panowała pełna napięcia cisza. Szmer oczekiwania unosił się nad trybunami; tłuści, niscy ludzie o wyperfumowanych brodach pochyliłi się do przodu, osłaniając oczy przed słonecznym blaskiem w oczekiwaniu na to, co zaraz się zdarzy... Przyszłe ofiary wisiały z rękoma skrępowanymi wysoko ponad głowami, w taki sposób, że ich ciała dyndały swobodnie wokół zewnętrznej strony kadłuba statku. Inni znajdowali się znacznie wyżej, zwisając z takielunku, jeszcze inni rozciągnięci byli krzyżem u podstawy masztów. Statek, poruszany przez strażników za pomocą długich żerdzi wzdłuż brzegu zbiornika, podryfował ku jego środkowi, gdzie pozostał, huśtając się lekko, jakby w oczekiwaniu... Nagle nad błękitną powierzchnią zbiornika uniosła się szkarłatna macka!

Szeleszczący dźwięk, który przypominał szum wichru nad polami dojrzałej pszenicy, uniósł się ponad stadionem, gdy rzędy wyczekujących Piomazjan pochyliły się do przodu.

Po chwili w polu widzenia znalazła się kolejna, długa i wysmukła macka. Wraz z tą, która zjawiała się pierwsza, poczęły z gracją wyginać się w powietrzu, niczym polujące na zdobycz węże. Na spodniej stronie macek znajdowały się rzędy dziwacznych dysków o kształcie tuby, wyglądających jak przyssawki. Wierzchnia strona pokryta była drobno żyłkowaną, jakby zrobioną z czerwonego kauczuku skórą. Krople wody opadały z macek na powierzchnię basenu. Wielki Tysiąconóg wyłonił się z głębin. Trudno było określić wielkość jego jajowatego ciała z powodu mnogości połyskliwych, krętych macek, które wyrastały z odwłoku. Było ich dwanaście, co sprawiało odrażające wrażenie, niczym gniazdo splątanych ze sobą, wijących się węży. „Wielostopy” - tak nazywali to zwierzę Piomazjanie. Ten morski potwór został sprowadzony za olbrzymią cenę z Wysp Pongo. Oczywiście było, że zapewni widzom wyśmienitą zabawę, zważywszy,

iz od wielu dni był morzony głodem..

Pośród oślizgłego splotu węzowych ramion połyskiwało lodowatym, zielonym blaskiem jedno szalone oko. Papuzi dziób wyposażony w liczne zębiska chrupał i klekotał w oszalałej pantomimie głodu. Wtedy Tysiąconóg wyczuł w pobliżu zapach świeżej, gorącej krwi.

Jedna z cienkich macek wywinęła się ze splątanej masy i prześliznęła się przez balustradę statku, delikatnie poszukując drogi dotknięciem, niczym ślepy domokrażca posługujący się laską. Dotknęła ramienia kogoś z przywiązanych ludzi, popęzła wzdłuż jego ciała aż do nóg, owinęła się ściśle wokół jednej z nich - i pociągnęła. Mężczyzna drgnął konwulsyjnie. Potem jego ciało powoli rozpadło się na kilka części. Macka przeniosła jedną z nich - lewą nogę wraz z częścią miednicy i pośladka - do papuziego dziobu o ostrych zębach, z którego rozległ się makabryczny odgłos chrupania. Potem pojawił się dźwięk miażdżenia ludzkich kości do konsystencji pudru. Jednak dziób wciąż żarłocznie klekotał i macka wyruszyła wzdłuż burty statku na poszukiwanie następnego smakowitego kąska.

Pełne głębokiej satysfakcji westchnienie dobyło się z rzędów stłoczonych widzów spektaklu. Kupcy przewracali oczyma z błogości i wyczekiwania. Ich usta były wilgotne i półotwarte. Błyszczały w nich nieskazitelnie białe zęby. W tym czasie kolejna ofiara została zdarta z balustrady i pożarta przez Tysiącnoga. Spektakl był przewspaniały.

Żaden nieestetyczny szczegół nie mącił tej cudownej sceny. Z girland kwiatów unosił się intensywny zapach, napełniając powietrze słodyczą. Niewolnicy, którzy jeszcze żyli, pozostawali niemi. Nie wrzeszczeli, nie przeklinali i nie błagali o litość. Byłaby to niemile brzmiąca, szpetna nuta, która mąciłaby mistrzowsko skomponowaną panoramę całej sceny. Więźniowie nie skowytali ani nie płakali z tej prostej przyczyny, że nie mogli: każdy z nich był dokładnie zakneblowany. Zelobiona z Karchoy przywiązano do balustrady mniej więcej w połowie krzywizny kadłuba. Dziko toczył oczyma. Był nie tyle sparaliżowany strachem, co ogarnięty furją straszliwej, bezsilnej złości. Gdyby jego wargi były teraz swobodne, mógłby uderzyć trybuny Wypowiedzią, która zdziesiątkowałaby zgromadzoną tłuszcę. Jakże rozkoszowałby się widokiem tych ludzi, zwijających się pod działaniem rozpętanej magii, miażdżonej ich na papkę. Niestety, również jego wargi zakneblowano”.

Teraz macki pełzły wzdłuż balustrady w jego kierunku. Potężny Tysiąconóg był częściowo wychylony nad powierzchnię błękitnej wody, uczepiwszy się balustrady i jednego z masztów przy pomocy sześciu swoich większych kończyn, podczas gdy mniejsze i cieńsze wybrały się na poszukiwanie soczystego ludzkiego mięsa. Bestia była tak blisko, że Zelobion wyraźnie czuł zjełczały, oleisty fetor, który unosił się z jej śluzowatego ciała o kształcie jajka. Był to gęsty, piżmowy, cuchnący odór, niczym smród gniazda węży, wymieszany ze skwaśniałą i zgniłą wonią zastanej morskiej wody, która pokryła się pianą. Fetor atakował jego nozdrza, psując powietrze dookoła. Już lada chwila... Poczul szorstki, wilgotny dotyk końca jednej z macek, która delikatnie badała jego nadgarstek... Wtedy wszystko wokół oszalało!

Nagłym błyskiem wyłonił się jakby znikąd potężny człowiek o srebrzystych włosach - nadlatując w powietrzu od strony brzegu basenu! Wylądował na pokładzie galeonu z trzaskiem, który wstrząsnął statkiem od dziobu po rufę. Jego oczy błyszczały, a twarz była pociemniała, przekrwiona, niczym maska niepowstrzymanej furii. Szeroko otwarte usta dławiły się wyciem. Po ułamku sekundy w polu widzenia wszystkich. Znalazł się jego potężny bułat. Szerokie, płaskie, stalowe ostrze tej gigantycznej broni odbijało lśniące promienie słońca niczym duże zwierciadło, buchając

oślepiającym blaskiem w oczy widzów, którzy, jak jeden mąż, wychylili się ze swych siedzeń i obserwowali bieg wydarzeń z zapartym tchem.

Bułat opadł ze świstem w dół, wbijając się do połowy w balustradę i przecinając na pół mackę, która wiła się wzdłuż ramienia sędziwego Maga. Zelobion patrzył z niedowierzaniem, odrzuciwszy głowę do tyłu, wytrzeszczając oczy w niewiarygodnym wprost szoku na widok Ganelona Srebrnowłosego. Odcięta część czerwonej macki upadła z plaśnięciem na pokład. Okaleczona kończyna Tysiącnoży bluznęła ciemną krwią niczym śmierdząca fontanna obrzydlistwa, a potem, kurcząc się, utonęła w skłębionej masie, z której się wyłoniła. Z papuziego dzioba bestii wydobył się ogłuszający syk, jakby wybuchającego gejzeru. Szalone, szkliste oko Tysiącnoży płonęło blaskiem niczym kula szmaragdowego płomienia. Następna macka przecięła ze świstem powietrze, pędząc ku Ganelonowi. Odwrócił się, a jego potężne mięśnie na ramionach i barkach gwałtownie zmieniały kształt wraz z ruchami mocarnego ciała. Mordercze ostrze znów błysnęło oślepiająco, gdy olbrzym rozplątał w locie i tę mackę.

Tysiącnoży wrzasnął ogłuszająco niczym gigantyczny parowy gwizdek. Teraz już i inne macki waliły z furją w Ganelona Srebrnowłosego, który próbował znaleźć wolną chwilę, by przeciąć więzy Zelobiona, ale zmuszony był wciąż odwracać się, odbijając szkarłatne ramiona potwora, które owijały się wokół niego. Siedzący dotąd z zapartym tchem widzowie przerwali milczenie. Tłum zaryczał dziko. Przez całe stulecia, aż do tej chwili, żaden człowiek nie ważył się przerwać uświęconych tradycją Igrzysk w tak bezbożny, bluźnierczy sposób! Połyskujące tłuszczem usta obserwatorów zaczęły miotać przekleństwa na głowę walczącego młodego olbrzyma, pękate, miękkie pięści, zdobne w połyskliwe pierścienie wyciągały się ku niemu, wstrząsane bezsilną złością. A on walczył dalej. Macki były już wszędzie wokół niego. Jedna z grubszych i silniejszych owinęła się wokół jego talii i dźwignęła go w górę.

Ganelon unosił się w powietrzu, wierzgając nogami. Gruba macka opuściła go ku kłapiącemu, zbryzganemu pianą dziobowi oszalałego z bólu Tysiącnoży. Zelobion nie mógł na to patrzeć, zacisnął więc powieki - ale po chwili otworzył je znowu, gdy usłyszał, że tłum ryczy na widok ostatecznej, niewybaczalnej zniewagi, niczym stado poranionych byków.

Ganelon wraził całe ostrze szerokiego bułatu w wielkie, okrągłe, błyszczące oko potwora, które pękło niczym wielkie winogrono, obryzgując wojownika, znajdujące się w pobliżu macki, a także znaczną część powierzchni wodnego zbiornika cuchnącym, oleistym płynem.

Od strony stanowisk wzdłuż zewnętrznego muru pędzili już strażnicy, z powodu zaskoczenia spóźniony się z reakcją na wtargnięcie Ganelona. Były ich dziesiątki, zaś następni wciąż wyłaniali się, w nieopisanym zamieszaniu, z podziemnego labiryntu pomieszczeń i sal sypialnych, znajdujących się pod piaszczystą areną. Byli uzbrojeni w krótkie rapiery, przeznaczone do kłucia, harpuny o potrójnych ostrzach, a także ogniste bicze. Te ostatnie zakończone były połyskliwymi szklanymi haczykami nasyconymi jadowitym kwasem, które powodowały rozdzierający wręcz ból, jeśli trafiły w odkryte ciało. Gdyby Ganelonowi udało się nawet uciec przed miażdżącym chwytem oślepego, młocącego wokół mackami Tysiącnoży, musiałby zmagać się z tą niewielką armią rozwścieczonych strażników.

Zelobion spojrzał ponownie w stronę olbrzyma. Najwyraźniej towarzyszyło mu błogosławieństwo bogów! Macka, która dotychczas ścisnęła go w pół, ześliznęła się z niego, gdy potwór wił się, skrzecząc z bólu. Ganelon wpadł do wody, a większe i mniejsze macki tłukły wokół niego w dzikim szale. Woda, wypełniona teraz ruchomymi plamami ciemnej krwi, ubita do

konsystencji piany przez wściekle cepy macek uderzonego Tysiącnoga, stała się nieprzejrzysta. Strażnicy podbiegali łomocząc butami do brzegu basenu, wrzeszcząc z pasją, podczas gdy Ganelon Srebrnowłosey wyłonił się na powierzchnię i podciągnął się w górę po burcie statku. Zachował wystarczającą przytomność umysłu, by wrzucić bułat z powrotem do futerału na plecach, pozostawiając obie ręce wolne, by móc wydostać się z wody. Dotarł do pokładu i z trzaskiem przedostał się do miejsca, gdzie wciąż przywiązany był Zelobion. Wyciągnął z pochwy sztylet i przeciął sznury, pętające jego nadgarstki. Po chwili Mag poczuł, że ktoś wciąga go na pokład, a jego ręce są już wolne, choć zdrętwiałe, pulsujące w miarę powrotu obiegu krwi do ścierpłych kończyn.

Przekrzykując panującą wrzawę, Ganelon wywrzeszczał do niego coś na temat Arzeeli, rumaków i bramy z czerwonymi flagami, równocześnie wskazując kierunek. Zelobion potwierdził skinieniem głowy, wrywając swój knebel i spluwając, by zwilżyć swe wyschłe, zdrętwiałe wargi.

Usłyszał nowy, jeszcze silniejszy wybuch hałasu. Był to ostry, przenikliwy wrzask, który rozległ się w pobliżu. W tych przeraźliwych krzykach dało się słyszeć strach i ból. Zelobion, z zapartym tchem, przechylił się przez balustradę, by zobaczyć, co się dzieje. Ślepy Tysiąconóg wypełznął połową ciała z basenu, poszukując swego olbrzymiego, srebrnowłosego pogromcy. Bestia wyłoniła się z wody w samym środku grupy strażników; słysząc ich okrzyki zwierzę zaatakowało z dzikim szałem. Większe i grubsze macki, ciężkie jak gałęzie drzewa, roztrącały żołnierzy całymi tuzinami. Niektórzy z nich wpadli do wody i ci mieli najwięcej szczęścia. Inni zostali zgnieceni w czerwoną galaretę przez tłukące w zapamiętaniu macki. Zobaczył, jak jedna macka wyłania się z kłębowiska i owija się wokół talii krzepkiego strażnika o łysej głowie, który, w odruchu samoobrony, tłucze w nią swym zakończonym haczykami biczem. Ostro zakończone, szklane haczyki, które pokrywały końcowy metr bicza, rozprysnęły się po swym celu, trafiając w łykowate mięso macki Tysiącnoga. Kwas zaczął boleśnie trawić ciało potwora. Tysiąconóg wrzasnął i zacisnął uchwyt, niczym człowiek miażdżący w swej dłoni dojrzały owoc. Strażnik został dosłownie przecięty na pół; z jego roztrzaskanych oczodołów, otwartych ust, uszu i końców palców buchnęła krew. Macka rozluźniła uchwyt, pozwalając by krwawe szczątki ześliznęły się na zanieczyszczony piasek, a potem popęzła w charakterystyczny, węzowy sposób za uciekającym strażnikiem, złapała go za kostkę, rozkołysała i uniosła w powietrze, by wreszcie rozbić go o piasek śmiertelnym uderzeniem, niczym dziecko, które w napadzie złego humoru może podnieść lalkę za nogę, po czym roztluc ją o podłogę na kawałki.

Strażnicy rozbiegli się we wszystkich kierunkach, porzucając swoją broń i hełmy, by móc szybciej uciekać. Ciągnąc wielki, umazany krwią i ociekający wodą z basenu kokon swego cielska, ranny Tysiąconóg ślizgając się przemierzał arenę w pościgu za wrogami, z pomocą swych kurczących się i rozkurczających kończyn. Macki, badając otoczenie, prześliznęły się wzdłuż szczytu muru, w kierunku rzędów siedzeń zarezerwowanych dla najważniejszych obywateli miasta. Zdarzyło się to tak szybko, że wciąż siedzieli oni, zmrożeni strachem, na swoich miejscach. Tuzin grubych, wijących się macek spadło pomiędzy nich z paralizującą szybkością. Rozproszyli się we wszystkich kierunkach, wrzeszcząc i kuśtykając ku jakimś bezpiecznym rejonom tak szybko, jak tylko pozwalały im na to ich obute w trzewiki stopy, ale walące na oślep macki były jeszcze szybsze. Pracowicie wiły się pośród uciekających Piomazjan, miażdżąc ich, roztrzaskując głowy, odrywając kończyny od padających bezwładnie ciał, w ciągu paru sekund siejąc pośród nich krwawe spustoszenie.

Zelobion zachichotał na ten widok, pochłaniając go zgryźliwym wzrokiem swych czarnych oczu. Dla człowieka, którego dosłownie ułamek sekundy dzielił od straszliwej zguby z przyczyny tych tłusciochów w kolorowych jedwabiach, niezwykle satysfakcjonujące było obserwowanie, jak

dramatycznie odwróciły się karty w tej rozgrywce! Chichotał z dziką, jadovitą radością, widząc, że całą trybunę opanowuje zbiorowe szaleństwo. Tysiące Piomazjan pędziły tabunem w orgii paniki w kierunku wyjść, tratując nogami setki kobiet i starszych osób, szarpiąc się wzajemnie w walce o przestrzeń do ucieczki.

Nie było wątpliwości, że Piomazjanie na długo zapamiętają ten dzień!

W tej samej chwili Ganelon szarpnął go za ramię, krzycząc, by się pospieszył. Pognał za brązowoskórym olbrzymem przez pokład i zszedł za nim do wody. Ganelon doholował go, ociekającego wodą i prychnącego, do brzegu; po chwili gnali już przez spalony słońcem piasek w kierunku odległej bramy, na której powiewały radośnie czerwone flagi. Dla Piomazjan tegoroczny festiwal stał się przerażającym karnawałem horroru. Ganelon z prędkością wichru biegł ku dalekiej bramie. Ludzie na trybunach również zmierzali w panice do bram na wyższych rzędach amfiteatru, nie wając się zejść w dół, gdzie półżywy Tysiąconóg wciąż łomotał i walił mackami pośród tłumu. Teraz jednak grupa wrzeszczących strażników przybiegła z wrzawą wzdłuż półkola muru areny. Jeden z dowódców straży zdołał zachować przytomność umysłu pośród ogólnego zgiełku i chaosu; w szale wściekłości zagnał swoich podwładnych, by odcięli odwrót inicjatorom całego zamieszania, zanim zdołają uciec na ulice miasta. Kapitan straży spodziewał się, że olbrzymi wojownik pobiegnie pierwszy, by wywalczyć sobie przejście za pomocą swego wielkiego bułatu. Był zaskoczony widząc, że znacznie odeń drobniejszy, starszy człowiek o dziwnej brodzie barwy wodorostów ciągnie za ramię swego wielkiego współtowarzysza, a potem natarczywie krzyczy mu coś do ucha. W tej samej chwili olbrzym zatrzymał się z uśmiechem i pozwolił starszemu człowiekowi w podartych szatach wysunąć się na czoło.

Strażnicy zablokowali bramę, po czym kapitan wysłał resztę swoich ludzi, by popędzili w kierunku dwóch uciekinierów. Ich postawa w zaistniałej sytuacji okazała się rzeczywiście niezwykle zaskakująca. Srebrnowłosa przystanął, oddychając ciężko, wspierając się na stalowym półksiężycu swej olbrzymiej broni. Drobny, starszy człowieczek stanął w oczekiwaniu na nich z założonymi rękami. Nagłe przecucie spowodowało, że kapitan zaniepokoił się... jednak wiekowy cudzoziemiec był najwyraźniej nie uzbrojony. Dowódca wyjął rapier z pochwy i gestem wskazał swym ludziom, by ruszyli na przeciwników. Starszy człowiek uśmiechnął się i... Wygłosił Wypowiedź Nieznużonego Dusiciela! Niewidzialne dłonie porwały strażników w żelazny chwyt! Ich ręce zgniatane były o tułów, ich nogi jakby powiązane żelaznym sznurem. Upadli na twarze, wrzeszcząc w panicznym strachu. Kapitan straży ujrzał, jak powierzchnia piasku gwałtownie zbliża się do jego twarzy. Runął na nią i jego usta momentalnie wypełniły się sypkimi ziarenkami; spróbował przeturlać się na bok. Piasek palił i szczypał go w oczy, jednak poprzez czerwona mgłę bólu zdołał mrugnąć powiekami, po czym spojrzął z bezmyślnym zdziwieniem i strachem na swe ręce i nogi, spętane miażdżącym chwytem. Gdyby olbrzymi pyton z upalnych dżungli Xacuahatlu owinał się wokół niego całym swym gigantycznym ciałem i zaczął zgniatać go z paraliżującą siłą, kapitan prawdopodobnie odczuwałby to samo, co teraz. Jednak na swym ciele nie widział dosłownie nic! Był miażdżony w morderczym chwycie jakiejś przerażającej, niewidzialnej siły. Wokół leżały dziesiątki jego spętanych, tak jak on, podwładnych, wrzeszcząc i miotając się bezsilnie. Kapitan straży prawdopodobnie nigdy nawet nie słyszał o Magii Fonematycznej. Nie wiedział też nic o Wypowiedzi Nieznużonego Dusiciela, która była w stanie trzymać jego i jego ludzi mocno spętanych i kompletnie bezsilnych w ciągu trzydziestu godzin paraliżującej udręki. Zresztą, nawet gdyby wiedział to wszystko, i tak nie miałoby to żadnego znaczenia: dowiedział się bowiem w końcu najważniejszej rzeczy - tego, że żaden Mag nigdy nie jest

bezbронny. Za bramą czekała na nich Arzeela z zaniepokojonym wyrazem twarzy, z trzema kupionymi przez siebie rumakami. Ganelon i Zelobion przygnali pędząc co sił w nogach; starzec sapał, łapiąc z trudem oddech, był jednak rozpromieniony ze szczęścia. Ganelon spojrział na jednego z rumaków i wykrzyknął ze zdziwieniem:

- Grydony! Na Wielkiego Galendila - spodziewałem się ornithohippusów! - ryknął potężnym głosem. - No cóż, to nie ma znaczenia - szybko, wyruszajmy!

Schował swój bułat do pochwy i wskoczył na jedno z wysokich siodła. Doskonały nastrój Zelobiona zmarniał, gdy Mag dokładniej przyjrzał się rumakom. Grydony były opierzonymi, podobnymi do ptaków stworzeniami o długich, ostrych dziobach, dzikich, złocistych oczach i rozpiętości skrzydeł sięgającej dwunastu metrów. Nigdy jeszcze nie widział tych zwierząt i oblizywał nerwowo wargi na myśl o czekających go próbach kierowania jednym z tych gigantycznych rumakówjastrzębi. Jednak Ganelon nie dał mu zbyt dużo czasu do namysłu. Wrzasnął na niego ponaglająco i Zelobion, chcąc nie chcąc, szarpiąc się i wyęzając swe wątłe siły, wspiał się na wielkie siodło drugiego spośród ptaków. Wyłonił się przed nim wysoki róg z przodu siodła, zaś za plecami poczuł oparcie obficie wyściełane poduszkami. Odkrył także, że róg siodła ma specjalne uchwyty na dłonie jeźdźca. Być może zatem - pomyślał - podróż nie będzie aż tak niebezpieczna, jak wydawało się na początku. Jednak wyraźnie nie spodobał mu się dziki, szalony błysk w oku ptaka, gdy ten, przewracając oczami, rzucił na niego spojrzenie w trakcie gdy Zelobion sadowił się w siodle.

- Przywiąż się rzemieniami! - ryknął do niego Ganelon, po czym, za pomocą pantomimicznych ruchów pokazał, jak należy to uczynić. Sędziwy Mag odkrył, że rzemienie, które należy ściśle opleść wokół każdego uda, przymocowane są do pierścieni na poprzegu siodła, przewleczone przez nie i dokładnie zaciśnięte. Ponownie oblizwał wargi, zastanawiając się, jak szybko mogą biec te pozornie niezdarne stworzenia, jeśli takie pasy zabezpieczające przy siodle są w ogóle potrzebne.

- Co tam się stało? - wrzasnęła Arzeela, przekrzykując panujący zgiełk. Wewnętrzny krąg areny wypełniony był odgłosem całego mrowia tupiących w pośpiechu nóg i przeraźliwych krzyków zgromadzonych tam tysięcy ludzi, a także trzaskiem gruchotanych ławek. Tysiąconóg najwyraźniej był wciąż jeszcze aktywny i wściekły.

- Nic takiego - powiemy ci później - trzymajcie się, przyjaciele! Iiiihhaaaa!!! - głęboki, dudniący głos Ganelona zamienił się w krzyk, od którego ciarki przeszły wszystkim po krzyżu. Chwilę potem Zelobion odniósł wrażenie, że zaraz zemdleje. Bowiem gigantyczne rumakijastrzębie w ogóle nie biegly. Z nieopisanym szumem ich skrzydła wznieciły piaskową burzę; rozległ się dźwięk jakby tysięcy dudniących tamtamów. Następnym odczuciem, którego doświadczył Zelobion, był pęd wiatru, od którego łopotały jego porwane szaty, broda podrywała się w górę, a oczy łzawiły obficie. Miał wrażenie, jakby cały świat, drżąc, wysliznął się spod niego i po chwili był już w powietrzu, na wysokości pięćdziesięciu metrów.

Potem stu metrów.

Potem zobaczył, że całe miasto jest daleko pod jego stopami, niczym jakaś zabawka gigantów. Wreszcie cały świat przechylił się i uciekł na bok, po czym zupełnie zniknął, gdy Mag leciał przez błękit nieba, siedząc okrakiem na grzbiecie jednego z pędzących jastrzębi rodem z górzystej krainy.

10. POPRZEZ WIBRUJĄCĄ KRAINĘ

Wielkie grydony pędziły w powietrzu, szybkie jak wiatr. Mijały godziny. Pioma oddalała się za ich plecami, by wreszcie całkiem zniknąć w niebieskawej, spowodowanej przez odległość mgiele. Z czasem Zelobion przyzwyczał się do przerażających wrażeń związanych z lotem, choć wiedział z pewnością, iż nigdy ich nie polubi. Ganelon i Arzeela uznali te wrażenia za radosne i podniecające. Olbrzymie jastrzębie były w stanie lecieć szybciej, niż mogłyby biec nawet wyścigowe ornithohippussy; były nieprawdopodobnie ścigłe, a ich nieznużone skrzydła biły wciąż, zagarniając pod siebie powietrze, z każdym zaś ich uderzeniem niebiosu wydawały się blednąć. Przestrzeń kilometr za kilometrem znikła za nimi z oszałamiającą prędkością. Zelobion oczywiście stracił wszystkie swoje mapy, gdy sprzedał się w niewolę, by zdobyć lekarstwa dla otrutego Ganelona Srebrnowłosego. Pamiętał jednak sporą część zawartości tych map, ponieważ zajmował się ich studiowaniem całymi godzinami; wkrótce też odkrył, że jest w stanie określić kierunek lotu, rozpoznając naturalne właściwości terenu i identyfikując je z zapamiętanym obrazem. Nadeszła noc, jednak jastrzębie były wciąż wypoczęte. Zdecydowali zatem kontynuować lot choćby po to, by oddalić się od Handlowego Miasta na taką odległość, która uspokoiłaby ich umysły. Wkrótce gigantyczna, połyskująca tarcza Spadającego Księżyca weszła nad linię horyzontu, zatapiając ziemię w swym chłodnym blasku. Spoglądając w dół w przerwach między uderzeniami skrzydeł swego grydona, Zelobion odkrył z zadowoleniem, że w tak krótkim czasie zdołali pokonać już sześćdziesiąt do siedemdziesięciu kilometrów, lub nawet więcej. Znajdowali się teraz ponad górzystą, zalesioną krainą: starali się sterować swymi grydonami na północpółnocny zachód, utrzymując główny kierunek, prowadzący do ich zasadniczego celu. Sędziwy Mag zajmował się radosnymi próbami obliczenia, jak wiele raniącej stopy, uciążliwej wędrówki omija ich dzięki tej fantastycznej powietrznej peregrynacji. Oceniał - z dużym przybliżeniem - że ich rumaki pokonują w ciągu godziny odległość około stu kilometrów, co wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Miał także dokuczliwe przecucie, że istnieje jakaś przyczyna, dla której powinni się zatrzymać, gdy tylko będą mogli. Jednak dlaczego mieliby to uczynić? Grydony były zdolne do całych godzin lotu bez żadnego odpoczynku. Gruczoły pompowały do jego żył adrenalinę z powodu poczucia świeżości i ekscytacji związanej z lotem, zaś ciągły, ryczący podmuch świeżego powietrza powodował, iż Zelobion przez cały czas czuł się rozbudzony i rześki. Dlaczego zatem po prostu nie kontynuować podróży jeszcze przez kilka godzin, jeśli istniała taka możliwość?

Pragnął przedyskutować tę kwestię z Ganelonem, który przeglądał mapy wraz z nim. Jednak spowodowany przez szybkość podmuch, ryczący wokół nich, porywał słowa z jego ust, gdy tylko próbował je wymówić, zaś dudniący huk uderzających bez przerwy skrzydeł zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Zelobion rozsiadł się zatem, mniej lub bardziej komfortowo, na wyściełanym poduszkami siodle, próbując przypomnieć sobie źródło swego nieokreślonego niepokoju. I Teraz już rozumiał,

dlaczego siedło wyposażone jest w wysokie, wyściełane oparcie, niemal takie, jak w fotelu. Uderzający bez przerwy wiatr wypychał pasażera na oparcie z bezlitosną siłą. Gdyby zatem nie ono, musiałby pochyłać się do przodu, w kierunku wiatru, a mięśnie ud i brzucha wkrótce zaczęłyby go nieznośnie boleć od ciągłego napięcia. Nawet teraz rzemienie zabezpieczające niemiłosiernie wpijały mu się w nie przywykłe do nich uda. Zaczął odczuwać zmęczenie z powodu wszystkich napięć tego męczącego i niewątpliwie doniosłego dnia. Być może powinien był jakoś zwrócić na siebie uwagę Ganelona Srebrnowłosego i próbując użyć czegoś w rodzaju zaimprovizowanego języka migowego, dotrzeć do niego z sugestią, by wylądowali gdzieś na noc...

Spojrzał w dół; to co tam zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Teraz już pamiętał! Na miłosierdzie Dobrego Galendila, jakże mógł o tym zapomnieć? Wibrująca Kraina...

W swych trzewiach poczuł okropne uczucie, tak jakby zaraz miał zemdleć. Zimny pot wystąpił mu na czoło, perląc się nad jego brwiami. Próbował zapanować nad tym nagłym wybuchem lęku, zdławić w sobie rosnącą panikę. Nie mogli tu wylądować - nawet gdyby chcieli!

Usłyszał, że łopot skrzydeł staje się coraz silniejszy i obejrzawszy się zobaczył, że Ganelon popędza swoją latającą bestię, pociągając gwałtownie, a potem puszczając cugle, które przymocowane były w ten sposób, by uciskać wrażliwe nozdrza tych gigantycznych jastrzębi o dzikich oczach. Wkrótce Ganelon leciał już obok Zelóbiona - dziwna postać, widoczna teraz w połyskliwym blasku Spadającego Księżyca, który zmienił powiewającą czuprynę olbrzyma w oślepiającą aureolę, zrobioną jakby z ognia o barwie diamentu. Ganelon pomachał jednym ze swych mocarnych ramion by przyciągnąć uwagę Zelóbiona i wskazał dłonią w dół, równocześnie pytająco wzruszając ramionami. Rozłożył ręce, tak jakby chciał pokazać gestem dużą odległość, a potem ponownie wykrzywił twarz w pytającym grymasie i wzruszył ramionami; próbował w ten sposób powiedzieć, że przelecieli już ponad sto pięćdziesiąt kilometrów i być może powinni wylądować na nocleg.

Zelobion wykrzywił się gwałtownie, silnie przecząco potrząsając głową, od czego jego broda zaczęła powiewać na prawo i lewo. Ganelon jeszcze raz wzruszył ramionami i rozłożył ręce: - a dlaczego nie?

- Wibrująca Kraina!!! - wrzasnął Zelobion z całą siłą, jaką mógł wydobyć z płuc, jednak Ganelon nie zdołał tego usłyszeć.

Gardło paliło Zelóbiona od ciągłych krzyków, gdy zdołał już przekazać tę informację. Twarz Ganelona przybrała surowy wyraz, gdy już pojął, o co chodzi, po czym pokiwał głową, sygnalizując, że zrozumiał. Potem odwrócił się, by wywrzeszczyć tę wiadomość do Arzeeli; kontynuowali lot poprzez noc, choć przy znacznie zmniejszonej prędkości. Ganelon musiał przekazać im gestami, w jaki sposób powinni manipulować lejcami, by zwolnić lot ptaków. Zanim Zelobion zorientował się, jak powinno wyglądać właściwe pociągnięcie lejcami, olbrzym musiał wykonać całe mnóstwo przesadnych, pantomimicznych ruchów. Mimo to niewiele brakowało, by pierwsza próba Zelóbiona zakończyła się kompletną katastrofą: jastrzęb dosłownie stanął w miejscu w powietrzu, przerwawszy lot, i zaczął frunąć spiralą w dół - najwyraźniej Mag pociągnął lejce za mocno i grydon odebrał to jako rozkaz lądowania! Włosy Zelóbiona niemal stanęły dęba, zaś jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Szczęśliwie jednak zdołał ponownie wprowadzić ptaka na kurs i mógł kontynuować lot, jakkolwiek w wolniejszym, łatwiejszym do wytrzymania tempie. Teraz było ważne dla grydonów, by zachowywały dosłownie każdy atom siły w swych mocarnych ciałach. Tak naprawdę, była to sprawa życia lub śmierci. Gdy lecieli już wszyscy nieco wolniej, Zelobion żuł z pasją końce swych zielonych

wąsów, poszukując gwałtownie w pamięci jakiejś Wypowiedzi, która mogłaby ich uratować, gdyby - broń Galendilu! - grydony okazały się zbyt wyczerpane i runęły na łeb na szyję, zanim wydostaną się znad Wibrującej Krainy. Zadrżał na samą myśl o tym...

Wibrująca Kraina stanowiła wyjątek na skalę całej Gondwany. Był to całkiem nowy fenomen geologiczny, który zaistniał kilka stuleci temu, de facto już za życia Zelobiona. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny Prawa Natury w tym szczególnym miejscu po prostu nagle zmieniły się. Fragment stałego lądu - równin i gór - stał się nagle miękki niczym rzeczny muł. O tyle, o ile ktokolwiek zdołał to stwierdzić, zjawisko to sięgało w głąb Ziemi aż do samego środka planety. Oznaczało to, iż każdego nieostrożnego ptaka, zwierzę lub człowieka, który postawił stopę na tej ziemi, czekała nieuchronna śmierć. Coś, co wydawało się na pozór stałym lądem - bowiem wyglądał on na pierwszy rzut oka całkiem naturalnie, niewinnie i nieszkodliwie - okazywało się w gruncie rzeczy śmiertelną pułapką. To, co rozciągało się teraz pod ich stopami, było rozległym morzem zdradliwych lotnych piasków. Wystarczył jeden nieostrożny krok, przekroczenie granicy tej ziemi, a człowiek zaczynał być bezlitośnie wsysany centymetr po centymetrze w bezdenne grzęzawisko, którym faktycznie była Wibrująca Kraina. Taki właśnie potworny los oczekiwał ich, gdyby grydony zbyt szybko zmęczyły się lotem...

Ten rejon niestabilnej, galaretowatej ziemi rozciągał się na powierzchni wieluset kilometrów kwadratowych. Nikt nie znał jego dokładnych rozmiarów z tej prostej przyczyny, że gdy tylko ów groźny fenomen się pojawił, podróżnicy zaczęli omijać ten rejon Gondwany tak szerokim łukiem, jak to tylko było możliwe, wędrując setki kilometrów poza jego domniemanym obszarem, choćby tylko po to, by mieć pewność, że na niego nie trafią. Zaś legenda głosiła, że to potworne zjawisko powoli rozszerzało się w groźnym, bo niepowstrzymanym tempie. Być może nie było to więcej niż kilometr dwa w ciągu roku... wierzono jednak, że rok za rokiem, godzina za godziną, Wibrująca Kraina wciąż rośnie, powiększając swój obszar. Przypominało to bezlitosne szerzenie się jakiejś straszliwej zarazy. Po jakimś czasie, prawdopodobnie całych stuleciach, zagarnie ona każdy metr kwadratowy Gondwany. Chyba że odkryty zostanie jakiś środek przeciwdziałający, zatrzymać lub odwrócić rozszerzanie się dotkniętego urokiem terenu, lub że zjawisko zatrzyma się samorzutnie. W nawiedzanych lękiem Ostatnich Stuleciach istnienia świata stopniowo pojawiały się na Ziemi nowe, przerażające formy życia. Wibrująca Kraina była - jak powiadali niektórzy - żywą istotą. Była jakby gigantycznym nowotworem, powoli zzerającym samo serce Ostatniego Kontynentu naszej planety. Nikt nie wiedział, jaka jest prawda. Lecząc ponad rozległym, nawiedzonym terenem śmiertelnych ruchomych piasków Zelobion żuł swoje wąsy w furii samooskarżenia. Na litość dziesięciu tysięcy bóstw i diabłów, dlaczego tak niefrasobliwie i nonszalancko oglądał ten właśnie fragment posiadanych map?!

Najgroźniejszy z tego wszystkiego był fakt, że śmiertelny teren pod nimi wyglądał całkiem niewinnie i naturalnie. Zelobion zapomniał, jaki dokładnie kształt i rozmiar ma ten tchnący zagładą obszar. Czując ból serca z przerażenia i poczucia skruchy patrzył na nieszkodliwie wyglądający krajobraz w dole. Rosły na nim drzewa, swymi koronami zdobiąc szczyty łagodnych pagórków. Zagłębienia terenu i górskie doliny porośnięte były falującą na wietrze trawą. Wszystko to wyglądało spokojnie i niewinnie w lśniącym blasku Spadającego Księżyca - czy byli wciąż jeszcze ponad Wibrującą Krainą, czy też osiągnęli ponownie bezpieczne rejony stałego lądu? Najstraszniejsze ze wszystkiego było to, że nie miał zielonego pojęcia...

Była późna noc. Jeden Galendil wiedział, jak długo już lecieli. Lotki piór wielkich grydonów

dygotały nieustannie wraz z ciągłymi uderzeniami olbrzymich skrzydeł, których rytm był jednak wyraźnie zwolniony. Ptaki robiły się zmęczone. Stracili też wysokość; było to niebezpieczne! Zelobion gwałtownie pociągnął cugle i jego grydon z rozdzierającym, wściekłym skrzekiem uniósł do góry oba skrzydła, uderzył nimi, dzięki czemu zwiększył nieco wysokość. Mag wrzasnął do Ganelona i Arzeeli, żeby zrobili to samo, a ich rumaki zareagowały z identyczną ospałością. Zelobion czuł się chory z obawy: ptaki były najwyraźniej wyczerpane, co prawdopodobnie stawało się już niebezpieczne.

Lecieli dalej, jednak grydony zwiesiły głowy i z rosnącą powolnością odpowiadały na pociągnięcia lejcam. Ich dzikie oczy pokryło bielmo, zaś z odkrytych boków biednych zwierząt odrywała się piana, gdy chciwie pochłaniały zimne powietrze.

Zelobion odczuwał mękę nieustannej frustracji. Przy siodle nie było żadnych ostróg, żadnego ptasiego odpowiednika bata czy pejcza. Jak można było zatem utrzymać te przeklęte ptaki w powietrzu, gdyby zechciało im się wylądować? Spróbował wbić pięty w żebra grydona, wiedział jednak, że ptak nie może tego odczuć przez grubą warstwę piór.

Sam Mag również stawał się znużony. Jego powieki opadały. Zobaczył, że Arzeela zaczyna także chwiać się w siodle ze zmęczenia. Ganelon wydawał się wciąż silny i zwawy. Zelobion czuł głębokie, wewnętrzne pragnienie snu, które pełzło poprzez jego ciało niczym jakaś niepowstrzymana żądza. Na razie mógł się jej przeciwstawić; ale na jak długo?

Jak długo będzie musiał przeciwstawiać się temu pragnieniu? Jak daleko już zalecieli do tej pory? Czy przelecieli dziewięćset kilometrów? A może tysiąc dwieście? Jak wiele czasu minęło od chwili, gdy zaczął się ten odrażający koszmar lotu bez końca? Bezowocnie próbował określić, jak długi okres nocy już minął; z pewnością musiał zbliżać się już świt... W świetle dziennym będą może w stanie zbadać grunt - wypuścić i pozwolić upaść bułatowi Ganelona, po czym obserwować, czy zacznie on tonąć w galaretowatej ziemi tego piekielnego grzędawiska, czy też rąbnie solidnie o błogosławiony, stały grunt...

Zelobion podskoczył w siodle, gdy jakiś grzmiący głos rozległ się niemal przy samym jego uchu! Wyprostował się i odkrył z przerażeniem, że niemalże spadł z wierzchowca, zgiąwszy się w pół nad łąkiem siodła. Musiał się zdrzemnąć, podczas gdy doprowadzające go niemal do szału pytania bez odpowiedzi przebiegały jedno za drugim przez jego mózg. Spojrzał i odkrył przyczynę zamieszania: Srebrnowłosa, wciąż czujny i bezsenny - choć ta cała przerażająca noc po długiej chorobie i wyczerpującej walce na arenie musiała przecież poważnie nadszarpnąć zasoby jego energii - podleciał do niego od tyłu i klapnął na płask jego opadającego grydona po zadzie swoim bułatem... Zasygnalizował Ganelonowi swoje podziękowania i pomachał mu ręką, dając znać w ten sposób, że jest przebudzony. Od tej chwili sędziwy Mag intensywnie skoncentrował się na tym, by nie zasnąć. Niewiarygodnie wolno mijały godziny tego bezustannego lotu. Na początku musieli jedynie gwałtownie pociągać za lejce mniej więcej co pół godziny, by zmusić wyczerpane, lecące z trudnością jastrzębie do uniesienia się nieco wyżej. Ale szybko, rozpaczliwie szybko to zmuszanie zamieniło się w bezustanną walkę, polegającą na próbach skłonienia ptaków, by uniosły głowy i pozostały w powietrzu. Jastrzębie krzyczały przy tym przeraźliwie, boleśnie. Z ich rozpaczliwie chwytających powietrze klatek piersiowych odrywała się piana, najpierw z pojedynczymi plamkami, a potem całymi pasmami szkarłatnej krwi. Zelobion odznaczał się zawsze zamiłowaniem do zwierząt: w jego pałacu znajdowała się słynna menażeria egzotycznych form życia, kuriozalnych istot ze wszystkich zakątków Gondwany: księżycowych ptaków o rozpiętości skrzydeł sięgającej

dwudziestu metrów; androsfinksów, stanowiących podgatunek wielkich istot o purpurowej skórze, z twarzami ludzi i potrójnymi rzędami bardzo ostrych zębów; było tam w specjalnie izolowanym zbiorniku gigantyczne stworzenie zwane Remorą, którego dotknięcie jest w stanie zamrozić wodę do konsystencji lodu; drzewakanibale z dżungli Ghashu; kwiatywampiry; fantastyczne senmurwy, wyglądające jak orły z głowami psów; słynne mówiące małpy z Parzu; a także wiele innych gatunków. Zamiłowanie Zelobiona do wszelkich żywych stworzeń powodowało, że fakt, iż musiał teraz torturować grydony przez przymuszanie ich do wysiłku przekraczającego ich możliwości i wytrzymałość, powodował ból serca, jakby z każdym pociągnięciem lejców wbijała się w nie ostra igła.

A jednak trzeba było to robić. Ich przedsięwzięcie było zbyt doniosłe i ważne dla wszystkich istot na całej Gondwanie, by Zelobion mógł pobłażać swemu uczuciu litości...

Zastanawiał się, jak długo będą w stanie utrzymać w powietrzu wyczerpane jastrzębie. Odpowiedź przyszła bardzo szybko, gdy grydon, którego dosiadała Wojownicza, zwinął się w powietrzu i runął w dół jak kamień!

Zgodnie z logiką, grydon Ganelona powinien być najbardziej zmęczony, ponieważ olbrzym ważył najwięcej z całej ich trójki. Jednak Srebrnowłosa dosiadł największego i najsilniejszego z wierzchowców, który wciąż jeszcze wytrzymywał potwornie męczący lot. Arzeela zaś była dziewczyną wysoką, znacznie cięższą niż sędziwy Mag, jeśli nie tak ciężką, jak sam Ganelon. Jej rumak nie mógł już dłużej lecieć. Jego męzne, waleczne serce przestało bić, jastrząb umarł w powietrzu i jak kamień runął ku ziemi.

Ganelon całą swoją siłą pociągnął za lejce, próbując zakręcić w locie tak, by móc ściągnąć dziewczynę z grydona. Była to beznadziejna próba, jednak zarazem jedyna możliwość uratowania jej, o jakiej był w stanie teraz pomyśleć.

Jej wierzchowiec spadał. W locie szarpała za rzemienie, które ścisnęły jej uda, wciąż przywiązane nimi do siodła. Wiatr porywał jej gęste, płowe włosy i drażnił jej spojówki, dopóki oczy nie zaczęły łzawić. Po chwili była już wolna; zaczęła wspinać się do góry po siodle, dopóki nie udało jej się skulić w jego zagłębieniu. Ptak Ganelona był teraz dokładnie nad jej głową i opadał w dół. Widziała, jak olbrzym pochyła się ku niej ponad krzywizną ramienia ptaka. Jego włosy unosiły się na wietrze w świetle księżyca; krzychał coś do niej, jednak wiatr porywał słowa i nie była w stanie niczego usłyszeć.

W ciągu najbliższych sekund jej martwy wierzchowiec mógł uderzyć o powierzchnię ziemi. Jeśli znajdowali się nadal nad Wibrującą Krainą, zostałyby wessana przez zdradliwe grzędawisko, ginąc powolną, odrażającą śmiercią. Jeśli, nieświadomi, minęli granicę tego nawiedzonego terenu i znajdowali się już nad stałym lądem, siła uderzenia przy upadku z tak dużej wysokości roztrzaska i zmasakruje jej ciało. W każdym wypadku czekała ją niechybna śmierć. Wskoczyła więc wysoko w powietrze, wkładając w ten skok całą siłę swych długich nóg; stało się to w chwili, gdy Ganelon wyciągnął swe silne ramię, by schwycić ją za rękę. Wyrzuciła ramiona do góry, próbując złapać jego dłoń...

Chybiła.

11 PIRACI PRERRI

Powietrze świstało wokół niej, gdy spadała. Potem jej wyciągnięte ręce chwyciły szpony grydona; uczepliła się nóg zwierzęcia. Odczuła jeszcze mdlące przerażenie, gdy jej dłonie zsunęły się po śliskiej powierzchni wygiętego pazura - ześliznęły się, a po chwili ponownie przywarły do jego powierzchni. Kołysała się, zwisając z pazura grydona, uczepliwszy się go samymi końcami palców, mniej więcej trzydzieści metrów nad powierzchnią gładkiej, trawiastej prerii. Widoczny w świetle księżyca, czarny kształt jej martwego wierzchowca zmniejszył się teraz, spadając bezwładnie. Patrzyła, jak uderzył w powierzchnię... Z wyraźnie słyszalnym, kruszącym kości hukiem!

Dziewczynę wypełniło uczucie niezmiernej ulgi. Przelecieli w końcu nad rozległym obszarem Wibrującej Krainy i dotarli do bezpiecznego, stałego lądu! Ganelon i sędziwy Mag ujrzeli to także; uśmiechnęli się i wymienili radosne okrzyki. Potem pozwolili wylądować dwóm pozostałym grydom.

Kilka metrów nad powierzchnią ziemi Ganelon musiał jeszcze walczyć ze swym zmęczonym do szpiku kości grydonem, by pozostał przez chwilę w powietrzu, podczas gdy Arzeela puściła jego szpony i łagodnie upadła na ziemię. Chwilę potem cała trójka była już na jej powierzchni, podczas gdy dwa wyczerpane ptaki kwakały i skrzeczały na siebie ochryple. Również cała trójka podróżników była wytrzęsiona, wyczerpana z powodu ciągłego napięcia nerwowego, fizycznego wysiłku i długiego wyteżania się, związanego z ciężką próbą, którą musieli przejść w ciągu nocy. Przed wypoczynkiem odwiązali jednak jeszcze worki z wodą, które Arzeela kupiła wraz z siodłami i dzięki temu mogli napić obficie półżywe grydony, choć nie mieli dla nich żadnej żywności. Błady poblask rozjaśniał niebo na wschodzie. Zbliżał się świt. Lecieli zatem przez całą noc, a także pół poprzedniego dnia. Byli zmęczeni i wyczerpani, głodni, niemal chorzy z powodu czternastu godzin spędzonych w siodłach. Pokonali jednak chyba koło tysiąca kilometrów i udało im się szczęśliwie przebyć Wibrującą Krainę. Zasnęli zatem w tym miejscu, gdzie byli, nie próbując nawet zdobyć żywności. Zasnęli głębokim snem bez żadnych sennych marzeń, takim, jaki ogarnia człowieka po przekroczeniu granicy ostatecznego wyczerpania.

Lot przeniósł ich poprzez Wibrującą Krainę ku Wielkim Równinom Władu. W ciągu tysiącleci działanie jakiegoś nowego, tajemniczego zjawiska geologicznego stopniowo zmieniło te ziemie w rozległą, równinną prerię, która rozciągała się na nieprawdopodobnie wielkim obszarze na północ, wschód i zachód. Wielkie Równiny Władu zajmowały część powierzchni Gondwany o wielkości równej starożytnemu kontynentowi Ameryki Północnej.

Wiatry wiejące ponad tą prerią o rozmiarach kontynentu zwiększyły prędkość i stopniowo zamieniły się w zawieruchy o sile gigantycznych huraganów. Nieliczne, pofałdowane pagórkami obszary oraz całkowity brak łańcuchów górskich, które powstrzymywałyby te huragany powodowały, iż praktycznie nic nie stawiało im oporu na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów; miały zatem swoje

stałe kursy, tak ściśle określone, jak morskie prądy. Pewna specyficzna grupa nomadów nauczyła się, jak można wykorzystywać ten wybryk natury dla swoich celów; byli to ci sami nomadzi, którzy o poranku zbliżali się do trójki śpiących podróżników.

Słońce uniosło się nad horyzontem i zalało światłem całą tę krainę. Wyczerpana trójka spała snem niezmaconym przez zbliżanie się dnia, ponieważ skryta była w cieniu traw.

W dużej odległości pojawił się najpierw rząd ruchomych kropek. Po chwili w polu widzenia zjawily się dwa, trzy, a potem cztery ciemne obiekty. Przemuszały się przez Równinę kursem, który prowadził je w pobliże śpiącej trójki i przebiegał obok niej w odległości mniej więcej kilometra.

Gdy ciemne obiekty bardziej się zbliżyły, można było zobaczyć, że są większe od domów i wyższe od drzew. Choć to niesamowite i niewiarygodne, cztery ciemne kształty były statkami.

Były to ponadto statki o typie i kształcie niespotykanym na morzach w żadnym miejscu i czasie. Zbudowane jak galery - długie, niskie, szybkie i lekkie, pozbawione masywnych nadbudówek rufowych i ciężkich nadbudówek dziobowych, charakterystycznych dla statków pływających po morzu; przypominały jednak karraki i karawele z tym, że nie było na nich wioślarzy ani przeznaczonych dla nich ławek, zaś ich wolna burta była wyższa niż w większości galer. Ich olinowanie różniło się znacznie od spotykanego w statkach morskich: po pierwsze, znacznie większa była powierzchnia żagli, po drugie - brasy i fały zwisały z luźno zamontowanych zawieszek kardanowych, sterowanych za pomocą skomplikowanych wiązek lin sztagowych i bocznych. Ten rodzaj olinowania był konieczny, ponieważ z braku czegokolwiek w rodzaju steru, te żeglujące po prerii statki byłyby całkowicie pozbawione zdolności manewrowania.

Żeglujące po lądzie galery były skonstruowane z lekkiego, zadziwiająco mocnego drewna, pochodzącego z drzew należących do rodziny bombacaceous; z powodu swojej małej wagi i odporności połączonej z rozciągliwością przypominało ono laminowane drzewo balsa, było jednak łykowate i włókniste, sprężyste i nasycone fibryną.

Na bezbrzeżnych równinach pokrytych niską, miękką trawą nie rosły żadne drzewa. Jednakże tu i ówdzie, rozrzucone po prerii w niewiarygodnie wielkich odległościach od siebie, wyrastały z płaszczyzny „wyspy”, przypominające płaskowyże. Drzewa bombacaceous pokrywały gęsto wierzchołki tych wewnątrzlądowych „wysp” i z nich właśnie pochodziło drewno, z którego budowane były dziwne statki.

Kadłuby statków prerii utrzymywane były w zawieszeniu pomiędzy dwoma niezwykle wielkimi kołami, znajdującymi się po obu stronach statku. Koła te były puste, wzmocnione od wewnątrz za pomocą splecionych ze sobą zastrzałów, zaś obręcze tych kół - które toczyły się po krótkiej trawie prerii - miały wielometrową szerokość i były grubo obite miękką, gładką niczym szkło, przypominającą gumę sprężystą substancją, produkowaną z żywicy drzew bombacaceous. Koła wsparte były na osi, która przechodziła przez płytki kil statku, wiszącego na niej swobodnie; jego dno w czasie jazdy muskało czubki miękkich traw prerii. Nigdzie indziej na całej ziemi i w żadnych czasach podobne zadziwiające lądowe statki nie były możliwe do wykonania - tylko na wielkich niczym kontynent Równinach Władu, gdzie gigantyczne wichry posuwały majestatycznie i miękko po ziemi olbrzymie galery. Przez całą długą noc eskadra pod dowództwem kapitana korsarzy Kheva Pirata pędziła przez nieskończoną równinę łagodnie szumiących traw we wspaniałym blasku gigantycznej tarczy Spadającego Księżyca. „Niszczyciel”, statek flagowy Kheva, przewodził formacji śródlądowych okrętów; pozostałe ciągnęły się za nim po obu stronach, niczym klin lecących gęsi w

kształcie litery „V”. W takielunku każdego z czterech statków zainstalowany był niewielki punkt obserwacyjny. Ziemie te były z rzadka odwiedzane - można tu było żeglować całymi dniami, nie zobaczywszy nawet żadnego innego statku. Pełen zaskoczenia okrzyk ze szczytu masztu wyciągnął przeklinającego i potykającego się Kheva z koi w kapitańskiej kajucie. Głowa bolała go od zbyt dużej ilości wypitej wczoraj brandy, oczy były zmętniałe, zaś palce wydawały się dwa razy grubsze i opuchnięte, gdy zapinał zamki błyskawiczne w swoim ubraniu, wciągał na swój krzepki, opalony tors bluzę o szerokich rękawach, wrzucał swój kord do inkrustowanej klejnotami pochwy i z łomotem szedł po schodkach na przedni pokład. Serce skoczyło mu do gardła: czy wieść o jego ekspedycji przeciw Svabordze wydostała się jakoś na zewnątrz? Czy dotarła do uszu Imperatora? Czy jego nadmierna pewność siebie wprowadziła go prosto w pułapkę?

Niebo po wschodniej stronie rozjaśnione było potężniejącym z każdą chwilą blaskiem świtu. Gdy przybył na pokład, kostkami swych pięści gwałtownie przecierając oczy z resztek snu, i zaczął obserwować rozległe, puste równiny wokół statku, poczuł kolosalną ulgę. Nie było widać żadnych ciemnych kadłubów, które otaczałyby pierścieniem jego eskadrę; światło poranka nie odbijało się od pororców z wymalowanym na nich symbolem Lwa. Równiny przed nimi były wolne od wrogów. Skąd zatem całe to zamieszanie? Z takielunku ponownie rozległ się okrzyk. Khev odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

- Czego wrzeszczysz, tępaku? Nie widzę nic wokół nas!

Z ciemnych teraz want ponad jego głowę nadeszła ochrypła odpowiedź:

- Dwa rumby od świetlika dziobowego, kapitanie!

Nie mogę dokładnie zobaczyć przez to cholerne światło...

Khev podszedł do nadburcia i przeszukał cieniste trawy przenikliwym spojrzeniem swych szarych oczu. Potem odetchnął głośno i opadła mu zarośnięta broda szczeka.

- Grydony! Na dziewięć piekieł Yakovaru! - Odwrócił się i krzyknął przez złączone dłonie dla wzmocnienia efektu: - Sternik! Dwa rumby na lewą burtę i tak trzymać! Wszyscy na stanowiska! Łucznicy na przedni pokład ze swoim sprzętem! Załoga sterująca - być w gotowości do ustawiania żagli! Ruszać się!

Tam, pośród pustej przestrzeni cienistych traw, zamajaczyły fantastycznie olbrzymie kształty dwóch gigantycznych ptaków oraz ciała trzeciego z nich. Przenikliwe spojrzenie pirata było w stanie rozróżnić także kontury trzech lub czterech śpiących - lub martwych - postaci leżących obok siebie w płaszczach podróżników. Cicha jak liczne cienie chmur przesuujące się po prerii, korsarska eskadra zakreśliła, zbliżając się w stronę grupy wędrowców.

Zaalarmowały ich grydony. Spłoszone, zaczęły skrzeczeć i trzepocząc skrzydłami uniosły się w niebo, gdy piracki statek zbliżał się do nich. Ganelon i Zelobion skoczyli na równe nogi, klęcząc, jeszcze pijani resztkami głębokiego snu. Nie mieli wczoraj nic, czym mogliby przywiązać swe podróżne jastrzębie na noc - i teraz zwierzęta krążyły już w powietrzu. Potem poszybowały na wschód.

Chwilę później oni także ujrzeli dziwaczne śródlądowe statki i zastygli ze zdziwienia, gdy potężne galeony zbliżyły się do nich, dryfując i zwalniając swój bieg. Ciemne postacie ludzi tłoczyły się przy barierce burty. Arzeela sięgnęła po miecz, ale Zelobion powstrzymał ją i Ganelona jednym lapidarnym słowem. Powinni poczekać i dowiedzieć się, czego chcą ci ludzie, zanim spróbują walczyć lub uciekać. Sam Khev zszedł z kapitańskiego mostku, by obejrzeć nieznanym. Ganelon surowym wzrokiem obserwował przywódcę piratów: był on niskim, silnym człowiekiem o szerokich

ramionach, błyszczącej, czerwonozłotej brodzie i zimnych, szarych oczach pod krzacastymi brwiami o ognistej barwie. Skwarne słońce Wielkich Równin spaliło go na odcień starego, skórzanego siodła. Złote połyskliwe pierścienie kołysały się, zwisając z małżowin jego uszu. Szkarłatna chustka pokrywała jego czoło, nachodząc prawie na same brwi, zaś złotoczerwone kędziory spadały aż na strój w ciepłych kolorach. Opasany był szarfą z cennego atlasu pokrytą wzorem o barwie cynobru, różu i migotliwej żółci. W pasie znajdowały się sztylety, których rękojeści zrobione były z połyskliwej masy perłowej. Przez pierś przewieszony miał inkrustowany klejnotami pendent do szabli, zdobny licznymi tłoczeniami i ornamentami, z którego zwisał, objijając się o jego biodro, długi piracki kord. Luźna biała bluza rozsunęta była aż do pępka, odsłaniając węzły mięśni i złocisty gąszcz szczeciniastych włosów na piersi. Wyglądał w każdym calu jak rasowy pirat.

Khev zmierzył podróżników wzrokiem spod zmrużonych powiek. Nie widział nigdy jeszcze ludzi im podobnych, takich jak ten dziwny starszy człowiek w porwanych szatach z brodą koloru wodorostów, wojownicza Amazonka z metalowymi ochraniaczami na piersiach i sukience ze skórzanych pasków oraz wyniosły olbrzym z fantastyczną czupryną spadających kaskadami, srebrzystych włosów, który w milczeniu wspierał się na swoim bułacie. Khev był wyraźnie skonfundowany.

- No cóż, nie są ludźmi Lwa, to pewne - wymamrotał półgębkiem do bosmana Yarillo, wysokiego człowieka o posępnej twarzy i białych bliznach na swych ciemnych, zapadniętych policzkach oraz z czarną przepaską, zasłaniającą pomarszczoną bliznę, która pozostała mu po jednym z oczu.

- Tak, kapitanie. Czy nie powinniśmy oddać ich pod nóż? Nie można ich zostawić za nami, by mogli komuś powiedzieć, że tędy przepłynęliśmy i w którym kierunku - stwierdził Yarillo ponurym głosem.

- Hmm... Nie, Yarillo... W tym kryje się jakaś dziwna historia, jakaś tajemnica... - stwierdził Khev głosem pełnym zadumy. Yarillo przyglądał się wysokiej dziewczynie swym jedynym, błyszczącym okiem.

- To krzepka dziewczucha - powiedział z aprobatą. - Smakowity kawałek ciała!

- Być może - odparł Khev z roztargnieniem. Płonął miłością do Rusalkii i nie zwracał uwagi na żadne inne kobiety. Podjął decyzję: - Zabierzmy ich na pokład i żeglujmy dalej na spotkanie z eskadrą Zadko. Możemy wybadać ich, kiedy będziemy mieli chwilę wolnego czasu. Podoba mi się wygląd tego olbrzyma. Może uda się przekabacić go, by dołączył do Braterstwa; tak potężne ramię dźwigające miecz może nam się przydać!

Ganelon znajdował się teraz w pewnej odległości od Kheva, spokojny i beznamiętny, gotów walczyć, gdyby okazało się to konieczne. Arzeela stała tuż przy nim, cała zjeżona pod bezczelnym spojrzeniem Yarilla.

- Magu, czy znasz jakąś Wypowiedź na tę okazję? - mruknął Ganelon pod wąsem do Zelobiona. Sędziwy Mag położył dłoń na muskularnym ramieniu Srebrnowłosego.

- Muszą mieć ze stu uzbrojonych ludzi tam, na pokładzie - wyszeptał. - Nie możemy ich pokonać. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i zobaczyć, co się zdarzy...

- Pozwolić, żeby nas schwytali, nie podnosząc nawet ręki w swojej obronie? - spytała gwałtownie Arzeela. Zelobion skinął głową.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno! Nasze grydony odleciały i zostaliśmy tu, jak wyrzuceni na mieliznę, bez żadnego środka transportu. Słyszałem o tych ziemiach - Wielkie Równiny Władę rozciągają się na odległość siedemnastu tysięcy kilometrów w każdą stronę. Te ich fantastyczne statki

podróżowały w kierunku zachodnim, gdy skrzyły, żeby sprawdzić, kim jesteśmy. Dlaczego nie pozwolić im, żeby zabrali nas na zachód i zaoszczędzili nam pieszej wędrówki? Kierują się w stronę Vandalexu, podobnie jak my... A ja zawsze mogę użyć Wypowiedzi, jeżeli zajdzie potrzeba! Niedługo potem eskadra ustawiła się do wiatru i ruszyła poprzez kilometry szepczącej cicho trawy Równin Władu - z trzema więźniami na pokładzie flagowego statku „Niszczyciel”.

Przez dziesięć dni statki pędziły przez Wielkie Równiny, gnane biczem mknącego wciąż wichru. W końcu na płaszczyźnie równin pojawiła się przed nimi skalista masa płaskowyżu. Przypominała wyspę wyłaniającą się z morza, zaś jej wyniosłe szczyty pokryte były drzewami o grubych pniach i konarach. Od podstawy wyspy odcumowała druga eskadra, ukryta dotychczas za murem, służącym jako schron przed wiatrem i podpłynęła do nich, by dołączyć do świeżo powstałej floty piratów prerii. Pomiędzy Khevem a dowódcą drugiej eskadry, chudym człowiekiem o ciemnej skórze i obmierzłym uśmiechu, zwanym Zadka, odbyła się długa konferencja na pokładzie jednego ze statków. Potem obie eskadry utworzyły wspólną formację i statki skierowały się ponownie na zachód.

Zelobion, Ganelon i Wojowniczką nie byli spętani łańcuchami. Statki prerii obsługiwała zawsze szczątkowa załoga: każdy kilogram, a nawet atom wagi miał żywotne znaczenie dla tych poruszanych przez wiatr, lądowych krążowników. Dodatkowe ręce do pracy zawsze się zatem przydawały. Podczas gdy Arzeela udzielała swej pomocy w kuchni okrętowej, Zelobion zaś pracował wraz z mrukliwym, starym cieślą okrętowym o zakończonej hakiem protezie zamiast jednej ręki, Ganelon zaangażował siłę swych mocarnych barków i ramion do pomocy załodze sterującej, która przez cały czas musiała być gotowa do obsługi labiryntu splątanych lin bocznych, służących do sterowania brasami i fałami.

W nocy udało im się zamienić kilka słów. Zelobion wciągnął gburowatego starego cieślę w rozmowę i odkrył, co się dzieje. Gdy stali przy barierce nadburcia po wieczornym posiłku, Mag poinformował lakonicznie Ganelona, jak wygląda sytuacja.

- Stary Eva powiedział mi, że kapitan, Khev, przeprowadza rajd przeciwko Svabordze - powiedział niskim głosem. - To jeden z płaskowyżów przypominających wyspy, które są rozrzucone po tych równinach, podobnie jak ta, w pobliżu której spotkaliśmy się dziś rano z eskadrą Zadki. Spośród tych wysp tylko Svaborga jest zamieszkała, znajduje się tam miasto pod rządami księżniczki Rusalkii...

Zelobion kontynuował szeptem swoją opowieść, mówiąc, że rok temu Khev spotkał Księżniczkę Rusalkię podczas koyodvyatagor, Wielkiej Rady, która odbywa się co dziesięć lat w mieście Połtawa, położonym na północy, na jednej z przypominających płaskowyże wysp. Połtawa jest siedzibą Cesarza Vezdabolga, nominalnego władcy Większych i Mniejszych Równin Władu i Terenów Sąsiadujących. Khev zobaczył tam Księżniczkę i bez pamięci zakochał się w niej - a cieszy się ona opinią najpiękniejszej kobiety w całym Władzie; Rusalkia, „Róża Svaborgi”, jak nazywają ją bardowie. Jednak Wielka Rada odbywała się pod wezwaniem Pokoju Bogów, zatem Khev nie miał możliwości kontynuowania starań o Rusalkię z większym naciskiem - tu Zelobion dodał chichocząc, iż wedle wyobrażenia Kheva zaloty polegają po prostu na porwaniu siłą damy swego serca.

Gdy Rada skończyła się, Khev pchnął swego posła do fortecy Svaborga z propozycją małżeństwa dla Rusalkii. Jednak harda księżniczka dała mu po nosie, odrzucając ofertę. Dzielny i silny kapitan korsarzy Khev Pirat był ostatnim człowiekiem na Ziemi, który przełknąłby lekko podobną odmowę. Zdecydował zatem, że zerwie tę różę, nie zważając na jej kolce. Jednak trzeba pamiętać, że Khev był tylko jednym z kapitanów statków z Domovoy, wolnego miasta portowego piratów prerii. Ta banda

szubrawców i rzezimieszków, której przewodził, zainteresowana była przede wszystkim grabieżą. Minęło zatem nieco czasu zanim Khev zdołał zgromadzić taką siłę, jakiej potrzebował, by zaatakować ufortyfikowane miasto Svaborga, które było dobrze bronione.

Wybrał czas, gdy wielka flota zbierająca podatki znajdować się będzie w porcie położonego na wyspie miasta Rusalkii. Flota ta przewoziła wyroby ze złota i podatek z klejnotów na dwór cesarza Vezdabolga. Pojawiała się ona we wszystkich płacących podatki, położonych na wyspach miastach Równin Władu raz na każde pięć lat. Jedyne obietnica tak dużej nagrody, jak zdobycie floty podatkowej, mogła skłonić „podopiecznych” Kheva, by zaatakowali dobrze uzbrojone bastiony Róży Svaborgi. Teraz zaś kierowali się właśnie ku Svabordze... Ganelon, Arzeela i Zelobion uwikłani byli w czyjąś prywatną wojnę i wkrótce mieli znaleźć się w samym środku bitwy.

Ciemna twarz Srebrnowłosego stężała w wyrazie ponurej zadumy. Gdyby wiedział wcześniej, jak wygląda sytuacja, być może sprzeciwiłby się wypowiedzianej w najlepszych intencjach radzie Zelobiona i walczył lub uciekł przed piracką eskadrą. Wydawało się, że teraz jest już na to za późno... ponieważ nie dalej jak jutro przycumują swe statki w „porcie” Svaborga i rozpocznie się atak na fortecę Księżniczki Rusalkii!

12. KONKURY KHEVA PIRATA

Khev zaplanował wszystko dobrze i starannie. W ciągu ostatnich godzin poprzedzającej świt ciemności flota podzieliła się na cztery części, zbliżające się w ciszy do Svaborgi z czterech różnych kierunków. Godzinę wczesnej Spadający Księżyc zniknął za horyzontem. Ciemność okryła Wielkie Równiny Władę; jedynie najśłabsze światełko przedświtu rozjaśniało górne rejony sklepienia niebieskiego, gdy statki, skradając się na swoich szepczących kołach, zbliżyły się do wielkiej „wyspy” na płaskowyżu. Pod osłoną ciemności przedświtu korsarska flota mogła zbliżyć się do samego cienia murów fortecy, pozostając niezauważoną; w każdym razie Khev miał nadzieję, że tak będzie.

Svaborga leżała przed nimi. Z równiny wyrastały pionowe urwiska ciemnych skał, wspierające wysokie mury i przysadziste, pięciościenne wieże miasta. Półkoliste kamienne nabrzeża, niczym rozłożone ramiona, rozciągały się od strony miasta ku Równinom; był to należący do miasta port. Te nabrzeża, przypominające w istocie kamienne mury, dawały należytą odprawę odwiecznym wichrom, które panowały nieprzerwanie i niepodzielnie nad tymi preriami o rozmiarach konwentu; chroniona przez nie, ściągająca podatki flota ogła na jakiś czas przerwać żeglugę i spoczywać bezczynnie w porcie.

Odznaczając się głęboką czernią na tle ciemnego nieba, na płaskowyżu wznosiła się wysoka wieża. Na jej szczycie migotały światełka. Khev patrzył na te świetlone blaski pochodni okna wzrokiem tak tęknym, jakim ktoś inny mógłby patrzeć na jaśniejące rzędy bram Raju. Gdzieś w tym zamku, ukryta w wysokiej komnacie wieży, spała teraz Róża Svabori... A jeśli bogowie Władę byli mu przychylni, jeszcze ciągu tej godziny Róża mogła znaleźć się w jego rękach!

Pssst! Wszystko gotowe, Kapitanie! - zaszeptała do niego jakaś ciemna postać. Był to Yarillo, bosan „Niszczyciela”; strój tego korsarza o ponurej twarzy i zapadniętych policzkach aż połyskiwał odbłyśkami białej broni, której ostrza odbijały światło odległych pochodni. Grupy desantowe były już zgromadzone, łastow i Royskyar, ze swoimi łucznikami, będąc przedzielnymi wypadkami. „Niszczyciel” stanie na redzie u wejścia do portu, dopóki ubrani na czarno łucznicy nie oczyśczą nabrzeży ze wszystkich strażników. Potem będą mogli wkraść się do portu i, statek po statku, ając uśpioną flotę poborców podatków. Podczas gdy te grupy szturmowe uderzą z różnych kierunków, >y odwrócić uwagę obrońców, Khev wraz z grupą wybranych przez niego ludzi wejdzie się siłą do cytadeli i porwie Księżniczkę... W tej chwili pojawił się sygnał! Atak rozpoczął się...

Potem nastąpił długi okres pełnej napięcia ciszy; odziani na czarno ludzie Kheva czołgali się, ocierając brzuchy o powierzchnię nabrzeża, pocąc się i klnąc półszepczeniem. Pomiędzy oddziałami wymienione zostały ciche sygnały. Oddziały najeźdźców jeden za drugim pogrążyły się w pełnej szepczeniach ciemności. Wytyżając słuch, ludzie Kheva nie słyszeli niczego poza ciągłym poszumem wiatru, rozlegającym się od czasu do czasu przenikliwym świstem jakiejś odległej strzały, a także

głuchymi odgłosami i brzęknięciami, które mogły pochodzić od nieostrożnych stąpaniec czyichś nóg na pokładach i kadłubach statków.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wszystko poszło źle!

Na ciemnym kadłubie najbliższej galery poborców podatkowych rozbłysły światła; czyjaś nieostrożna stopa przewróciła przykryty pojemnik z gorącymi kawałkami węgla. Wysmołowane pokłady rozbłysły jasnymi płomieniami. Chrapliwe okrzyki rozległy się z pokładów najbliższych okrętów, których załogi spały, zawinięte w koce. Zgięty w pół, by zrównoważyć pęd wiatru, Khev zatrzymał się w pół drogi na długim nabrzeżu - powstrzymawszy swoją grupę szturmową uniesieniem ręki - i aż zamrugał oczyma z niedowierzania. W kierunku jego i jego ludzi pędziło po nabrzeżu około dziesięciu strażników Księżniczki Rusalkii, niosąc pochodnie, których płomień odbijał się wyraźnie od ich zbroi, złożonych z metalowych płatków, wyposażonych w przyłbice hełmów oraz pałaszy.

Khev zdławił w sobie płynące prosto z serca przekleństwo. Któraś z pozostałych grup jego floty musiała najwyraźniej popełnić błąd, pozwolić, by zauważył ją czujny strażnik na szczycie murów miasta; podniósł się alarm.

Spojrzał w drugą stronę, by zobaczyć, co dzieje się w porcie. Pokłady jarzyły się wieloma światłami; widział grupki przeklinających, walczących ze sobą ludzi. Nawet z tej odległości mógł dostrzec twarz Yarillo, którego usta były otwarte we wrzasku, zaś jedyne zdrowe oko połyskiwało dzikim blaskiem, gdy wysoki bosman parował czyjs cios i wbijał swój kord w ciało jednego z ludzi Cesarza Vezdabolga.

Potem zza jego pleców rozległ się przeraźliwy krzyk i Khev odwrócił się, by ujrzeć... to, co niemożliwe! Długi kadłub jego flagowego statku „Niszczyciel”, wyruszającego pod pełnymi żaglami na otwartą równinę.

- Na dziewięć szkarłatnych piekieł Yakovaru, co się dzieje?! - ryknął Khev. Pozostawił statek niemal kompletnie opustoszały - nie licząc dosłownie minimalnej warty i dwojga bezużytecznych więźniów: starszego człowieka z zielonkawą brodą i wysokiej dziewczyny o płowych włosach - zatem, na wszystkie demony wichru potężnego Władę, jak pozbawiony załogi statek jest w stanie odpływać na równinę?!

- Wracać! Wracać natychmiast! - ryczał, gwałtownie gestykulując. On i jego oddział pognali z powrotem wzdłuż nabrzeża z twardych kamieni, po to tylko, by ujrzeć jak „Niszczyciel” przesuwają się obok nich, kończąc zwrot ku równinom. W jaskrawym świetle płonącego za ich plecami okrętu Khev obejrzał dokładnie dobrze oświetlone pokłady swego uciekającego statku flagowego - zobaczył naprężające się i krzyżujące ze sobą liny boczne, gdy żagle sterujące złapały już wiatr od brzegu i przeniosły wielką galerę w główny nurt Wielkiego Prądu Borogova; zobaczył też dokładnie koło sterowe, gdzie, do przypominającego harfę jarzma, umocowane były liny kierujące statkiem. Zobaczył, jak liny sterujące unoszą się i opadają, uruchamiając bloczki linowe w takielunku, które regulowały największe żagle statku.

Na pokładzie nie widział jednak ani jednego człowieka. Jego oddalający się statek kontrolowały jakieś niewidzialne ręce!

Stał na końcu nabrzeża, bezsilnie obserwując, jak jego statek zmniejsza się, znikając gdzieś na zachodzie, obsadzony przez upiorną załogę, niewidzialną jak samo powietrze!

Po chwili jego uwagę przyciągnął jakiś jęk. Dochodził od strony grupy ludzkich postaci, leżących kupą wśród sięgających po kolana traw. Jedna z nich stanęła niepewnie na nogach i uniosła swą zapijaczoną, oszołomioną twarz w górę, w krąg blasku ognia. Wtedy Khev rozpoznał starego Hwę,

cieślę z „Niszczyciela” - jednego z ludzi, których pozostawił na straży opuszczonego statku. Za nim, chwiejąc się na nogach, stanęli inni, których twarze były mu znane: Karov, Yako i Boldogar...

Obejrzał się wokół, sondując pełne napięcia, zbieleiałe twarze swych ludzi. Gdzie znajdował się potężny człowiek o srebrzystych włosach? Khev zaliczył milkiwego olbrzyma o ciemnej twarzy do swojej grupy desantowej, by mieć na niego oko - ale teraz nie było go wśród innych. Zniknął!

Slavgar, krzycząc, schwycił go za ramię:

- Widziałem to, Kapitanie! Ten wielki człowiek o srebrnych włosach - był przy mnie przez cały czas, był, naprawdę! a potem po prostu zniknął - rozpląnął się w powietrzu na moich oczach! Upiór - oto, czym on był!

Khev zamierzał właśnie odbić na bok rękę Slavgara i chciał krzyknąć do niego coś na temat „nonsensu”; jednak nie starczyło mu na to czasu, bowiem strażnicy Svaborgi właśnie dopadli grupę piratów i ich przywódca był zbyt zajęty odparowywaniem za pomocą swego kordu ciosów potężnego pałasza, by móc przekląć zabobonną gadaninę swoich ludzi, żałować tego, iż jakieś widmowe ręce skradły jego statek flagowy, a nawet oplakiwać klęskę swojego planu porwania Róży Svaborgi. Mówiąc krótko, był zbyt zajęty walką o własne życie. Pozostawmy Kheva Pirata w tej właśnie sytuacji: uwikłanego w walkę, gdy świt rozciąga już swe panowanie nad rozległym horyzontem Gondwany, zalewając cały kontynent glorią swego blasku, oznajmiając w ten sposób nadejście nowego dnia...

Na początku niewidzialność była dla nich czymś zabawnym i oryginalnym. Wkrótce jednak Ganelon i jego przyjaciele odczuli określone niedogodności tego stanu. Zelobion odkrył na przykład, jak łatwo można uderzyć się w palec, gdy nie widzi się dokładnie ani tego, gdzie postawiło się stopy, ani też, gdzie mogą upaść ciężarki od bloczków takielunku, gdy manipuluje się kołem sterowym. Nagły skok statku, gdy zanurzył się gwałtownie w nurt wiatru ściągnął Srebrnowłosego z miejsca, w którym sprawował wartę i niemal przerzucił go ponad barierką burty, a wszystko dlatego, że olbrzym nie był całkiem pewny, jak blisko balustrady się znajduje. Potem od strony niewidzialnej Arzeeli dobiegł ich pisk, gdy wysoka dziewczyna stłukła sobie kciuk pomiędzy dwoma bloczkami od lin sterujących.

W końcu jednak znaleźli się daleko od całego zamieszania, zaś uwieńczony konturem zamku wierzchołek Svaborgi pozostał daleko za rufą, czarny i wyszczerbiony na tle coraz intensywniejszych blasków świtu. Wkrótce z dziką prędkością pędzili przez nieskończone równiny. Zelobion przypomniał sobie, że w rozmowie piratów podsłuchał coś na temat tego właśnie powietrznego strumienia, który ich niósł.

Wielki Prąd Borogova, jak nazywali go piraci prerii: najszybszy i najbardziej niebezpieczny wichur spośród wszystkich, które były na mapach lądowych nawigatorów Władcy. Zdecydował, że lepiej będzie, jeśli rzuci okiem na mapy w kabinie kapitana, zanim jeszcze popełnią jakiś poważny błąd w żegludze.

Donośnym krzykiem poinformowawszy swoich współtowarzyszy o swych intencjach, Zelobion pozostawił koło sterowe i skierował się ku zejściu pod pokład; spadł niemal ze stromych i wąskich schodków, ponieważ nie widział, gdzie stawia stopy. Arzeela i Ganelon usłyszeli najpierw głuchy huk, potem łoskot, a wreszcie bolesne wycie i oboje uśmiechnęli się. Gdy Zelobion po raz pierwszy poinformował Ganelona o swoim planie, by poczekać aż do chwili, gdy grupy desantowe znajdą się na brzegu, po czym sformułować odpowiednią Wypowiedź, wynalezioną przez jednego z wielkich mistrzów Magii Fonematycznej, słynnego Pantouffleona z Samaru, wydawało się, że pomysł ten jest

znakomity. Jako niewidzialna postać Ganelon będzie mógł odłączyć się od grupy szturmowej Kheva i powrócić na pokład nie zauważony przez osłabioną wartę. Potem będzie mógł uwolnić swoich przyjaciół z kabiny, w której zostali zamknięci, ogłuszyć strażników i przerzucić ich przez balustradę na miękką, soczystą trawę, podczas gdy Zelobion i Arzeela podniosą kotwicę i uruchomią statek. W ciągu ostatnich dwunastu dni dowiedzieli się dużo o tym, w jak szczególny sposób należało kierować lądowymi galerami Władu. Osobliwa natura tych statków, fakt, iż były one sterowane za pomocą lin z obciążnikami, przywiązanych do złożonego systemu ruchomych brasów, fałów i żagli o mniejszej powierzchni, oznaczał, że istotnie było możliwe sterowanie całym statkiem przez dwóch lub trzech ludzi. Właśnie to nasunęło sprytnemu, sędziwemu Magowi z Karchoy jego pomysł: poczekać do chwili, gdy znajdziemy się pod murami Svaborgi (jak szeptał w napięciu podczas jednej z tych prowadzonych półgłosem przy balustradzie rozmów z Ganelonem po kolacji), potem uczynię wszystkich nas niewidzialnymi i uciekniemy wraz ze statkiem.. Wyglądało, iż jest to takie proste! I rzeczywiście, okazało się proste. Jednak Zelobion nie zatrzymał się w swym rozumowaniu ani przez chwilę, by uświadomić sobie nieco bardziej odległe i skrajne konsekwencje tego planu. Rzeczywiście, prawdą było, iż takielunek złożony z obciążonych lin i bloczków sztagowych istotnie pozwalał tak niewielu ludziom, jak ich trójka, pilotować całego „Niszczyciela”. Jednak było prawdą także i to, że żadna osoba z tej trójki nie mogła opuścić swego stanowiska nawet na chwilę, pod żadnym pozorem, w przeciwnym bowiem wypadku statek mógłby dosłownie oszaleć! Ryk Ganelona wyciągnął z kabiny gotującego się z wściekłości Zelobiona z powrotem na pokład z garścią pełną map powietrznych prądów. Kołysząc się na rozstawionych nogach i potykając się co chwila wszedł na górę po stromych schodkach, by odkryć, że galera zbacza z kursu w kompletnie dzikim kierunku, porwana gwałtownym chwytem szalejącego huraganu, zwanego Wielkim Prądem Borogova. Mag był zmuszony upchnąć mapy za paskiem i schwycić system lin, równoważonych przez jarzmo koła sterującego w ten sposób, że tworzyły coś w rodzaju niezgrabnej harfy. Został tam, jak przykuty łańcuchem do swego stanowiska, przez nie kończące się, wyczerpujące godziny.

Nadszedł świt. Niebo wypełniło się blaskiem. Słońce wspinało się nieustannie po błękitnym nieboskłonie. A oni wciąż pędzili. Wtedy ujrzeli za rufą długi szereg czarnych obiektów, które ich ściagały. Czy byli to współtowarzysze z eskadry Kheva, żeglujący w ślad za swym - jak sądzili - uciekającym kapitanem? Czy też statki piratów z eskadry Zadko, ścigających okręt, który - jak oni z kolei sądzili - jest pod dowództwem Kheva, zmykającego z pola walki z łupem, ukradzionym flocie poborców podatków? Lub - najpewniej może - statki pościgowe Svaborgi, pędzące za oddalającymi się łotrami, na tyle bezczelnymi, by zaatakować ich fortecę, żeglujące w pośpiechu, żeby ukarać piratów, którzy próbowali zagarnąć skarb Imperatora i porwać przemocą Różę Svaborgi? Niezależnie od tego, kimkolwiek mogliby okazać się ludzie, którzy ich ścigali, nasi bohaterowie nie mieli czasu, by zatrzymać się i sprawdzić. Ponieważ czarne kadłuby statków nie dogoniły ich i w końcu, około południa, skręciły, pogrążając się w niewidzialnych, odległych obszarach, nigdy nie poznali, kim są. Okazali się w każdym razie mądrzejsi i ostrożniejsi niż niewidzialni żeglarze, ponieważ nie odważyli się pogrążyć w pędzących wichrach Strumienia Borogova. Oni wiedzieli lepiej.

Prąd ten rozpoczynał swój bieg w odległości równej połowie obwodu Ziemi od Równin Władu. Na początku był łagodnym wietrzykiem, który unosił się nad wielką rzeką i wraz z nią przedostawał się, jakby tunelem, przez przełęcz górską na otwartą równinę. Na obszarze dziesiątków tysięcy kilometrów wietrzyk ten wiał dalej, wzmagany przez zasilające go powiewy. Na jego drodze nie

wyrastały żadne góry, pagórki czy lasy, żadne płaskowyże czy miasta, które mogłyby powstrzymać jego bieg. Nie powstrzymywany, stopniowo zwiększał swą prędkość, przekształcał się z łagodnego powiewu w ryczącego potwora - wicher, który pędził prosto i niezachwianie, jakby ku niewidocznemu celowi, przez połowę świata. Porywał i ciągnął ze sobą każdy kołowy statek z Równin, który odważył się dostać w jego nurt.

Gdy tak płynęli na pędzących kołach ponad powierzchnią ziemi, czuli, jak cała konstrukcja statku dygocze i skrzypi pod nimi. Zelobion trzymał żagle, redukując do rozsądnych rozmiarów obszar płótna, który chwycił w siebie furię huraganu. Mimo to wciąż gwałtowne spazmy torturujących statek napięć przebiegały z trzaskiem po jego kadłubie i całej konstrukcji statku, zrobionej z przypominającego balsę drzewa. Zelobion wiedział, że „Niszczyciel” nie będzie mógł długo wytrzymać takiego traktowania.

Prawdę mówiąc, oni także nie byli w stanie tego wytrzymać. Wkrótce nastąpiło popołudnie. Czar niewidzialności, rzucony na nich siłą Dziewiątej Wypowiedzi Przejrzystości Pantouffleona stopniowo zaczął się zużywać. Niczym upiory, wylaniające się z powietrza, ich zwykłe ciała odzyskiwały widoczność; początkowo były to zamglone kontury, potem subtelne zniekształcenia falującego powietrza; kawałek po kawałku odbudowywała się cała obfitość różnorodnych kolorów, by wreszcie stali się wszyscy wyraźni, mocni, solidni - ponownie widzialni.

Wtedy zaczęli pracownicy wyplątywać się z pazurów Wielkiego Prądu Borogova. Kawałek po kawałku redukowali powierzchnię żagli. Udało im się odchylić dziób statku o jedendwa rumby w kierunku północnym. Wiatr, który dał wzdłuż opływowego wygięcia kadłuba statku, zaczął poruszać ich ukośnie przez powietrzny prąd. Szturchające ich okręt uderzenia wichury rozchodziły się drżeniem po całym kadłubie. Górne brasy jęczały z wysiłku; drewno rozszczepiało się; mniejsze maszty trzeszczały i jęczały złowieszczą na skutek napięcia nie do wytrzymania. Stopniowo jednak uwolnili się z głównego nurtu i znaleźli się wśród otaczających go, łagodnych prądów bocznych. Późnym popołudniem „Niszczyciel” zatrzymał się ze zwiniętymi żaglami, zaś jego kotwica została solidnie zahaczona w miękkiej, elastycznej darni. Cała załoga mogła odpocząć, opuszczając utrudzone dłonie; zaczęli jeść i pić bez opamiętania, uzupełniając ubytek energii. Potem zasnęli na pokładzie, zdrowym i głębokim snem sprawiedliwych.

Kiedy obudzili się i zjedli śniadanie przy świetle brzasku kolejnego dnia, Zelobion spróbował wydobyć jakiś sens z prowadzonego przez siebie kalendarza. Robił go w ten sposób, że zawiązywał węzły na zwisającym mu po obu stronach szyi powrozie szaty, gdy zaś cały powróż był już zajęty, odwiązywał je i zaczynał wszystko od początku, wiążąc równocześnie jeden duży supeł, odpowiadający każdemu dziesięciu minionym dniom. Zgodnie z tym prymitywnym, lecz użytecznym kalendarzem, był właśnie pierwszy dzień miesiąca Ungol. Sześć tygodni i pięć dni temu Zelobion wraz ze Srebrnowłosym wyruszyli z bram Karchoy i skierowali się na południe, ku Pandelor i Mówiącemu Statkowi. Przebyli niezwykle dużą odległość po potężnym superkontynencie Gondwany. Wedle tego, co mógł odtworzyć na podstawie map, które studiował w Karchoy a potem stracił w Piomie, a także żeglarskich map znajdujących się na „Niszczycielu” podróż ta do tej pory przeniosła ich na odległość dwudziestu dwóch tysięcy pięciuset kilometrów. Był to rezultat zaiste zadziwiający! Pokonanie takiego dystansu na piechotę trwałoby wiele miesięcy lub nawet lat. Przyczyną uzyskania przez nich tak dobrego rezultatu mogła być - jeśli nie była faktycznie - seria szczęśliwych zbiegów okoliczności. Pierwszym z nich było zaokrętowanie się na pokład Mówiącego Statku „Mannan MacLear”. W ciągu trzytygodniowej podróży atomowym statkiemrobotem pozostawili za rufą całe

tysiące kilometrów, co było skutkiem niezwyklej szybkości, rozwijanej przez ten okręt. Następnym szczęśliwym zrządzeniem fortuny był zakup przez Arzeelę gigantycznych latających grydonów, na których grzbietach udało im się uciec z Piomy, zamiast powolnych ornithohippusów czy sagamirów. Wielkie, pędzące w powietrzu jastrzębie przeniosły ich przez przerażającą dziedzinę Wibrującej Krainy; wędrówka lądem wokół tego olbrzymiego, rakowatego trzęsawiska zajęłaby prawdopodobnie wiele tygodni. Trzecim szczęśliwym wydarzeniem okazało się schwytanie podróżników przez piratów prerii z Domovoy. W ciągu jedenastu lub dwunastu dni te rącze lądowe statki przeniosły ich przez szepczące trawy na odległość wieluset kilometrów w kierunku zachodnim - a zatem dokładnie tam, gdzie znajdował się cel ich podróży!

Znajdowali się teraz w odległości „zaledwie” około sześciu tysięcy kilometrów od Vandalexu. Posiadali też swój prywatny jacht, który mógł dosłownie nieść ich ze sobą tak szybko, jak sam wiatr!

Żeglowali dalej. Mijały dni, a za rufą pozostawały dziesiątki, potem setki kilometrów. Podróżując teraz z mniejszą prędkością mogli uwiązać liny wantowe w jednym miejscu na wiele godzin, co uwolniło trójkę poszukiwaczy przygód od niewolniczego przykucia łańcuchami do lin sterujących. Spędzali zatem długie, wiosenne dni na pokładzie żeglującego wciąż statku, zajmując się różnymi pracami. Gahelon ostrzył i polerował swój bułat oraz reperował swą połamaną w wielu miejscach zbroję przy pomocy przyborów, które znalazł w składzie bosmańskim statku. Zelobion doprowadzał do porządku swą brodę, która zamieniła się w zapuszczony, zielony gąszcz zasłaniający większą część jego twarzy. Ponieważ jego szara szata maga była już tak poszarpana, że przypominała kupę łachmanów, wybrał sobie nowy strój z zapasów, które pozostawili piraci. Jego nowa odzież była praktycznym kostiumem, o wiele za dużym jak na kościstą budowę jego ciała, czuł się jednak w nim wygodnie, zaś kieszenie tego kostiumu okazały się bardzo pojemne. Arzeela wyglądała na przygnębioną. Coś nie dawało jej spokoju. Przenikliwy wzrok Maga z Karchoy dostrzegł powłóczyście, jakby usychające z tęsknoty spojrzenia, które rzucała na ich dzielnego młodego współtowarzysza wtedy, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi. Odnajdywała okazje, by w nocy pozostawać z Ganelonem sama na pokładzie, gdy Zelobion już kładł się do łóżka, zaś olbrzym sprawdzał umocowanie lin wantowych, ostatni raz przed pójściem spać. Pewnego razu, gdy Zelobion niespodziewanie podszedł do niej, szlochała w szalonym poczuciu opuszczenia, zaś jej nagie ramiona i całe jej wysmukłe ciało wstrząsane było torturą łkań, a twarz, skrzywiona cierpieniem, mokra była od łez.

Poczuł wtedy niepokój niemal na granicy mdłości. Znał te symptomy. Można nawet powiedzieć, że częściowo ich oczekiwał. Jednak teraz, gdy w końcu się pojawiły, był dziwnie bezradny na myśl o stawieniu im czoła.

Bowiem Arzeela pokochała Ganelona Srebrnowłosego miłością dziką i namiętą. I nie wiedziała jeszcze, że nie jest on ludzką istotą, lecz stworzonym przez Bogów Czasu, bezdusznym Konstruktem!

13. LATAJĄCE MIASTO

To musiało się stać wcześniej czy później. W nocy zerwała się główna lina wantowa. Jeden z mniejszych żagli sterujących przesunął się na nową pozycję. Powoli, w ciągu całych godzin podróży, „Niszczyciel” ponownie wśliznął się w niebezpieczny nurt Prądu Borogova. Od wielu już dni podróżowali równolegle do tego olbrzymiego powietrznego strumienia. Wystarczyło zerwanie zaledwie jednej cienkiej liny, jedno obluźowanie żagla, i wkrótce zostali wessani w sam środek szalejącego huraganu tego superwiatru. Ganelon przebudził się, zaalarmowany reakcją swoich nadludzkich zmysłów. Przez chwilę nie czuł wokół siebie żadnych niepomyślnych symptomów; potem jednak rozpoznał mdlące uczucie trwogi, spowodowane przez bolesne drżenie całej konstrukcji statku. W tej samej chwili, gdy zmroziło go przerażenie, zaś wiedza o ich położeniu wsączyła się w jego żyły niczym mocne wino, usłyszał przerażający trzask rozszczepiającego się, rozłupującego, a wreszcie łamiącego się drzewa. „Niszczyciel” przez długą, przyprawiającą o dreszcz zgrozy chwilę zbaczał z dawnego kursu, niemal przewracając się kadłubem do góry, a potem powoli obrócił się żaglami ku głównemu strumieniowi wiatru.

Dwoma gigantycznymi skokami Ganelon pokonał schodki na pokład, równocześnie wydając z siebie ryk, by obudzić Arzeelę i Zelobiona. Będąc na pokładzie stwierdził, że stało się już najgorsze. Wielki Prąd Borogova stawał się stopniowo coraz silniejszy w ciągu tych długich dni od czasu, gdy wymknęli się z jego uścisku. Teraz zaś schwycił on wysmukły statek prerii w swe szpony i miotał nim, pchając wciąż do przodu z przerażającą szybkością. Wielkie koła „Niszczyciela” obracały się w szaleńczym tempie. Nozdrza Ganelona wyczuły okropny swąd i po chwili wiedział już, czując dreszcz przerażenia, że to oś zapaliła się od samego tylko tarcia! Do redukcji tarcia kół o ich łożyska służył oleisty smar, destylowany z pewnych rodzajów żywicy drzewa bombacaceous. Jednak przy tak straszliwie zwiększonych prędkościach, jak te, z którymi pędzili od nieokreślonej ilości godzin, smar najwyraźniej wyparował. Już za kilka chwil mogli znaleźć się na płonącym okręcie, schwytanym w sam środek ryczącego huraganu!

Skoczył w kierunku lin w tym samym momencie, gdy oderwał się kolejny fragment żagla, porywając ze sobą ułamaną reję. Żagiel zerwał się i zniknął za ich rufą niczym jakiś niezdarny, łopoczący skrzydłami, gigantyczny nietoperz. W głównym maszcie pojawiło się ze złowieszczym trzaskiem długie, czarne pęknięcie. Liny uwiązane do koła sterowego były wciąż stabilne, ale boczne wanty zerwały się już, splątały i zaczynały właśnie odlatywać ze statku.

Pokład był jednym wielkim wirem. Ciemność zaległa ponad ziemią, zaś czarne chmury mknęły przez monstrialne oblicze Spadającego Księżyca, który spozierał jakby z góry na swych maleńkich przeciwników, radując się złośliwie ich klęską. Wszystkie luźne, nie przymocowane przedmioty zostały zmiecione z pokładu statku. Część tylnej balustrady pokładu urwała się pod wpływem uderzenia fruujących przedmiotów. Wielka masa niewłaściwie upakowanego takielunku, odrywając

się, zabrała ze sobą jedną ze znajdujących się na rufie kajut - to był ten ogłuszający trzask, który usłyszał Ganelon, gdy pod pokładem zerwał się ze snu.

Próbując walczyć z wiatrem, trójka poszukiwaczy przygód rzuciła się do lin przy kole sterowym. One właśnie sprawowały kontrolę nad głównymi żaglami. Być może mając szczęście, cierpliwość i umiejętności, będą w stanie wysliznąć się z uchwytu głównego nurtu, tak jak uczynili to przedtem. Walczyli ze śpiewającymi od napięcia linami w ciągłych uderzeniach wiatru, który porywał słowa z ich ust nawet wtedy, gdy rykiem próbowali przekazywać sobie porady - wiatru, który wręcz wysysał powietrze z ich płuc, gdy próbowali złapać oddech. Ich oczy łzawiły pod wpływem piekającej chłosty wiatru, a cały świat wokół nich stał się pędzącą plamą zmieniającego się wciąż światła i mrocznych cieni chmur, które pędziły ponad pokładem, w świetle księżyca wydając się jakby dotykalne, a także gromowym rykiem napinających się i drących na strzępy żagli...

...Po chwili nowa nuta dołączyła się do tej symfonicznej furii wichrów. Dotarły do nich dziwne, nieziemskie tony muzyki - niesamowite, rosnące brzęczenie, jakby odgłos jakichś tajemniczych eolskich harf, których naprężone do ostatecznych granic struny śpiewały w zetknięciu z pocałunkiem pędzącego wichru - rosnące, coraz głośniejsze brzęczenie, które wydawało się wypełniać cały nocny nieboskłon ponad nimi, niczym pieśń dziesięciu bilionów superpszczoł lub płacz miliardów kamiennych harf pod palcami jakichś tytanicznych wirtuozów...

Zelobion zaczął wyć! Na białej masce, którą była teraz jego twarz, malowała się ekstaza... jednak Ganelon nie mógł zrozumieć frazy, którą sędziwy Mag wywrzaskiwał raz za razem z pijaną radością... Potem rzucił spojrzenie przed siebie, mrużąc oczy przed piekącymi porywami wiatru... i ujrzał gigantyczny rząd wysokich stalowych kolumn, który rozciągał się poprzez ogarnięty ciemnością nieboskłon wprost na drodze ich pędzącego dziko statku...

Po chwili zrozumiał ryk radości, który wydobywał się z gardła Zelobiona - „PRZEDMURZA VANDALEXU!” - i złapał mocno napinające się liny, schwycił smukłą talię Arzeeli w półkole swych mocarnych ramion dokładnie w tym momencie, gdy maszt złamał się i cała trójka poleciała do góry, pociągnięta przez unoszący się w powietrze żagiel... zaś „Niszczyciel” wpadł prosto na ostry niczym nóż brzeg jednego ze słupów... dosłownie eksplodując, przekształcając się w chmurę połamanego drewna unoszącą się w powietrzu... I poczuł gigantyczny, unoszący wszystko powiew wiatru... poczuł, jak coś z olbrzymią siłą unosi go do góry... bystry pęd poprzez ciemność... straszliwie silne uderzenie, które wstrząsnęło nim do szpiku kości... potem ciszę, ciemność, całkowitą nieobecność wiatru, gdy tonął jakby w jakiejś miękkiej ciemności... a potem nie wiedział już kompletnie nic, gdy opuszczała go świadomość...

Arzeela przywarła do niego, z ramionami zaciśniętymi wokół jego talii, gdy z wysiłkiem odzyskiwał świadomość. Dziewczyna szlochała i histerycznie wołała go po imieniu, zaś jej wilgotny od łez policzek znajdował się naprzeciwko jego twarzy. Zamrugał oczyma, budząc się jakby z głębokiego snu, a ona wydała stłumiony okrzyk widząc, że się poruszył.

- No już, dziewczyno - powiedział burkliwie, uwalniając się z jej ramion i dźwigając się na nogi.
- Czy wciąż żyjemy, czy to Królestwo Duchów, o którym paplają kapłani?

- My żyjemy - powiedział sędziwy Mag oschłym tonem. - Ale nie byliśmy tego pewni, jeśli chodzi o ciebie - bo byłeś na dole, kiedy spadliśmy na ziemię!

- To tłumaczy, dlaczego czuję się jak jeden wielki, chodzący siniak - stwierdził Srebrnowłosey, słaniając się na nogach i rozglądając się wokół. Wszędzie panowała ciemność; Spadający Księżyc skrył się za grubą pokrywą chmur; świeciły jedynie srebrzyste obwódki wokół nich, rzucając słaby

poblask na otaczające ich przedmioty.

Gdy lądowa galera rozbiła się o rząd metalowych słupów, trójka podróżników znajdowała się na wantach. Statek roztrzaskał się na części pod ich stopami i silny prąd wstępujący uniósł żagle główne, olinowanie, oraz całą trójkę w górę. Falujące w podmuchach żagle, gdy znalazły się poza ciągnącym je w górę prądem, ponownie osiadły na ziemi, jednak zabłąkane porywy wypełniły je niczym wzdymającą się czaszę spadochronu i lądowanie całej trójki okazało się względnie łagodne. To znaczy, że nie połamali sobie kości, chociaż siła uderzenia o powierzchnię ziemi ogłuszyła ich, wstrząsnęła nimi i posiniaczyła.

Wyglądało na to, że kolumny wznoszą się na szczytach łańcucha stromych pagórków. Po drugiej ich stronie grunt opadał gwałtownie, tworząc głęboką kotlinę, ukrytą przed burzliwymi porywami wichru, wiejącego na Wielkich Równinach. Tu powietrze było względnie spokojne, chociaż powierzchnia ziemi poznaczona była licznymi cieniami atramentowej barwy. Ganelon z żywym zainteresowaniem rozglądał się wokół, równocześnie oglądając liczne rozcięcia na swej skórze, siniaki oraz otarcia mięśni. Światło księżyca połyskiwało słabo na gigantycznym szeregu kolumn, które brzdąkały i brzęczały na nieustannym wietrze.

- Właściwie po co są tam te przedmioty? - spytał Srebrnowłosa. Zelobion wzruszył ramionami.

- Fezyjscy Technarchowie, którzy rządzą Vandalexem podczas Eonu Latających Miast, próbowali uzyskać energię z wielu różnych źródeł. Rozwinęli oni różne mechaniczne systemy i nauki od dawna już zapomniane przez cywilizacje, które rozwinęły się po nich. Niewątpliwie te metalowe kolumny są jakimiś urządzeniami do pozyskiwania kinetycznej energii wytwarzanej przez wichry o tak wielkiej prędkości... Arzeela wyleczyła się już ze swej hysterii, widząc, że Ganelon żyje. Wycierając oczy, płaczącym głosem spytała:

- Jakiej energii?

- Kinetycznej; energii produkowanej przez materię, która jest w ruchu. Im szybszy ruch, tym silniejsza energia. A może chodzi o to, że te wieże wykorzystują w jakiś sposób energię wytwarzaną przez tarcie tych wichrów o niezmiennym kierunku. Nie ma to większego znaczenia.

Wszędzie wokół nich, na zalanej ciemnością równinie majaczyły enigmatycznie jakieś nieznane kształty, których konturów dotykał tu i ówdzie ruchomy poblask księżyca.

- A więc to jest Vandalex! Prawdę mówiąc, to dziwne miejsce - skomentował Ganelon. Zdecydowali się wejść na równinę. Żalowali, że ich statek został zniszczony. Wszystko, co było na nim i wewnątrz niego, zostało rozproszone przez moc wichru, gdy rozbili się o kolumny przedmurzy Vandalexu pod koniec podróży przez Równiny Wład, podczas której pokonali około trzydziestu tysięcy kilometrów. Powietrzne zawirowania bez wątpienia rozproszyły statek i wszystko, co się w nim znajdowało, na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych. Wiele tych fragmentów prawdopodobnie wciąż jeszcze leciało, rozrywanych pomiędzy jednym a drugim porywem, niczym zabawki w rękach figlarnych gigantów. Jedzenie, woda, koce do spania - niczego z tych rzeczy nie udało się ocalić. Szli zatem dalej na piechotę poprzez ciemność. Był już świt, gdy dotarli do centralnego punktu równiny. Dziwna, brzęcząca pieśń, którą śpiewały na wietrze kolumny - dźwięk przypominający odgłos gigantycznego kamertonu - zagasł za ich plecami, ustępując miejsca gęstej ciszy.

- Dlaczego ich eon tak się nazywał? - spytał Ganelon po jakimś czasie. - Czym są Latające Miasta? I znów Zelobion wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Być może Fezyjczycy znali jakąś sztukę, dzięki której ich

miasta mogły zostać uwolnione od zależności wobec ziemi i unosiły się w powietrzu niczym metalowe obłoki. Wierzę, że zobaczymy wiele cudów teraz, gdy jesteśmy już w Vandalexie.

Obydwa te stwierdzenia okazały się prorocze. Nim nad krawędzią zwieńczonych kolumnami pagórków zapanował w pełni świt, przypuszczenie Zelobiona co do Latających Miast okazało się prawdziwe. Na wysokości około pół kilometra nad powierzchnią ziemi, nieruchoma niczym mucha zatopiona w twardym bursztynie, wisząc w powietrzu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, błyszczała w promieniach słońca gigantyczna konstrukcja z metalu i kryształu. Miała wielkość niedużego miasta i typowo wojenne wyposażenie, którego tajemnicze kształty połyskiwały wokół całego konturu: płaskiego owalnego dysku ze stali, z którego wyrastał pogmatwany splot różnych struktur: dróg, smukłych jak igły wież i innych budowli.

Stanęli jak wryci, czując wędrujące po skórze dreszcze, wywołane dziwnością tego zjawiska, gapiąc się nań niczym wieśniacy, którym opadają szczęki, gdy po raz pierwszy widzą olbrzymią metropolię.

- Dlaczego to nie spada? - spytała Arzeela lękliwie.

- Zwróć uwagę na stan, w jakim to się znajduje - wymamrotał Zelobion. - To Wojenne Miasto, jedno z wielu użytych w walce przeciwko Głównym Obrońcom Tringu w wojnach dynastycznych Porsenny i Radelonu. Niewątpliwie zostało tu umieszczone w czasie ostatniej, rozpaczliwej walki w obronie ich Fezyjskiej Ojczyzny.

Martwe miasto wisiało przed nimi niczym lewitujące ciało nieboszczyka. Mniej więcej w połowie jego półokrągłego kadłuba ział straszliwy otwór o średnicy prawie kilometra... tak, jakby coś w rodzaju znaku przestankowego, jakiejś gigantycznej kropki, pozostawionej w górach przez olbrzymów, zostało wyrwane z ziemi i ciśnięte w stronę Latającego Miasta z prędkością meteoru. Jednak poddając ją dokładnemu oglądowi można było się przekonać, iż nie jest to wyrwa spowodowana przez pocisk. Jakaś żrąca fontanna ognistej siły wypaliła ten ziejący jak rana otwór. Mogli dokładnie dostrzec miejsca, w których metalowa powierzchnia wież, kopuł i ścian miasta poddana została działaniu wielkiej temperatury. W miejscach tych twarda stal spływała niczym woda. Jedną z bocznych części miasta była całkowicie wytrawiona, pozostały jedynie stopione strumyki, niczym nacieki i kałuże stearyny w pobliżu knota świecy. Jakakolwiek nieznaną umiejętność spowodowała, iż miasto stało się nieważkie, mechanizm ten wciąż działał: całe tysiąclecia zdążyły rozkwitnąć i pogrzyźć się w niepamięć, a martwa cytadela wciąż wisiała ponad równiną, niczym odwieczny strażnik wschodnich granic Vandalexu. Ruszyli dalej poprzez zalaną blaskiem świtu równinę, pełną tajemnic. Dziwne, poskręcane wieże sygnałowe chyliły się ku upadkowi lub leżały na ziemi, zaś ich martwe latarnie były ośleplę niczym oczy trupów. Wojenne roboty niczym samobieżne, stalowe domy na gąsienicowych bieżnikach leżały wszędzie wokół, przewracane na równinie popiołów, tak, jakby jakieś gigantyczne dziecko gwałtownym ruchem rozrzuciło wokół swe zabawki i powędrowało dalej.

Powierzchnia gruntu była porożłupywana, zryta w zamierzchłych stuleciach wąwozami o spadzistych brzegach przez snopy energii o niewyobrażalnej sile. Obserwując je, widzieli wędrujące zygziem ścieżki tych snopów, tak, jakby przeszywały one równinę w pościgu za wymykającymi się im, kluczącymi pojazdami pełnymi uciekających żołnierzy. Spustoszenie, rozprężenie i destrukcja, które tu panowały, były przerażające - niczym dzieło bogów, którzy oszaleli ze starości, pijani oparami' masakry i szaleńczą żądzą śmierci. Niektóre z wyniosłych metalowych kolosów były, pomimo upływu stuleci, wciąż sprawne. Jeden z potężnych czołgówrobotów, którego kopulaste,

zaokrąglone cielsko było purpurowe od rdzy, wyglądającej jak zaschnięta krew, i którego wieżyczki bojowe majaczyły na wysokości ponad dwudziestu metrów nad ziemią, obrócił ku nim swe martwe działa, gdy się zbliżali. Światłoczułe soczewki zajaśniały migotliwie, a oni stężeli z przerażenia. Trzeszczący, mechaniczny głos ryknął na nich:

- Bzzz! Stać, intruzi, albo ta krrrk jednostka będzie strzelać. Uwaga, ruchome stanowisko dowodzenia! Jednostka 67399376 sygnalizuje pojawienie się w swoim zasięgu obcej grupy uderzeniowej. Oczekuję na wasze instrukcje... bziit!

Nie śmieli nawet się poruszyć. Światło za soczewkami przygasło i zzarte przez rdzę działa ponownie opadły bez życia. Jednak gdy się poruszyli, światła za soczewkami ponownie rozblęły, działa unosły się, a trzeszczący głos znów przemówił:

- Grrrrk! Stać, intruzi biiiip albo ta jednostka krrrrk będzie strzelać. Uwaga, ruchome stanowisko dowodzenia...

Czołg znów powtórzył ten sam fragment tekstu, po czym znieruchomiał. Zignorowali go i poszli dalej, pozostawiając biedny mechanizm, by mógł dalej bronić granic, których nikt już nie zamierza oblegać... by mógł wiecznie oczekiwać rozkazów otwarcia ognia, które nigdy nie nadejdą...

Wczesnym popołudniem dotarli do miejsca, z którego widać było Wielki Fez. Potężna metropolia, serce Vandalexu, stolica Technologicznego Imperium Fezyjczyków, przypominała zwiędłą, osiemdziesięcioletnią wiedźmę, która w swej młodości była kurtyzaną o legendarnej piękności, szlachetną ruinę, wspaniałą nawet w stanie rozpadu.

Dawno wymarli Fezyjczycy umieli budować. Jako podstawowego materiału w budownictwie używali niezniszczalnego metalu o nazwie zerium; choć w ciągu setek lat dynastycznych wojen, w których używano broni o nieprawdopodobnej sile niszczenia, miasto zostało roztrzaskane i było teraz dość żalną masą połamanych ruin. Jego mury i kopuły, ulice i wieże, pochylnie i autostrady wciąż połyskiwały jasnym i świeżym blaskiem, nie nadzarte przez rdzę i nie rozkruszone przez całe stulecia działania niszczycielskiego Czasu. Tylko tam, gdzie Fezyjczycy używali korodującej stali i innych stopów żelaza - tak, jak w wypadku czołgurobota, który rzucił im wyzwanie na równinie - wiek naruszył jasny metal, zamieniając go w rdzę.

Szli tak całymi godzinami, przejęci grozą, poprzez pustynię zrujnowanej świetności. Rozległość tego miasta i jego wysokość wystarczyła, żeby sparaliżować ich wyobraźnię. Same peryferie pojedynczego przedmieścia były tak duże, jak czarnożółte miasto Karchoy należące do Zelobiona i miasto portowe Pandelor razem wzięte. Serce tej potężnej metropolii, gdy dotarli do niego wczesnym wieczorem, okazało się niewyobrażalnie wielkie.

Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, widzieli błyszczący metal, pogruchotany kryształ, pokryty pyłem plastik, połyskującą wieloma kolorami ceramikę i pokruszony cement. Nigdzie nie rozkwitał żaden kwiat, nie rosła trawa, żadne drzewo nie chyliło się w porywach wiatru. Natura zrzekła się Vandalexu, pozostawiając supercywilizację białej gorączce wojny. Na kolosalnych górach gruzów nie można było dostrzec nawet dzikiego psa, czy siedzącego na gnieździe ptaka. Zdecydowali się zanocować w rotundzie gigantycznej wieży, ściętej przez świetliste promienie jakiejś kosmicznej, destrukcyjnej siły na wysokości około dziewięćdziesięciu metrów nad podstawą. Brzegi tego cięcia były ostre jak brzytwa. Metal nie spływał tu nigdzie stopionymi strumyczkami; żadne supergorące promienie, przypominające te, które zadały śmiertelny cios Latającemu Miastu na równinie, nie przedzierały się przez tę niebotyczną konstrukcję. Mogli jedynie domyślać się, że twarde, solidne zerium zostało natychmiast przetransformowane w lotny gaz. I zadrżeli na myśl o tak destrukcyjnej

sile.

Rotunda była rozległa, a głos odbijał się w niej echem; pełna rozgałęziających się korytarzy, które wiły się niczym węże we wszystkich kierunkach, zaś ich gardziele wypełniała dziewicza ciemność. Nikt nie byłby w stanie powiedzieć, dlaczego wybrali na miejsce noclegu właśnie ten zakręt rozległego muru. Równie dobrze mogliby spać na jednej z ulic lub podniebnych spiral autostrad, ponieważ nie obawiali się żadnych dzikich bestii lub wrogich sobie ludzi, zaś pogoda była ładna, a temperatura umiarkowana. Zdecydowali jednak, że będą spać właśnie tutaj. Siłą rzeczy położyli się do snu z pustymi żołądkami, ponieważ w ruinach nie znaleźli żadnej żywności ani wody.

Genelon zwinął swój płaszcz, robiąc z niego poduszkę dla Arzeeli. Wojowniczką pozostawała przez cały dzień blisko niego, rzadko odzywając się, rzadko oddalając się od jego boku, rzadko odrywając oczy od jego twarzy i całej postaci. Czuł się w niejasny sposób zakłopotany intensywnością spojrzenia jej śmiałych, zielonych oczu i nie wiedział dlaczego Arzeela go obserwuje, ani też dlaczego powinno go to niepokoić. Coś ją trapiło i znajdowała przed tym schronienie w niemej ciszy. Wkrótce jednak znalazł inne problemy, z którymi musiał się zmierzyć, ponieważ gdy usiadła, patrząc z jakąś niemożliwą do odczytania emocją płonąca w jej milczących i smutnych oczach, oczy te rozszerzyły się nagle i dziewczyna krzyknęła ostrzegawczo przenikliwym głosem.

Odwrócił się i zobaczył trzy wysokie, metalowe postacie, które sunęły w ich stronę po podłodze rotundy na wydających szumiący odgłos, gumowych bieżnikach. Wyciągnął swój bułat z przewieszanej przez ramię pochwy i zwięźle ostrzegł swych współtowarzyszy, by się gdzieś schronili. Potem zajął pozycję i oczekiwał na przyjazd maszyn.

Nie były to półmartwe maszyny, tak jak rozpadający się kolos, który rano rzucił im wyzwanie na równinie. Ci strażnicy byli w dobrym stanie technicznym. Unosił się wokół nich swąd oleju maszynowego; ich metalowe kadłuby były wypolerowane i wyczyszczone do połysku; ich soczewki wizyjne świeciły jasnym blaskiem. Maszyny te przypominały wysokie, okrągłe cylindry o dużej średnicy i wysokości około trzech i pół metra, poruszające się na dużych, amortyzowanych kołach. Mackowate kończyny z połączonych ze sobą metalowych pierścieni zwisały z ich boków, zaś mniejsze minikończyny wystawały z przedniej części korpusów; te ostatnie wyposażone były w różne zakończenia, przypominające jakieś narzędzia.

Podjechały do nich i zatrzymały się gładko w odległości kilku metrów od trójki poszukiwaczy przygód. Ten spośród cylindrycznych robotów, który był na przedzie, przemówił do nich świeżym i rześkim, metalicznym głosem, czystym i precyzyjnym, odmiennym od trzeszczących, jakby odtwarzanych z taśmy wypowiedzi zżartego przez rdzę czołgurobota.

- Trójka obcych intruzów będzie towarzyszyć tym jednostkom - powiedział cylindryczny robot. - Technarcha rozkazał, by zostali oni natychmiast doprowadzeni przed Jego Oblicze.

- Zelibion! Co możemy zrobić? - spytał Ganelon szorstko, stłumionym głosem. - Spróbujemy walczyć, czy pójdziemy z nimi, by zobaczyć, co się zdarzy? Sędziwy Mag żuł swoje zielone wąsy w udręce niezdecydowania. Wtedy cylindryczne roboty uniosły przednie kończyny i niewielkie, błyszczące urządzenia przypominające latarki.

- Jednostki te są upoważnione do użycia neuronowego paraliżu w przypadku stwierdzenia oporu - oznajmił przywódca cylindrycznych robotów. Szklane soczewki dziwnych broni skierowane były wprost na trójkę podróżników. Lśniły matowo niebezpiecznym blaskiem, niczym posępne oczy węży.

Wyglądało na to, że nie ma żadnego wyboru. Kompletnie żadnego...

14. OSTATNI TECHNARCHA

Z ponurą twarzą i sercem ciężkim od złych przeczuć Ganelon Srebrnowłosa kroczył przez labirynt korytarzy. Arzeła Wojownicza, bez tchu, trzymała się kurczowo jego potężnego ramienia. Będąc absurdalnie komiczną postacią w swoim pstym kostiumie, zrobionym ze źle dopasowanych resztek odzienia piratów, Zelobion Mag szedł zaraz za nimi. Trzy cylindryczne roboty okrążyły ich: jeden szedł przed nimi, dwa pozostały z tyłu.

Nikt nie wypowiadał żadnych słów. Wysokie i okrągłe korpusy cylindrów z błyszczącego metalu i ze świecącymi dziwnym blaskiem soczewkami optycznymi poruszały się szybko na swych miękkich, gumowych kołach, wydających ciągły, świszczący dźwięk na podłogach korytarzy. Same korytarze też były dziwne; nikt z trójki poszukiwaczy przygód nie widział jeszcze nic, co choćby odległe przypominałoby je, oczywiście z wyjątkiem prastarych lecz niezmiennych ruin technologicznej metropolii Vandalexu. Idąc przez korytarze pod strażą robotów rozglądali się wokół z zainteresowaniem.

Po pierwsze, zbudowano je z metalu. Metal zaś rzadko używany był przez ludzi z Gondwany w ostatniej epoce dziejów świata. Nie licząc stopów żelaza, takich jak stal, używanych w większości do wyrobu broni, brązu, mosiądzu i miedzi oraz metali szlachetnych, stosowanych do wyrobu biżuterii i w innego rodzaju zdobnictwie lub przy wytwarzaniu przedmiotów rytualnych, metale same w sobie były najczęściej nieznanne. Przyczyny tego faktu wydawały się oczywiste i proste. Nauka odeszła w przeszłość, gdy zgasła potęga Imperium Vandalexu. Świat w przeważającej części powrócił do prostszych sposobów życia. W niektórych wypadkach była to dzikość i barbarzyństwo, w innych, tak jak w wypadku miastapaństwa Karchoy pod władzą Zelobiona i Khondu - ojczyzny Arzeeli, było to coś na kształt późnej epoki brązu, w ramach której cywilizacja przetrwała tworząc kultury miejskie pod rządami różnych monarchii dynastycznych.

Oczywiste jest, że nie tylko rozwinięcie technik wytwarzania metali takich jak tytan, aluminium czy beryl, ale nawet wynalezienie zastosowań dla nich wymaga istnienia wyrafinowanej cywilizacji technologicznej. Stąd też nasza trójka nigdy nie widziała ani nie słyszała o podobnie rozrzuconym użyciu metali, ani też o samych metalach i ich właściwościach. Ściany, podłoga i sufit korytarzy stanowiły jedną, nieprzerwaną powłokę połyskliwego, szarego metalu najwyraźniej pozbawioną jakichkolwiek spoin, łączących ze sobą poszczególne blachy i innych możliwych do zaobserwowania połączeń. Korytarze nie miały też kwadratowego przekroju ani nie biegły po liniach prostych; te ostatnie cechy są bowiem nieodmiennie znamionami architektury prymitywnej, ponieważ stanowią najprostszy sposób radzenia sobie z trudnymi zagadnieniami przenoszenia ciężaru. Jednak korytarze miast Vandalexu, których łagodne zakręty otwierały się właśnie przed nimi, i których sufity oraz podłogi niezauważalnie łączyły się ze ścianami bez jakichkolwiek ostrych kątów, były okazami najwyższego kunsztu architektonicznego. Gdy posiada się bowiem umiejętność wytwarzania i

wykorzystywania konstrukcji wewnętrznych dźwigarów łącznikowych z tytanu, przenoszenie ciężaru staje się problemem nieistotnym i można zrealizować wszystkie zawarte w planach architektoniczne kaprysy.

Wzdłuż górnych, łagodnych wygięć korytarza, łączących sufit ze ścianami, biegły pasy szklistej, ceramicznej substancji, we wnętrzu której błyszczało łagodnie zogniskowane, chłodne, bezcieniowe światło. To także było przyczyną zdziwienia wędrowców, którzy nigdy nie słyszeli o sztucznym świetle, oprócz wytwarzanego przez magię. Dlatego nawet Zelobion, który zwykł oświetlać swój pałac w Karchoy magicznym promieniowaniem, odczuwał obawę. Bał się narastającego w nim uczucia niezmierniej ciekawości, pragnienia tak silnego, że przekraczającego prawie granicę pożądania - pragnienia, by zbadać tę dziwną rzecz, która nazywa się Nauką...

Korytarze rozszerzyły się w końcu tworząc rozległy, kopulaste sklepiony hali, którego sufit był jakby wielkim, odwróconym kielichem, nie wspartym na żadnych kolumnach. Podłoga korytarzy wyłożona była jakąś czarną, gąbczastą, syntetyczną substancją. Tutaj zaś znajdował się luksusowy, puszysty dywan, połyskujący wspaniałymi kolorami, ułożonymi w geometryczne wzory. Wśród kolorów były trzy odcienie - perłowy, pastelowy i alizarynowy - które dawno już zniknęły z palety barw jakiegokolwiek żyjącego artysty, gdyż fotonowa struktura światła uległa zmianie w ciągu tysiącleci, które minęły od czasów, gdy dywan ten został utkany, i trzy Zaginione Kolory przestały istnieć w widmie dostępnego dla oka promieniowania. Choć starszy niż wiele gór Gondwany i większość jej rzek, dywan wciąż jaśniał świeżymi, nie zblakłymi kolorami. Mógł równie dobrze być utkany wczoraj, ponieważ na jego nienaruszonej i nieprawdopodobnie dużej powierzchni nie można było dostrzec jakichkolwiek oznak starości.

W centrum pomieszczenia hallu wznosiło się podium z połyskliwego ciemnego kryształu. Gdy cylindryczne roboty na swych szumiących, ogumionych kołach prowadziły ich w stronę tego podium, zaobserwowali, że na jego powierzchni znajduje się zrobione z przezroczystego plastiku biurko w kształcie podkowy, za którym znajdował się dziwny fotel, zaś postać, która na nim siedziała, okazała się jeszcze dziwniejsza. Półokrągła powierzchnia biurka była czymś w rodzaju olbrzymiej tablicy kontrolnej, ponieważ pokryta była oślepiającą mozaiką światełek sygnałowych i ekranów czujników, które migotały, błyskały i świeciły jaskrawo jak tysiące klejnotów. Jednak spojrzenie przybyszów przeskoczyło błyskawicznie z zadziwiającej podkowy świateł kontrolnych na istotę, która tronowała w jej centrum.

To był najstarszy człowiek, jakiego widziało którekolwiek z nich.

Ludzkie ciało kurczy się zauważalnie wraz z wiekiem, ponieważ skraca się kręgosłup, mięśnie wysuszają się i zanikają, plecy zaś mają tendencję do pochylania się. Człowiek, który siedział za biurkiem (jeśli był to człowiek) nie miał więcej, niż sto dwadzieścia centymetrów wzrostu, a jeśli można go było do czegoś porównać, to do szkieletu pokrytego cienką warstwą bezbarwnego wosku.

Jego głowa przypominała nagą czaszkę. Nawet pojedynczy kosmyk śnieżnobiałych włosów nie szpecił jej powierzchni, gładkiej niczym kość słoniowa. Twarz pod wyłysiałymi łukami brwiowymi była skurczona i bardzo wyraźnie wystawały z niej kości policzkowe. Wydawała się wysuszona i zwiędnięta, pokryta chyba milionem zmarszczek. Nos wystawał z niej niczym kościsty dziób. W całej tej martwej, suchej, jakby woskowej masce jedynie oczy wydawały się żywe, choć i one były zmaczone, zamglone i matowe.

Ciało, karłowate i wymizerowane, pozbawione było jakiegokolwiek ubrania, co nadawało mu jakby cechy dziecięctwa i niedojrzałości, w ostrym kontraście wobec faktu, iż jego kościstość oraz

mnogość zmarszczek w oczywisty sposób świadczyły o wieku. Postać w fotelu, która patrzyła teraz na nich, była niczym żalosne, małe dziecko, w przerażający sposób wycieńczone przez nieznaną chorobę.

Fotel, na którym to siedziało - początkowo nie byli w stanie wyróżnić jakichkolwiek cech charakterystycznych dla płci, pomimo jego nagości - był potężny i przypominał tron, ergonomicznie przystosowany do ciała jego właściciela, nadmuchiwany, z białą, gąbczastą wykładziną amortyzującą. W konstrukcję tego mamuciego tronu wkomponowany był jakiś system podtrzymywania funkcji życiowych, ponieważ w wielu miejscach wyłaniała się z niego struktura bezbarwnych, plastikowych rurek, podłączona do żył, arterii oraz głównych organów tego karłowatego, nieprawdopodobnie starego ciała. Złożony splot błyszczących miedzią przewodów i plastikowych rur ukazywał się w tym miejscu klatki piersiowej, w którym znajduje się serce; inny wyłaniał się z podbrzusza, prawdopodobnie podłączony do żołądka, wątroby, trzustki i systemu krążenia obwodowego.

Bardzo wiele przewodów wyłaniało się z czaszki i podłączonych było do wysokiego oparcia tronu. Umieszczono je w różnych obszarach motorycznych mózgu, a także w rejonach czuciowych. Jeden ze splotów przewodów (jakkolwiek nasi podróżnicy tego nie wiedzieli, a nawet nie zrozumieliby samego terminu „przewód elektryczny”) dawał zadziwiająco sędziwemu człowiekowi bezpośrednie dojście do potężnego banku informacji sprawnych wciąż komputerów. Roboty doprowadziły ich przed biały tron i tam zatrzymały. Z przedniej cylindrycznej jednostki dobiegł delikatny, furkoczący dźwięk, gdy z górnej części jej kadłuba wyłoniła się radiowa antena. Najwyraźniej automatyczni słudzy tego starożytnego człowieka komunikowali się z nim na wyższych częstotliwościach, niż słyszalna mowa. Szczegółowy raport (w bardzo skondensowanym języku komputerowym) został przesłany do starożytnej postaci, która delikatnie skinęła głową i zagestykułowała niedostrzegalnie skurczem jednej ze swych przypominających szpony dłoni.

Mętne oczy, ukryte głęboko pod wystającymi łukami brwiowymi obserwowały ich mglistym spojrzeniem. Cienkie, bezbarwne, pomarszczone wargi poruszyły się oschle. Z urządzenia głosowego, wbudowanego w cybernetyczne krzesło i podłączonego do mięśni gardła oraz krtani wydobył się elektronicznie wzmocniony głos: spokojny, wyraźny i beznamiętny.

- Niniejszym witam intruzów. Dużo czasu już minęło, odkąd ostatnie obce poselstwo staowało przed Naszym Obliczem. Wnosimy, iż obcy, w trwodze przed niezwykłą mocą armii Vandalexu, w końcu zdecydowali się zmienić swoje stanowisko, wiedząc, iż my nigdy nie zmienimy naszego.

Brwi Ganelona zmarszczyły się w grymasie zakłopotania, a przedstawiony na jego czole emblemat Feniksa poruszył się. Srogie spojrzenie jego czarnych oczu poszukiwało teraz wzroku Zelobiona.

- O czym mówi ten stary człowiek? - mruknął niskim tonem.

Starożytna postać w cybernetycznym fotelu poruszyła dłonią w jakimś szczątkowym geście.

- Cisza! - ryknął beznamiętnie wzmocniony głos. - Stoicie przed Jego Magnificencją Magnusem XXXII i znajdujecie się tu jako petenci na Naszej łasce. Nikt tu nie będzie mówił, dopóki My, Miłościwy Technarcha, nie damy mu swego czcigodnego zezwolenia. Znajdujecie się w obecności Monarchy, okażcie zatem sposób bycia pełen czci, o emisariusze, mimo iż wasi buntowniczy i znieważający Nas mocodawcy takowego nie okazują.

Zelobion chrząknął, rzucił ostrzegawcze zerknięcie na swych współtowarzyszy i przemówił łagodzącym tonem:

- Wybacz, o Magnificencjo, memu zapalczywemu i niedojrzałemu koledze! Nie zamierzał on w żaden sposób uchybić czci szacownej Obecności Technarchy, został jednak zmuszony do swego nieartykułowanego, impulsywnego okrzyku przez czystą obawę i szacunek wobec splendoru tego królestwa.

Słaby grymas, niczym cień wymuszonego uśmiechu, skrzywił zwiędłe mięśnie twarzy starca.

- Wybaczono mu. Wspaniałości naszego Imperium często skłaniają pozbawionych całkowicie technologii Obcych do podobnych wokalnych wyrazów nie kontrolowanej emocji. Jednakowoż, kontynuując: od którego z tak zwanych Głównych Obrońców Tringu wywodzi się wasze poselstwo? Nasi urzędnicy dworscy sprawdzą wasze listy uwierzytelniające w stosownym trybie, jednak musimy się przyznać do pewnej ciekawości dotyczącej tego, który z rebelianckich łotrów, ostatecznie i po tak długim czasie, uległ w końcu nadrzędnym argumentom rozsądku i wyraził pragnienie kapitulacji.

- Cóż, jeśli o to chodzi, ehm... Magnificencjo... my... - Niezdecydowany głos Zelobiona słabł coraz bardziej, podczas gdy Mag gwałtownie przeszukiwał swą pamięć, usiłując przypomnieć sobie coś konkretnego o wojnach dynastycznych, które spustoszyły i zrujnowały Vandalex. Niestety, Eon Latających Miast należał do tak starożytnej historii, że Mag był w stanie przypomnieć sobie bardzo niewiele z faktycznych, politycznych danych na ten temat. Był to jakiś rodzaj walki pomiędzy przeciwnymi sobie blokami militarnymi Porsenny i Radelonu... nie mógł jednak przypomnieć sobie, czy były to nazwy jakichś osób, czy też grup politycznych, filozoficznych a nawet religijnych. A może były to nazwy panujących domów? Nie pamiętał...

Okazało się na szczęście, że nie istniały przyczyny, dla których Zelobion miałby poszukiwać tych wiadomości aż tak gwałtownie. Dobrotliwy i łagodny głos przypominającego mumię szaleńca kontynuował bowiem po niejkiej przerwie:

- Nie istnieje przyczyna, dla której należałoby roztrząsać te dyplomatyczne zagadnienia akurat teraz. Później przedyskutujemy je z wami. Nasze monitory telemetryczne informują Nas bowiem, że doświadczamy zmęczenia - stwierdził ów miękki, spokojny głos. - Nieuzasadnione podniecenie nadmiernie Nas pobudziło. Już w tej chwili Nasze krążenie obwodowe otrzymuje dawkę narkotycznego środka uspokajającego. Wkrótce spożyjemy środek odżywczy. Możecie oddalić się sprzed Naszego oblicza... właściwi urzędnicy dworscy odprowadzą was do stosownych kwater... - głos osłabł, a podróżnicy obserwowali teraz, jak pomarszczone, niemal przezroczyście powieki opadają, by osłonić kaprawe, zasnuwane mgłą oczy. Ta rzecz zasnęła. Kolorowe fluidy zaczęły bulgotać w przezroczystych rurkach, przenosząc chemicznie spreparowaną żywność do brzucha tej postaci, zaś Arzeela aż odwróciła się od tego ohydneho widoku ze słabym, typowo kobiecym okrzykiem obrzydzenia.

Nie było oczywiście żadnych urzędników dworskich. Nawet automatyczni słudzy gdzieś zniknęli. Nasza trójka była zatem zmuszona do poszukiwania kwater noclegowych na własną rękę. Nie okazało się to nadmiernie trudne: w oczywisty sposób ta właśnie część miasta utrzymywana była pod opieką urządzeń naprawczych, chociaż reszta metropolii niszczała i rozsypywała się w gruzy. Tu bez trudu znaleźli sąsiadujące ze sobą pokoje, doskonale oświetlone, pełne tajemniczych i fascynujących urządzeń toaletowych, dzięki którym gorąca lub zimna woda, różnorodne maśde, perfumy, dezodoranty, kosmetyki, a nawet urządzenia medyczne osiągalne były za jednym przyciśnięciem guzika. Komputerowe kuchnie, takie jak ta na pokładzie „Mannanana MacLeara” zaczynały funkcjonować, gdy wybierali menu i automatyczni kelnerzy dostarczali im prosto na stół wrzące niemal posiłki, składające się ze smacznego i soczystego, jakkolwiek nie znanego pożywienia oraz

trunków. Wyczerpani podróżnicy ucztowali, otoczeni komfortem i luksusem. Po satysfakcjonującym ich żołądki posiłku rozciągnęli się leniwie na jedwabnych, nadmuchiwanym poduszkach i popijając zadziwiająco różnorodne trunki - niektóre z nich były cierpkie, inne słodkie, jedne pobudzające, inne rozluźniające - zaczęli dyskutować na temat swojej szczególnej sytuacji.

Czy stary człowiek był szaleńcem, czy też w rzeczy samej był on Technarchą Magnusem XXXII - „Ostatnim Technarchą” z historii Fezu - sztucznie chronionym oraz odżywianym i dzięki temu wciąż żywym mimo upływu wielu milionów lat? Wydawało się to zupełnie niemożliwe, chociaż sędziwy Mag z Karchoy był częściowo skłonny dać wiarę jego zadziwiającym pretensjom. Ta dziwna rzecz zwana „Nauką” zdolna była stworzyć wiele jeszcze bardziej niezwykłych cudów.

- Czy pamiętasz Siedem Mózgów, z którymi konsultowaliśmy się jeszcze w Karchoy wiele miesięcy temu, na początku naszej podróży? - spytał Ganelona. - Jeśli ta sztucznie chroniona, stara mumia jest rzeczywiście trzydziestym drugim Magnusem, to znaczy, że jest także ich rówieśnikiem. Bo Selestor Geograf, Kelemon Fizyk, Spherio Matematyk, Angandaquon Filozof i wszyscy inni zostali nieśmiertelnieni dzięki cudom fezyjskiej technologii mniej więcej w tym czasie, gdy upadał Vandalex.

Na stronie Mag wytłumaczył Wojownicze, jak uczeni z Karchoy dostąpili nieśmiertelności poprzez transplantację czystych intelektów w niezniszczalny kryształ, a nie znacznie bardziej skomplikowaną ochronę ciała organicznego oraz intelektu, tak jak w wypadku ich gospodarza - Technarchy.

- Wciąż uważam, że on jest szalony - zadrżała Arzeela. - Myśli, że starożytna wojna nadal się toczy i że wciąż istnieją Główni obrońcy Tringu! Uważa nawet, że jest otoczony przez dworaków, gdy naprawdę nie ma tu nic prócz cieni, ciszy, i tych dziwnych robotów, które muszą opiekować się nim i wciąż naprawiać te apartamenty...

- Nie, on nie jest szalony; jest zgrzybiały, a to różnica - stwierdził Zelobion, refleksyjnie sznurując wargi nad pobudzającym aperitifem o barwie szartrezy i aromacie imbiru. - Systemy podtrzymywania funkcji życiowych potrafiły zakonserwować jego ciało dzięki nieprawdopodobnym cudom nauki. Jednak jego umysł wciąż się starzał i w końcu uległ starczej demencji...

- Dlaczego zatem Siedem Mózgów Karchoy nie postarzało się? - huknął Ganelon pytającym tonem. Zelobion uśmiechnął się aprobująco.

- Bardzo spostrzegawcze pytanie, mój silny, młody przyjacielu! - zachichotał, leniwie przeczesując swą brodę barwy wodorostów palcami jednej z dłoni. - Mózgi są mędrkami, intelektami. Spędzają tysiąclecia pochłonięci rozważaniami. Zaś praca intelektualna jest dla mózgu tym, czym fizyczny wysiłek dla ciała. Nasz przyjaciel na białym tronie nie podejmuje podobnych intelektualnych zadań, by powstrzymać swój umysł od rozkładu. Widzieliście jego muskulaturę? Jest uwięziony na tym krześle. Także jego mięśnie nie są w żaden sposób trenowane; dlatego uległy atrofii. Podobnie stało się z jego inteligencją. Srebrnowłosa poruszył się niespokojnie.

- Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę! - mruknął. - Czas mija, Księżyc wciąż spada, a my tylko gadamy i gadamy...

- Musimy trochę się przespać - powiedział Zelobion. - To był męczący dzień, rozpoczęty rozbiciem statku, a zakończony wypytywaniem nas przez tego szaleńca. Potrzebujemy snu. Jutro skonsultujemy się z Technarchą w drobnej kwestii thetamagnetyzmu. Zostawcie to staremu czarownikowi! Subtelnie wysonduję starszego pana i odkryję laboratorium z urządzeniem thetamagnetycznym pod pozorem dyplomatycznych pytań, uzupełniających naszą wiedzę, pragnienia

zapoznania się z cudami nowoczesnego Vandalexu... te rzeczy. Nie obawiaj się, mój chłopcze: odbędziemy jeszcze podróż z przewodnikiem, który będzie nas oprowadzał po wszystkich cudach miasta Wielki Fez! Tej nocy spali otoczeni obfitością wygod, dobrze odżywieni, poddani masażowi i nawet wyperfumowani przez nieznużonych cybernetycznych służących, w których wyposażone były apartamenty. Zelobion miał okazję przespać się w najbardziej komfortowym łóżku od czasu opuszczenia swego żółtoczarnego pałacu w dalekim Karchoy, co niezwykle mu odpowiadało.

Mimo wszystko należałoby jeszcze sporo dowiedzieć się na temat technologii.

15. SERCE ARZEELI

O świcie wstali z łóżek odświeżeni po napięciu i zmęczeniu poprzedniego dnia i zjedli razem śniadanie w apartamencie, który zajął Zelobion. Arzeela, wyraźnie przygnębiona i zatopiona w myślach, była cicha i nawet Ganelon wydawał się tego dnia jakby nieobecny. Jedyne Zelobion pełen był entuzjazmu. Z niecierpliwością oczekiwał na możliwość poznania cudów Nauki. Obiecał swym współtowarzyszom, że dziś odnajdą urządzenie thetamagnetyczne i zbadają jego zastosowania. Nie od razu byli w stanie zobaczyć się z Magnusem. Automatyczni słudzy poinformowali ich, że niezwykle podniecenie, spowodowane przez ich wczorajszą wizytę wywołało niebezpieczne naruszenie równowagi emocjonalnej Technarchy. Jego przestarzały i wyczerpany system krążenia obwodowego nie mógł już tyle wytrzymać, co parę tysięcy lat wcześniej, gdy Magnus był znacznie silniejszy; w związku z tym została wykonana całościowa transplantacja systemu wewnątrzwydzielniczego.

Główny „rzecznik” grupy robotówcylindrów - faktycznie była to ta sama jednostka, która schwytała ich dzień wcześniej w na poły zrujnowanej rotundzie - znany jako Z19M, odpowiedział na ich pytania, dotyczące tej zaskakującej operacji. Wyglądało na to, że, Technarcha jest podtrzymywany przy życiu dzięki transplantacjom organów. Organy, tkanki, a nawet kości i całe kończyny hodowane były w specjalnych pojemnikach wypełnionych protoplazmą, chronione przed zepsuciem za pomocą wstrzymujących czas Pól Statycznych do chwili, gdy taka czy inna część ciała Technarchy ulegała zużyciu. Wówczas to zręczne roboty chirurgiczne mogły dokonać transplantacji, dając władcy nową nogę, płuco, fragment kręgosłupa lędźwiowego, czy cokolwiek innego. Dzięki tej metodzie jego życie przedłużane było praktycznie w nieskończoność.

- Ta osoba rozumie naturalnie - stwierdził metalicznym głosem Z19M - że nie cały człowiek umiera w jednym momencie. Zwykle załamaniu ulega serce lub system krążenia. Skutkiem tego jest śmierć całego organizmu. Jednak dopóki pełny zestaw części zapasowych przechowywany jest w pojemnikach, jak w wypadku Jego Magnificencji, podobne załamanie nie musi oznaczać ostatecznego zgonu. Cybernetyczny tron pełen jest monitorów, które nieustannie obserwują rytm fal alfa, poziom cholesterolu, uderzenia serca, funkcjonowanie gruczołów, aktywność płuc, wydzielanie żółci, nagromadzenie w mięśniach kwasu mlekowego, stopień krzepliwości krwi, temperaturę ciała, wszelkie uszkodzenia tkanek, wydzielanie kwasu trawiennego, poziom cząsteczek dzeta, funkcjonowanie krążenia obwodowego, produkowanie antyciał, funkcjonowanie szpi...

- Rozumiemy! - wykrzyknął Zelobion, by za, trzymać to najwyraźniej nieskończone wymienianie. - Cóż. Kiedy będziemy mogli zobaczyć się z Jego Magnificencją?

- Możecie znaleźć się przed jego Obliczem za 37 minut i 4 sekundy - odpowiedział spokojnie automatyczny służący.

- Zaskakująco szybki powrót do zdrowia po tak delikatnej operacji, jak transplantacja gruczołów

- zauważył sędziwy Mag. Soczewki wizyjne Z19M błysnęły uroczyście.

- Wcale nie - odpowiedział. - Techniki chirurgiczne Vandalexu są niezwykle pomysłowe. Gdy w końcu pozwolono im pojawić się przed Obliczem, stwierdzili, że niezmiernie stary monarcha zauważalnie odmłodził i poweselał. Z nowym systemem wydzielania wewnętrznego, bulgoczącym radośnie wewnątrz jego ciała czuł się tak dobrze, jak nigdy jeszcze od wielu miesięcy, co oznajmił im, rechocząc z szalonej uciechy. Dziś najwyraźniej zapomniał, kim przypuszczalnie byli goście i sądził, że są oni kimś w rodzaju urojonych urzędników dworskich, którzy, jak domagały się tego jego iluzje, wciąż gromadzą się wokół tronu. Odnosił się do Zelobiona jako do Najwyższego Lorda, Wielkiego Mistrza Iophrostera, Dworskiego Imperialnego Nosiciela Kadzideł. Kilka chwil później odezwał się do niego, tytułując go Jego Ostatecznością, Arcyszlachetnym Głównym Strażnikiem Pantofli. Gdyby Arzeela nie była tak przygnębiona ignorowaniem jej zalotów przez Srebrnowłosego, najprawdopodobniej chichotałaby. Nowy system gruczołów dokrewnych wywołał radosne spustoszenie w Świątobliwej Imperialnej Pamięci Technarchy. Tak czy inaczej, Technarcha był szczęśliwy mogąc zabrać ich na inspekcję thetamagnetycznego laboratorium. Uważał to najwyraźniej za swego rodzaju wycieczkę i chciał poprowadzić ich tam osobiście. Przez moment Zelobion oczekiwał nawet, że starożytny wstanie na nogi i opuści swój biały fotel - co skończyłoby się zerwaniem tysiąca siedmuset elektrod, rurek do transfuzji, monitorów organicznych i innego supernaukowego oprzyrządowania, przymocowanego do tej czy innej części jego karłowatej i pomarszczonej anatomii. Jednak okazało się, że zamiast Technarchy wstał cały fotel.

Dosłownie, tak właśnie się stało. Z dolnej części cybernetycznego tronu wyłoniły się mechaniczne nogi i cały ten chodzący mebel, z nietkniętym i nieruchomym użytkownikiem, powoli i gładko zaczął sunąć poprzez podium i dalej, przez jaśniejące barwami dywany, ku windzie. Oni zaś ruszyli za przechadzającym się tronem, a obok nich toczył się na swych gumowych kołach wszechobecny Z19M.

Prowadząc wciąż nieprzerwany monolog, Technarcha prowadził ich poprzez labirynt pomieszczeń, pięt, korytarzy oraz szybów wind. Złowrogie przecucie ujęło serce Zelobiona w swe zimne palce, bowiem wkrótce znaleźli się poza tą częścią Pałacu Technarchy, w której prowadzone były ciągłe prace naprawcze. Technarcha, prowadząc radośnie jakiś zupełnie niejasny wątek swej gadaniny, wydawał się zupełnie nie zauważać, że metalowe nogi jego fotela kroczą delikatnie ponad zwalonymi belkami, dziurami otwierającymi się w murach, i po schodach zasypanych niemal tysiącletnim gruzem. W pewnym momencie dotarli do wspaniałego placu, otoczonego przez wysokie kolumny z zabarwionego purpurą metalu. Na jednym końcu tego olbrzymiego czworoboku (tak wielkiego, że mogłoby na nim zaparkować całe stado sterowców) wyrastał rozpadający się kikut jakiejś potężnej niegdyś konstrukcji. Widać było, że ta rozległa budowla wyrastała kiedyś na wysokość setek pięter ponad otoczonym kolumnami placem; teraz jej kikut nie wznosił się na wysokość większą, niż pół piętra. Spełniły się najgorsze przecucia Zelobiona, gdy Technarcha wykonał swą słabą dłonią omdlewający gest, wskazując palcem ruinę i zagadał radośnie:

- Ach, więc jesteśmy. Oto Sala Thetamagnetyzmu.

Jak wyśmienicie prezentują się mozaiki na fasadzie, błyszcząc w słonecznym blasku! Grupa rzeźb ozdabiająca czterdzieste siódme piętro, jak zapewne pan pamięta, Lordzie Ganfornie, była dziełem tego wspaniałego młodego człowieka z Om Haggoth. Zapomnieliśmy, jak się nazywał, ale to nie ma znaczenia. No cóż, chodźmy - zobaczcie, że laboratorium okaże się prawdziwą Salą Cudów,

zapewniamy was!

Rzuciwszy żalodne spojrzenie ponuremu Srebrnowłosemu i dziewczynie, Zelobion pozwolił gospodarzowi poprowadzić ich poprzez połamaną bramę do wnętrza pogruchotanego kikuta budowli. Słoneczny blask całymi strumieniami dostawał się tu poprzez wyszczerbione otwory w dachu. Zmuszeni byli przejść przez kopce pokruszonych gruzów, które niemal całkowicie blokowały piętro. Technarcha w ogóle tego nie zauważył. Trajkotał z ożywieniem z urojonymi technikami, pytał ich o zdrowie nieistniejących administratorów budynku, przygotowując się do pełnego obchodu trzydziestu dwóch Sal Nauki Thetamagnetycznej. Zelobion zastanawiał się w cichości ducha, do jakiego stopnia szalona była iluzja tego starego człowieka; co zrobi on, na przykład, gdy obchód sal, które zwyczajnie nie istnieją, okaże się niemożliwy? Wkrótce znalazł odpowiedź. Wciąż trajkocząc z ożywieniem z upiorami swej wyobraźni mały stary człowieczek na chodzącym tronie zbliżył się do podstawy wspaniałych niegdyś schodów, które były nienaruszone jedynie do wysokości trzech lub czterech stopni, urywając się dalej w kompletnej pustce. Długie, teleskopowe nogi cybernetycznego fotela rozciągnęły się, by utrzymać Magnusa na tym samym poziomie, podczas gdy tron wspierał się na cztery stopnie, po czym stanął nieruchomo na krawędzi pustki. Nastąpił wtedy moment ciszy.

Potem stary człowiek ponownie przemówił:

- Ach, jaka szkoda! Lord Administrator, Główny Kierownik Naukowy Sal Thetamagnetyzmu poinformował nas właśnie, że wyższe poziomy są akurat odkażane i przeszkadzanie ekipom odkażającym byłoby niewskazane. Ach, cóż! To nie ma znaczenia: co się odwlecze, to nie uciecze. Wracamy do Pałacu, mój tronie... Zelobion spędził resztę dnia, myszkuje na pół zrujnowanej bibliotece w jednym ze skrzydeł Pałacu. Srebrnowłosey przez cały dzień, aż do wieczora, włóczył się po tarasach w ponurym nastroju. Potem oparł się o balustradę i spojrzał w górę, na gigantyczny blask Spadającego Księżyca, który oświetlał go teraz jakby z zimną okrutną kpina, naśmiewając się z klęski, jakiej doznały wszystkie jego nadzieje, z pogwałcenia losu, który został mu wyznaczony przez Bogów Czasu. Wszystko było stracone.

Tam właśnie wisiał on, z całym swym ciężarem. 6.000.000.000.000.000.000.000 ton prastarych kamieni, lawy, pumeksu, pyłu i lodu. Olbrzymi miecz Damoklesa, wiszący na cienkiej nici siły odśrodkowej ponad głowami całego Rodzaju Ludzkiego. Ta unosząca się w Kosmosie masa zagrażającego ludziom przeznaczenia miała wielkość jednej czwartej Ziemi. Już za zaledwie kilka tysięcy lat osiągnie ona Strefę Roche'a, w której ziemskie siły pływowe rozedrą ją na strzępy i miliony supermeteorów wielkości Mount Everestu z hukiem uderzą w powierzchnię planety. Gwałtowność tego niewyobrażalnego kosmicznego bombardowania pogruchocze skorupę Ziemi, czyniąc z niej ruinę, przebije się przez jądro planety, wyzwalać miliony ton bardzo gorącej magmy, która wyleje się na powierzchnię strumieniami o wielokilometrowej szerokości. Gigantyczny ocean, pokrywający trzy czwarte powierzchni globu eksploduje w gejzer białej, gorącej pary, gdy spotka się z Niagarą płynnego ognia. Sama planeta zostanie ostatecznie rozdarta na strzępy w szale tej nieprawdopodobnej eksplozji...

- Ganelon...

Wyrwany ze swych ponurych myśli, brązowoskóry młody olbrzym odwrócił się, by zobaczyć Wojowniczkę siedzącą w cieniu kolumn. Widmowy blask Spadającego Księżyca połyskiwał na złotych ornamentach, które przystrajały jej kobiece ciało. Do Ganelona dotarł intensywny zapach perfum.

- Czego chcesz?! - ryknął krótko.

- Myślałam... że może moglibyśmy... porozmawiać - powiedziała niezdecydowanie.

Chrząknął, po czym powrócił do swej obserwacji Księżyca. Nie chciał być grubiański, jednak głęboka depresja, która ogarnęła go, gdy kontemlował niepowodzenie swego gigantycznego przedsięwzięcia opanowała jego umysł, wykluczając wszelkie inne emocje. Żeby przebyć tak niezmierną odległość, ponad połowę świata, pełną dzikich bestii, zajadłych przeciwników, wszelkiego rodzaju naturalnych i geofizycznych niebezpieczeństw, zużywając na to całe miesiące pracy i walki... A wszystko to na nic! Okrutny żart ironicznego Fatum gryzł go i dokuczał oraz wypełniał go mroczną furją uczucia zawodu...

Poczuł, że wysoka dziewczyna wciąż niezdecydowanie próbuje wciągnąć go w jakąś bezcelową konwersację. Stała przy jego boku, tak blisko, że mógł wyczuć miękkie ciepło jej bioder i ud na nagiej skórze swej nogi. Swe gęste, płowe włosy wymyła szamponem o ziołowym zapachu, który znalazła wśród przyborów toaletowych w swoim apartamencie; ten słodki zapach wydawał mu się odpychający w obecnym stanie ducha pełnym goryczy i wewnętrznego gniewu. Czuł miękki dotyk jej palców, delikatnie muskających mięśnie jego owłosionych przedramion.

- Czego właściwie chcesz ode mnie? - mruknął.

- Czy ty mnie... lubisz? - spytała drżącym głosem. - Przez wszystkie te tygodnie, gdy... byliśmy razem, ty, i ja, i starszy człowiek... ty nigdy... nigdy nie próbowałeś... musisz wiedzieć, co teraz czuję... chyba wyraziłam się wystarczająco jasno... ale czy ty nigdy nie...?

Jej głos zaniknął niepewnie. W bolesnej jakby ciszy, która nastąpiła potem, Ganelon mruknął z irytacją, że nie jest tej nocy w nastroju do rozmów. Coś w jej bliskości, w ciepłe jej pachnącego słodko ciała, w cieniu skrępowania obecnym w zaciśniętej na jego ramieniu dłoni nieznośnie mu dokuczało i dlatego odsunął ją na bok, po czym ruszył po tarasie. Chciał być sam ze swymi surowymi dumaniami.

Odchodząc usłyszał za sobą miękki płacz i na chwilę odwrócił się z irytacją. Arzeela stała opuszczona przy balustradzie tarasu, a jej silne, gładkie ramiona drżały. On zaś, ten odważny i prostoduszny młody olbrzym, nie wiedział nic o kobiecych łzach. Poszedł zatem dalej zamiast powrócić i pocieszyć ją choćby jakimiś niezgrabnymi słowami. Wędrował dalej przez noc, samotny ze swymi pełnymi zawziętości, ponurymi myślami, zaś towarzyszył mu jedynie szary blask Spadającego Księżyca.

Arzeela przybyła do sędziwego Maga siedzącego w wielkiej sali biblioteki. Ten olbrzymi pokój był całkowicie pusty, jeśli nie liczyć gigantycznego biurka, którego górna powierzchnia była przezroczysta. Zelobion odkrył po uważnym majstrowaniu, że przechowywane tutaj tomy są w jakiś sposób zminiaturyzowane i zreprodukowane świetlnie na szklanej powierzchni biurka. Odnalazł klucz do systemu kodującego. Teraz przeglądał całe szeregi sfotografowanych książek, poszukując gorączkowo informacji na temat thetamagnetyzmu.

Podniósł wzrok i był zaskoczony widząc, że Arzeela stoi obok niego.

- Ach! Dziewczyno, zaskoczyłaś mnie - nie wiedziałem, że jesteś tutaj! - zachichotał. - Jeszcze trochę, a będę musiał poprosić starego Magnusa, żeby wymienił moje gruczoły dokrewne! Co się stało - ty płaczesz?

Potrząsnęła głową w milczeniu, a potem opadła na pneumatyczne krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Wzdychając, sędziwy Mag podszedł do niej, by pogłaskać ją niezgrabnie i pocieszyć, zanim w końcu nie ucichły jej szlochy. Zwróciła na niego swą wykrzywioną żalem, wilgotną od łez twarz.

- Kocham go! Ale on nie zwraca na mnie uwagi! - wyrzuciła z siebie desperacko. - w ciągu całej naszej wędrówki czułam przy sobie jego wielkość, jego siłę i odwagę, czułam, jak mnie chroni i walczy w mojej obronie. Kocham tego wielkiego człowieka. Dlaczego on mnie nie kocha?

Zelobion westchnął. Obawiał się tego przez cały czas i oto zdarzyło się. Być może powinien był powiedzieć coś wcześniej - coś, co mogłoby powstrzymać tę niefortunną sytuację, zanim dojrzała. Ale tego nie zrobił. Czy stało się tak dlatego, że nie chciał wtrącać się w najdelikatniejsze uczucia tej młodej dziewczyny - czy też zaniechanie działania wynikało z jego własnej niechęci do emocjonalnych scen? Czy motywowała go obawa przed zranieniem dziewczyny - czy też całkiem samolubne życzenie, by ominąć jakoś ten cały grząski teren uczuć? Niestety, Zelobion obawiał się, że tak naprawdę chodziło o jego haniebną niechęć do mieszania się w sferę uczuciową. Zaś teraz... proszę, oto tragedia, której pozwoliło się rozwinąć jego podłe milczenie.

- Moje drogie dziecko - powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił. - To nie twoja wina, że Ganelon Srebrnowłosa pozostaje nieugięty wobec twojego piękna i uroku. Nie wiń za to ani siebie, ani też jego. Popełniłaś fatalną omyłkę: zakochałaś się w kimś, kto nie wie nawet, czym jest to uczucie.

Oni

Spojrzała na niego tępo.

- Co masz na myśli?

Chrząknął z zażenowaniem.

- Moja droga... Ganelon nie jest nawet ludzką istotą. Nie jest nią w takim sensie, w jakim ty, a nawet ja, pomimo tego, iż moją matką była rzeczna rusalka; jesteśmy ludźmi. To sztuczny człowiek.

Odwracając oczy od widoku kompletnego przerażenia, które malowało się na jej zbielejącej twarzy, kontynuował cichym głosem: - Ganelon jest Konstruktem, stworzonym przez Bogów Czasu dla wypełnienia jednego tylko zadania. Chodzi o to zadanie, dla którego podjęliśmy naszą wędrówkę, moje dziecko. Jako Konstrukt nie posiada on zupełnie cech niezbędnych do... do zaistnienia normalnych, męskodamskich stosunków...

Widząc jak odraza na granicy mdłości wykrzywia jej biedną, załzawioną twarz agonizującym niemal skurczem, usiłował to niezgrabnie wyjaśnić, starając się znaleźć odpowiednie słowa, złagodzić jakoś cios.

- To znaczy... nie mam na myśli tego, że on nie jest mężczyzną. Fizycznie jest w stu procentach osobnikiem męskim, prawdziwym mężczyzną ukształtowanym wedle najlepszego, heroicznego wzorca męskości. Ale pod względem seksualnym, emocjonalnym... niestety, moje dziecko! Bogowie Czasu, którzy wyhodowali go dla swych celów, nie wpoili w jego istotę normalnych, ludzkich możliwości reakcji na łagodny pociąg, który budzi w nas, ludziach, delikatne wezwanie płci. On nie zna, a nawet nie jest w stanie poznać... miłości.

Odwróciła od niego swą twarz. Cieszył się niemal, że nie musi teraz widzieć jej cierpiących oczu. Łagodnie, jakby mógł uczynić to ojciec, położył swą dłoń na jej ramieniu.

- Nie wiń za to siebie. To nie wynika z jakiegokolwiek twojej niedoskonałości, lecz z jego konstrukcji, która powoduje, że nie odpowiada on na twoje uczucia. Nawet nie jest w stanie odpowiedzieć. Możliwości takie nie są wbudowane w jego psychikę.

- Bogowie są okrutni - powiedziała cichym, zmęczonym głosem.

- Ja... być może powinienem był wyjaśnić ci to wcześniej... - kontynuował, boleśnie odczuwając gorycz wyrzutów sumienia. - Ja... cóż, w jakiś sposób nie wydawało mi się wystarczająco ważne, by

mówić ci o wszystkich tych szczegółach. Nie uświadomiłem sobie, iż kobieta taka jak ty może zacząć darzyć względami tak wspaniałego wojownika. Zapomniałem jakoś, że dołączyłaś do nas już w trakcie podróży i nie byłaś z nami od samego początku... Ja... przebacz mi, dziewczyno. To częściowo moja wina. Za wspaniałości całej Gondwany nie powinienem był powodować tego bólu, który teraz odczuwasz.

- To nie twoja wina, stary człowieku - powiedziała słabo i wstała, nie patrząc mu w oczy, by opuścić pokój. Nie był w stanie wymyślić jakichkolwiek innych słów, które należałoby powiedzieć. Gryzło go to, że nie może w żaden sposób złagodzić jej cierpienia. Przy drzwiach odwróciła się i spojrzała na niego.

- A zatem nie ma żadnej nadziei? - powiedziała bezbarwnym głosem. W gruncie rzeczy nie było to nawet pytanie. W milczeniu potrząsnął głową. Jeszcze przez długi czas po jej wyjściu siedział, patrząc w jej ślad. Sędziwy Mag widział, czynił i odczuwał wiele przez stulecia swego życia. Jednak ominęła go miłość. Pogoń za wiedzą, studiowanie różnych nauk, praktykowanie sztuki magicznej pochłaniało jego ciało, umysł i serce. Nie zgromadził nawet nigdy kolekcji kobiet dla swej przyjemności, tak, jak czynili to inni monarchowie. Nie odczuwał też w związku z tym żadnego braku.

Teraz, i tylko teraz, uświadomił sobie w pełni, jak wielką część życia utracił. Nagle poczuł się bardzo stary - Otrząsnął się z depresji i ponownie pochylił się nad swym badaniem zawartych w czytelni tomów, by uniknąć myślenia o całym tym problemie. Dziesięć minut później sekret thetamagnetyzmu był w jego rękach.

16. OFIARA

W jednym z sektorów osiemnastego podziemia, znajdującego się poniżej budowli Wielkiego Fezu znajdowało się zapieczętowane, próżniowe muzeum, niczym nieprawdopodobnie rozległa kapsuła jakiejś maszyny czasu. Zapiski w księgozbiornie dawały wyraźne wskazówki, jak się tam dostać i następnego dnia Zelobion, Arzeela oraz Ganelon Srebrnowłosa kierując się nimi bez trudu znaleźli tę odseparowaną od otoczenia składnicę wiedzy naukowej. Wyposażone w zawory drzwi otworzyły się, gdy wystukali odpowiedni kod i wszyscy weszli do środka.

Kasetony oświetleniowe, choć nie używane od wieków, włączyły się, zalewając ciemne dotychczas sale zimnym, rozproszonym, nie dającym cienia światłem. Wokół nich rozciągały się we wszystkich kierunkach zupełnie wolne od kurzu gabloty z eksponatami. Niewyraźne kształty wysokich maszyn, przy których nawet wzrost Ganelona wydawał się karłowaty, majaczyły połyskując nad ich głowami. Wszędzie wokół leżały urządzenia o nieznanym naturze i przeznaczeniu. Była to broń, wehikuły, agregaty energetyczne, transom formatory, cybernetyczne warsztaty, instrumenty chemiczne i chirurgiczne oraz inne urządzenia do badań naukowych. Znajdowały się tu także teleskopy, mikroskopy, komputery, roboty - produkty wyrafinowanej technologii, służące tysiącom celów. Były tu na przykład słuchawki, przeznaczone do noszenia na nadgarstkach, które pozwalały każdemu Vandalexyczykowi na bezustanne pozostawanie w kontakcie ze wszystkimi innymi mieszkańcami Imperium. Inne, takie, jak trzystumetrowej długości statki powietrzne, były wręcz gigantyczne. Wędrowali zachwyceni przez to muzeum cudów.

Wystawa thetamagnetyzmu okazała się zupełnie niewielka. Było tu nie więcej niż dwanaście urządzeń, zasilanych przez mało znane źródło energii, które zostało udoskonalone przed upadkiem Technologicznego Imperium. Spośród nich wszystkich thetamagnetyczny „zawór”, o który im chodziło, okazał się najmniejszy i najmniej okazały dla oka. Nie był większy od podręcznego pakunku, wyposażony w składaną siatkę sferycznej anteny, przeznaczonej do gromadzenia energii z ziemskich pól siłowych i kierunkową antenę w postaci prętu do jej kanalizowania. Ganelon z niedowierzaniem ważył przyrząd w dłoniach.

- Ta mała kupka śmieci może zatrzymać Spadający Księżyc? - spytał z niedowierzaniem. Zelobion skinął głową, oglądając przyrząd i nalepioną na nim plastikową etykietę.

- Właśnie - stwierdził z zamyśleniem. - To działa na podobnej zasadzie, jak medycyna homeopatyczna. Przypomnij sobie, że zgodnie z teorią, niewielka porcja leku może mieć znacznie silniejsze działanie uzdrawiające niż wielka dawka. Tak więc ten „zawór” wydziela minimalną porcję energii, która wchodzi w rezonans z ziemskim polem thetamagnetycznym i ponownie je ukierunkowuje wzdłuż nowych wektorów siły. Hmm... Skrzynka zasilająca zawiera tylko trzy granulki miedzi... zadziwiające! Musimy jednak uznać za fakt, że fezyjscy technolodzy wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi...

- Powróćmy na powierzchnię i zamontujmy teraz to urządzenie - powiedział Ganelon. Zelobion potrząsnął głową.

- Musimy poczekać, aż zapadnie noc. Spadający Księżyc nie pojawi się na niebie, zanim nie będzie ciemno.

- Jak to działa? - spytała niepewnie Arzeela.

Zademonstrował.

- Dla celów wyzwolenia destrukcyjnej siły, antena kierunkowa musi być zwrócona w stronę pożądanego obiektu. Wskaźnik natężenia musi być rozkręcony aż do tej czarnej kreski. Antena sferyczna musi też być odpowiednio ustawiona. Od początku do końca cała zabawa będzie trwać około czterdziestu sekund, a potem zobaczymy dość widowiskowe fajerwerki, przyjaciele!

- Co dokładnie robi z Księżycem to urządzenie? - spytał Srebrnowłosy. Zelobion wzruszył ramionami.

- Jeśli mam być szczery, nie mam kompletnie żadnego pojęcia. Sam się nad tym zastanawiałem. Jeśli jest ono w stanie w jakiś sposób zdetonować naszego monstrualnie wielkiego i przerażająco bliskiego satelitę, to nie wiem, w jaki sposób sama Ziemia uniknie nieuchronnego zniszczenia związanego z taką eksplozją. Ale będziemy musieli spróbować.

Przerwał na chwilę, marszcząc brwi w zamyśleniu.

Po chwili kontynuował:

- Istnieje jeden, niefortunny warunek użycia thetamagnetycznego „zaworu” - powiedział wolno. - Aby powstał właściwy efekt rezonansu, musi się to dzieć w bezpośrednim sąsiedztwie jakiejś żywej istoty... i ta żywa istota zostanie zniszczona. Spalona w efekcie działania pola thetamagnetycznego! - na skutek przerażenia i konsternacji Zelobion mówił teraz coraz wyższym tonem. - Dotychczas nic o tym nie wiedziałem... Oto dlaczego ten przyrząd można nazwać samobójczym! Ganelonie...

Brązowoskóry olbrzym skinął poważnie głową, patrząc kamiennym wzrokiem w przestrzeń.

- Nie myśl o tym więcej, stary przyjacielu. Moje życie nie ma już znaczenia. Jeśli jest to konieczne, by zakończyć moje przedsięwzięcie, niech tak się stanie. W końcu po to się urodziłem.

Nic więcej nie mogło być już powiedziane. Powrócili na wyższe poziomy miasta, by oczekiwać nadejścia nocy i końca epoki, w której przyszło im żyć. Trójka współtowarzyszy zjadła ostatni wspólny posiłek. Ogarnął ich ponury nastrój i milczeli przy jedzeniu: każde z nich wiedziało, że nigdy już, na tej płaszczyźnie istnienia, nie będzie im dane wieczerzać razem i była to myśl bardzo zasmucająca. Gawędzili markotnie, wspominając przygody, które wspólnie przeżyli, ryzykowne sytuacje i niebezpieczeństwa, które udało im się pokonać, przewyciężone razem zrządzenia losu. Obaj mężczyźni byli zatroskani o Arzeelę;

Ganelon, który w niejasny sposób żałował, że potraktował ją tak szorstko poprzedniego wieczoru, odzywał się do niej łagodnie, próbując wciągnąć ją w spokojną rozmowę. Ona zaś bardzo słabo reagowała na uprzejme awanse olbrzyma, wydając się nawet ich nie zauważać. Zelobion uśmiechał się ze smutkiem: wyglądało na to, że jego słowa odniosły właściwy skutek. Już w tej chwili Arzeela próbowała oderwać się od obiektu swej beznadziejnej miłości. Dopiero przy końcu posiłku wykonała pierwszy ciepły gest, skierowany do Srebrnowłosego, wyciągając w jego stronę puchar pełen wina rzadkiego, starego rocznika i łagodnie prosząc go, by wypił z nią toast za minione dni. Uczynił to z zadowoleniem, a gdy pili wino, jej oczy były pełne ciepła i nie odrywały się od jego twarzy. Potem rozeszli się, by w samotności oczekiwać na chwilę, gdy Księżyc wyłoni się zza horyzontu, by wypoczywać, przygotowując się na ciężką próbę, która wkrótce stanie się ich

udziałem. Ganelon rzucił się na swoje łóżko i rozciągnął swe członki na jego wygodnych, nadmuchanych poduszkach. Powinien zajmować się teraz porządkowaniem swej broni i przygotowywaniem jej do ostatniej bitwy. Jednak gęstą chmurą opanowało go wyczerpanie. To dziwne, że ktoś, kto wiedział, że wkrótce już ogarnie go wieczny sen śmierci, tracił swe ostatnie godziny na drzemkę, lecz tak właśnie było. Spał, wiedząc, że Zelobion i Arzeela obudzą go o właściwym czasie. Jego umysł ogarnęła ciemność; spadał gdzieś w dół, daleko, poprzez mgliste piętra snu... Ktoś potrząsał nim gwałtownie, lecz olbrzym ledwo to odczuwał. Powoli jednak zyskiwał mglistą świadomość, że jakiś odległy, słaby głos woła go po imieniu. Wyrwał jednak ramię komuś, kto je trzymał i zignorował odległe wołanie... do chwili, gdy poczuł boleśnie szczypiące uderzenie i mrowiąca świadomość bólu rozeszła się wrzeniem po jego żyłach. Jego metabolizm przyspieszył, adrenalina napłynęła błyskawicznie do krwioobiegu i zaczął wyłaniać się na powierzchnię świadomości, by ujrzeć majaczącą nad nim, zbiełałą i zdesperowaną twarz sędziwego Maga. Głowa Ganelona wciąż drżała od szczypiących ciosów dłoni Zelobiona. Gdy zbladły senne mgły, olbrzym spróbował wstać z łóżka. Ręce i nogi były jak z ołowiu, zaś jego umysł jakby spowity w grubą, płócienną zasłonę. Spróbował skoncentrować się na słowach, które wykrzykiwał Zelobion, ale zupełnie nie był w stanie ich zrozumieć. Wciąż zbliżały się do niego, a potem jakby cofały i słabły, wymykając się zrozumieniu.

- ...powiniennem być od razu to rozpoznać! Puchar!

Puchar, którego użył Hopring, by wprowadzić cię w śmiertelny sen... (w tym momencie słowa znów zaczęły zanikać i olbrzym leżał tylko, wpatrując się bezmyślnie w krzyczącą twarz sędziwego Maga, który desperacko nim potrząsał; potem jednak słowa ponownie napłynęły do centrum jego świadomości)...powiedziałem jej, że przyjęcie pierwszej dawki wywołuje względną odporność... ona zatrzymała puchar i użyła go ponownie, wiedząc, że trucizna już nie może cię zabić... musisz obudzić się, Srebrnowłoso... obudź się! Arzeela wzięła urządzenie thetamagnetyczne! Zamknęła nas i poszła z urządzeniem na rynek! Obudź się! Pomóż mi! Ona się zabije, jeśli użyje tego urządzenia!

Nagle słowa odzyskały swój sens w umyśle Ganelona. Lodowaty szok wstrząsnął znarkotyzowanym i ospałym olbrzymem, gdy ich znaczenie dotarło do niego. Obudził się całkiem i z trudem wstał na nogi. Pokój zakołysał się wokół niego; schwycił ramię starego człowieka, by się na nim oprzeć. Światło wciąż gasło, zamieniając się w ciemność. W jakiś sposób znalazł się w pobliżu drzwi, które prowadziły do zewnętrznego hallu. Wojowniczką zamknęła je, lecz siła jego furii zmieszanej z przerażeniem i rozpaczą była taka, że nie mogłaby się jej przeciwstawić żadna przeszkoda. Połamał metalowe płyty potężnymi, gruchoczącymi ciosami, od których złamał sobie lewą rękę, która była teraz umazana krwią. Nawet nie czuł bólu. Krzyczał coś, wył, było to imię dziewczyny, ale nie był w stanie nawet sam siebie usłyszeć. Potem światło ponownie zbladło i Ganelon pogrążył się w ciemności. Gdy ponownie ustąpiła ona jasności, musiał minąć jakiś czas, choć nie wiadomo, jak długi. Być może olbrzym stracił świadomość. Jeśli tak było, napędzająca go furia pragnienia dotarcia do Arzeeli utrzymywała go na nogach i poruszała do przodu. Bowiem teraz zarówno on, jak i Zelobion znajdowali się już poza Pałacem. Wielki plac otoczony kolumnami otwierał się przed nimi pod zimnym blaskiem Spadającego Księżyca. Ganelon, potykając się i zataczając, włókł się przed siebie. Nie czuł, że ma władzę w nogach, a jednak w jakiś sposób poruszał się. Wciąż wyrzaskiwał to imię, imię dziewczyny, ale nie mógł nawet usłyszeć swego własnego głosu. Zelobion klepnął go po nagim ramieniu i wskazał mu coś, krzycząc. Ganelon mrugnął opuchłymi, zdrętwiałymi powiekami i spróbował skierować wzrok wzdłuż wskazującej ręki Maga...

Wojownicza stała kilkadziesiąt metrów dalej, w środku rozległego placu. Przy jej nogach znajdował się niewielki przedmiot z błyszczącego metalu, zaś dłonie zajęte były nastawianiem długiej anteny, skierowanej teraz wprost nad jej głowę, ku środkowi olbrzymiego koła Księżyca.

Potykając się i zataczając, próbując biec, ruszył do przodu. Nogi miał niczym zdrętwiałe kolumny z kruszącej się gliny. Zatoczył się i runął na ziemię, uderzając się silnie o połyskliwy bruk. Zelobion pochylił się nad nim, szarpiąc go i krzycząc.

- „Z,acwór” jest włączony! Ona go włączyła! Arzeela! Przestań!

Ganelon z potwornym wysiłkiem dźwignął się na kolana. Potężne wiatry ryczały wokół niego, wstrząsając jego ciałem, próbując wessać go w wir kołującej ciemności.

Nagle antena rozbłysła, otaczając całe urządzenie zimnym, srebrzystym blaskiem. Dziewczyna stała teraz plecami do nich, wyglądając jak smoliście czarna statua, narysowana na tle aureoli z błyszczących srebrnych iskier. Podniósł głos, wydając z siebie jeden wielki krzyk rozpaczy i przerażenia:

- Arzeela!

Po chwili, na zawsze już, zniknęła z pola widzenia.

Srebrzyste światło zalało plac, oślepiając ich obydwu. Z centrum wielkiego kwadratu placu wystrzelił w górę filar porażającego oczy ognia, niczym płonące drzewo, korzeniami uczepione ziemi, zaś gałęziami sięgające błyszczących na niebiosach gwiazd. Osłaniając oczy, Zelobion odrzucił głowę do tyłu i spojrzał w górę...

Filar nieznośnie jasnego, srebrzystego światła miał teraz wysokość wielu kilometrów. Wysuwał się on już daleko poza Ziemię niczym gigantyczna wiązka płonącego blasku. Błyszczał w kosmosie już na odległość setek i tysięcy kilometrów. Plac zadrżał pod ich stopami. Płyty wygięły się i podskoczyły. Kolumny, jedna, po drugiej, zaczęły upadać, niczym rażone błyskawicami dęby, podmyte przez wibrującą furie pola thetamagnetycznego. Przez biliony lat planeta obracała się wokół osi, zaś siły pływowe powodowały magnetyczne tarcie pomiędzy skorupą a jądrem. Przez tysiąclecia to pole magnetyczne zdegenerowało się w thetamagnetyzm. Teraz zaś niewielka, kieszonkowa prawie paczuszka, którą można utrzymać w jednej dłoni, przekształciła ten gigantyczny rezerwuar drzemiącej siły, kształtując zeń potężny strumień dzikiej furii, a następnie miotając go ku przedmurzom niebios! Uderzyła ona Księżyc dokładnie w sam środek jego gigantycznego dysku. Odległość była tak wielka, że sam strumień nie był już widzialny gołym okiem, jednak uderzenie promieniowania można było zobaczyć jako pęk białego blasku, który rozkwitł pośród zimnych, martwych równin prastarej twarzy Księżyca. Księżyc... zadrżał!

Ciemne niczym atrament linie porysowały zygzakami jego powierzchnię. Ponieważ można je było dostrzec gołym okiem z tej odległości, musiały być gigantycznymi wąwozami o szerokości wielu kilometrów - jak Wielkie Kaniony o długości tysięcy mil! Piorun wwiерcił się do wnętrza satelity. Jego powierzchnia zaczęła kipieć, a potem rozszczepiać się w miarę, jak błyszczący promień zapuszczał się do jądra martwej planety. Uniosły się z niej chmury kurzu i sproszkowanej skały, kryjąc ognisty kwiat przed ich spojrzeniem. Czarna sieć pęknięć pokryła teraz całą widzialną część Księżyca.

Promień zniknął. Plac ogarnęła ciemność. Wielki, dymiący krater w jego centrum, gdzie stała Arzeela, otoczony był strumyczkami roztopionej stali. Zniknął już filar srebrzystego płomienia. Samo urządzenie „zaworu” zostało zniszczone przez siłę, którą wyzwoliło. Jednak zniszczenie zostało dokonane.

Patrzyli teraz w górę oczyma zalanymi przez łzy, widząc coś, czego nikt przed nimi nie oglądał. Księżyc rozpadał się powoli na potężne fragmenty. Eksplozja była tak powolna, że niemal niedostrzegalna. Pęknięcia poszerzały się wolno, a po jakimś czasie można było zobaczyć, że ich czerń stała się czernią kosmicznej przestrzeni, widocznej przez roztrzaskany Księżyc. Nie był on już teraz tarczą, lecz rozległą, luźną masą połamanych skał. Wielkie początkowo fragmenty zaczęły rozpadać się i kruszyć. Gęste chmury wirujących części Księżyca krążyły teraz swobodnie. Jakiś migoczący, ciemnoczerwony płomień przemieszczał się wśród tej wirującej chmury, niczym pierwsza, wiosenna błyskawica. Musiała ona mieć temperaturę niemalże nuklearnej eksplozji, a zrodziły ją odłamy skalne, które uderzały o siebie nawzajem, ścierając się w pył.

Wybuchające łuki światła rozbłyskiwały teraz w górnych warstwach atmosfery Ziemi. Gigantyczne księżycowe meteory zaczęły spadać na jej powierzchnię. Jednak widać było, że nie będzie ich wiele. Ziemia nie zostanie zniszczona po rozpadzie Księżyca. Promieniowanie uderzyło w sam środek jego kuli i przebiło się przez nią niczym przez środek dojrzałego jabłka. Fala uderzeniowa tak potężnego wybuchu wywołała prądy napięć, które przedostały się przez rozszczepione jądro Księżyca jego drugą stronę, powodując załamanie, które zacznie się na bardziej oddalonej od Ziemi półkuli satelity, w odpowiednich punktach jego osi; załamanie to powinno następnie dostroić się do struktury połączonych ze sobą spiral, która posłuży do wyrzucenia fragmentów Księżyca na zewnątrz, poczynając od pierwotnego miejsca uderzenia. W ciągu kilku tygodni części Księżyca, zredukowane do wielkości drobin, opadając na siebie nawzajem w spiralnej strukturze załamania, uformują gigantyczną obręcz wokół Ziemi. Będzie to pierścień pyłu, przypominający pierścienie planety Saturn. Jedynie niewielkie chmury meteorytowej materii dostaną się do atmosfery macierzystej planety. Pozostałości roztrzaskanego satelity krążyć będą wokół Ziemi aż do ewentualnego końca Systemu Słonecznego... Księżycowy Pierścień boskiego uroku.

Zadanie zostało wypełnione.

Ludzie z Gondwany zostali uratowani.

Dla prastarej Ziemi nie nadejdą jeszcze ostatnie dni. Jednak Arzeela była martwa... dlatego zarówno sędziwy Mag, jak i młody wojownik uklękli na zrujnowanym bruku placu i zaczęli ją opłakiwać. A każdy z nich czynił to na swój własny sposób.

EPILOG

Ganelon Srebrnowłosa nie doznał otuchy. Zakłopotanie i udręka gryzły go wciąż i nie pozwalały mu na chwilę odpoczynku. On, odważny wojownik, który nie wiedział czym są łzy, poznał je teraz. Przyptyw gorzkich łez palił go w oczy. Szalejąca rozpacz i pasja kipiała w jego duszy. Dlaczego Wojowniczką wzięła na siebie zadanie, które leżało wszak na jego barkach? Zelobion rzekł: - Wojowniczkę z Khond nie znają innej miłości, jak tylko taką, która przydarza się raz w życiu. Jeśli miłość ta nie znajduje wzajemności, z ochotą godzą się na śmierć. Kochała cię miłością, której zwykli mężczyźni, tacy jak ja, nigdy nie doświadczają.

Genelon wykrzyczał z furii: - Ale dlaczego mnie kochała? Nie wiem nic o miłości! Nie zrobiłem nic, by rozbudzić w niej miłość! Dlaczego zabiła się bez powodu?!

Zelobion odpowiedział: - Wiedziała, że jej miłość jest beznadziejna i nigdy nie znajdzie wzajemności. Nie chciała dłużej żyć z cierpieniem, spowodowanym przez zawiedzioną miłość. Chciała uchronić cię przed poświęceniem twojego życia, które musiałbyś złożyć w ofierze. Była to jedyna rzecz, którą mogła dla ciebie zrobić. A zatem uspiła cię resztkami trucizny z kubka Hopringa. Zachowaliśmy go wtedy i wzięliśmy go do Piomy, żebyś mógł zbadać użyty narkotyk i znaleźć antidotum. Ale gdy uciekaliśmy z Piomy w takim pośpiechu, musiała widać zapomnieć, że kubek jest wciąż w jej rzeczach i wzięła go ze sobą. Gdy znalazła kubek ponownie, rozpakowując się tu, w Wielkim Fezie, najpewniej uświadomiła sobie, co musi zrobić. Wiedziała, że następna dawka nie zrobi ci krzywdy. Wprowadzi cię jedynie w głęboki sen, podczas którego ona ukradnie „zawór” i użyje go... nie powinienes się winić, mój chłopcze. Zrobiła to, co musiała i zrobiła to ochoczo, ponieważ wiedziała, że nigdy nie odwzajemnisz jej miłości, a przynajmniej będziesz mógł żyć, jeśli ona poświęci się za ciebie...

Jednak Ganelon nie był w stanie słuchać słów Maga. Smutek, rozpacz i daremna pasja doprowadzały go niemal do szaleństwa. Jego umysł znalazł się na krawędzi furii. Cała forma jego dotychczasowego życia została zniszczona. Koniec, który był mu przeznaczony, został mu zabrany. Szlochając i wyjąc niczym zwierzę w potwornej męce, wyrwał się spod dotyku przyjacielskiej dłoni Zelobiona i wrzucił na siebie swój strój wojownika.

- Nie mogę tu zostać - powiedział. - Muszę iść.

Przeszukam każdą drogę Gondwany, dopóki nie odnajdę znaczenia tej „miłości” i nie poczuje jej sam. Bywaj zdrow, stary, dobry człowieku. Byłeś mi jak ojciec. Nie próbuj mnie teraz zatrzymać. Muszę iść. I poszedł, wędrując pośród jednej z tych straszliwych burz, które dotknęły Ziemię jako skutek zniszczenia Księżyca. Na niebie grzmiały pioruny. Ognistymi biczami przecinały firmament błyskawice. Wicher chłostał jego pochylone ramiona, gdy tak szedł z trudem po długiej drodze, która prowadziła z Vandalexu do nieznanymi królestw Zachodu. Zniknął w zmytej przez deszcz, rozdartej przez wiatr ciemności i nie ujrzano go nigdy więcej.

Zelobion stał na tarasie, patrząc w ślad za nim.- Bywaj zdrów, Ganelonie, mój synu - mówił. - Może czas zaleczy twą udrękę i przyniesie ci choć trochę ukojenia! Niestety... twe zmagania, by uratować Ziemię przed jej przeznaczeniem, okazały się łatwym zadaniem... twe poszukiwanie znaczenia miłości może okazać się znacznie trudniejsze. Bywaj zdrów, a jeśli nie znajdziesz miłości, być może twe burzliwe serce odnajdzie w końcu spokój w jakimś odległym królestwie. Sędziwy Mag odwrócił się i zrejzował wokół siebie. Słaby uśmiech przemknął po jego obliczu. Cóż, on, Mag, musi zostać tutaj. Nigdy nie byłby w stanie ponownie pokonać drogi powrotnej z Vandalexu do Karchoy samemu, bez pomocy swych dzielnych współtowarzyszy - a nie będzie ich już teraz przy nim. Nie zamierzał jednak tracić swego władania. Tu było nowe Królestwo, które mógł zbadać... Imperium Nauki. Przebywanie tu przez wszystkie stulecia, które mu pozostały, nie będzie takie straszne. Było wiele rzeczy do zrobienia. Uśmiechnął się, a iskra zainteresowania rozświetliła jego ciemne oczy, gdy o tym pomyślał... Skończyła się cała epoka. Eon Spadającego Księżyca znalazł swój koniec w czasie nocy niezapomnianych cudów, przerażenia i lęku. Teraz zaczął się nowy wiek dziejów świata. Być może skończyło się coś więcej, niż ów Eon... może skończył się także Czas Magów. I być może tym, co czekało teraz Gondwanę, był nowy Czas Nauki. Czas odrodzenia i odnowy. Wspominając dziwny emblemat, przedstawiony na czole Ganelona Srebrnowłosego, Mag zastanawiał się, czy ta nowa epoka nie będzie znana od tej chwili jako Eon Srebrnego Feniksa, w nawiązaniu do tego właśnie, skrzydlatego symbolu odrodzenia...

Zelobion zszedł z tarasu i zaczął badanie swego nowego królestwa. Nie będzie mu brak wspaniałości i wygod pałacu w Karchoy, gdyż tu czekały na niego tajemnice i cuda Vandalexu.

Spośród całej trójki, która wzięła udział w tych największych Zmaganiach Ludzkości, tylko on odnalazł szczęście. Jego żądza wiedzy była wreszcie zaspokojona.

Te oto czyny widziałem ja, Zelobion z Karchoy. W tych oto CZYNACH WZIAŁEM UDZIAŁ. Te RZECZY, O KTÓRYCH PISZĘ, WIDZIAŁEM I UCZYNIŁEM. DLATEGO W TYM, CO PISZĘ, NIE MA NIC, KROM SAMEJ TYLKO PRAWDY.

Tę oto historię, a zarazem mój testament, ja, Zelobion z Karchoy, SPISAŁEM PO TO, BY ODWAGA GANELONA SREBRNOWŁOSEGO I PIĘKna miłość arzeeli nie zostały zapomniane przez ludzi, którzy przyjdą później, którzy nie będą już musieli żyć w cieniu spadającego Księżyca, dzięki temu, iż ci, o których piszę, cierpieli, walczyli i umarali by ich następcy mogli żyć wolni od lęku. Tę oto księgę ja, Zelobion z Karchoy, spisałem w siedemset trzydziestym dziewiątym roku mego życia, zakończyłem ją w mieście Wielki Fez, w krainie Vandalex na zachodzie Gondwany, w Roku Trzecim Eonu Srebrnego Feniksa.

DOKONAŁO SIĘ!

„I ujrzą w ów czas wszystkie krainy Człowieka, co nie będzie jako inni ludzie; Człowieka zesłanego z mocy Galendila, by zmagął się ze Spadającym Księżycem. Poznacie go po barwie jego włosów, po mocy jego ciała i serca. Albowiem nie będzie on podobny zwykłym ludziom.

Przybędzie tak, jak przybywali Wielcy Oswobodziciele z przeszłości, by walczyć, zdobywać i odnawiać świat, a jego ciemne brwi spoczywać będą, niczym pełne majestatu ptaki, na Znaku Feniksa, wieczystym emblemacie Odrodzenia...

Biada mi! Stary już jestem i mój wzrok zmąciła na powrót mgła. Nie będzie mi dane ujrzeć końca opowieści”.

Zostało to zapisane w OTH KANGMIR,
Księżce Nieprzemijającej.